

# Cywil w Berlinie





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

ANTONI SOBAŃSKI

# *Cywil w Berlinie*

# CYWIL W BERLINIE

Pannie Marii Chrzanowskiej — wdzięczny autor

## PRZYJAZD

W Warszawie straszli. Przyjaciele i znajomi prawie mnie „żegnali”. Zalecano ostrożność. Anglik zamieszkały stale w Berlinie opowiadał rzeczy naprawdę dość straszne. Znam go jako człowieka prawdomównego. Czy wierzyć tym wszystkim dochodzącym nas wiadomościom? Czy w Zbąszyniu przestraszę się na widok zielonego munduru niemieckiego urzędnika celnego? Od dzieciństwa był to dla mnie symbol zagranicy, wyjazdu, czaru podróży.

Ten niemiecki urzędnik kolejowy czy celny, który na pierwszy rzut oka zdawał się nieco szorstki, ba, nawet brutalny, jakże był uczynny i ojcowski w razie zgubienia biletu czy bagażu. Reprezentował on w moich oczach stosunek Niemca w okresie powojennym do zagranicznego turysty. Czyż to wszystko się zmieniło? Czy wrogość spotka mnie już na samym progu Trzeciej Rzeszy? Tak bardzo nie chcę, by to się stało. Tak bardzo chcę zachować moje sympatie dla tej dziwnej zbiorowości (bo dziwną pozostała i za republiki weimarskiej). Tak bardzo chcę odnaleźć wszystkie dodatnie pierwiastki tego z ducha i celów obcego mi przewrotu. Będę szczęśliwy, jeśli mnie choć trochę na swoją wiarę nawróca. Dla Niemców miałem zawsze wiele poważania (nie analizuję tego określenia) i teraz tak bardzo się boję, czy nie będę zmuszony usunąć spod nich piedestału; czy nie będę zmuszony przyznać racji tym wszystkim, którzy Niemców sądzili według wspomnień z czasów Kulturkampf i kolonizacji w Wielkopolsce i w Afryce; czy nie będę zmuszony uderzyć w ton bogoojczyźniany. Boję się. A nuż endecy mają rację. Ale głównie boję się dać jeszcze jedną karabelę do rąk naszych licznych zuchów — Wołodyjowskich ze wszystkich obozów; do rąk tych wszystkich młodych, którzy tylko czekają na hasło nienawiści, by stworzyć nasze rodzime *Sturmabteilung*<sup>1</sup>. Boję się, że w mojej najskromniejszej mierze mogę przeszkodzić tej wspaniale godnej, męskiej, imponująco niedemagogicznej polityce zagranicznej, jaką prowadzi obecny rząd polski.

Więc boję się. Jeszcze raz to powtarzam, ale pisać będę prawdę. Choć należę do powojennego pokolenia, jestem staroświeckim liberałem i młodszy oraz nowocześniejsi ode mnie wymawiają mi moje przywiązanie do uczciwej bezstronności. Ja się snobuję na obiektywizm — oni nim gardzą. Twierdzą, że ludzie silni i twórczy nie mogą być obiektywnymi; że nic nie zbudują. Możliwe. Ja w tej chwili nie chcę nic budować. Chciałbym ratować mój śmieszny, liberalny, ginący dzisiaj świat. Ale kto mi w tym pomoże? Moi młodszy rówieśnicy mają kult czynu i ideowego, choćby nawet najbrutalniejszego kłamstwa. Zdaje się, że po obydwu stronach kordonu pod tym względem młodzi są sobie podobni.

Zresztą zobaczymy. Jadę trzecią klasą. W przedziale jedzie młody Żyd, może ma lat piętnaście. Wyjeżdża sam jeden do ojca do Kolumbii. Ma ze sobą dwie walizki, a kufer nadany został wprost do portu kolumbijskiego. Ma też jedną markę niemiecką na wydatki między Warszawą a Amsterdamem, gdzie wsiada na statek.

W Poznaniu do mojego przedziału wsiada dwóch Niemców. Jeden z nich, poznaniak, odbył służbę wojskową polską i wielce ją sobie, a także swoim przygodnym towarzyszom podróży chwali. Drugi to *Reichsdeutsche*<sup>2</sup>, podróżujący często po Polsce, a obecnie powracający do Berlina po trzytygodniowej nieobecności. Obaj ci panowie interesują się Żydkiem, który tak daleko ma jechać, a mówi tylko po polsku i żydowsku. Z typowo niemiecką systematycznością dają mu wskazówki na drogę, kłopotczą się, naradzają, a po przyjeździe do Berlina biorą dla niego tragarza, który ma się nim zająć i wsadzić go cztery godziny później do amsterdamskiego pociągu. *Reichsdeutsche* w dodatku ofiaruje chłopcu jeszcze pięć marek, a ten z rozczulenia całuje Niemca w rękę na peronie Schlesi-scher Bahnhof i mówi, że już teraz nie boi się podróży, gdy wie, że istnieją tak dobrzy

<sup>1</sup>*Sturmabteilung (SA)* — oddziały szturmowe NSDAP, tzw. brunatne koszule. Do 1934 roku główne narzędzie terroru nazistów wobec przeciwników politycznych. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Reichsdeutsche* — „Niemiec Rzeszy”, oficjalny termin używany w Republice Weimarskiej i III Rzeszy w odniesieniu do obywatela niemieckiego zamieszkałego w Rzeszy. [przypis edytorski]

ludzie. Rozpisałem się. Ale czy nie jest to nieoczekiwany wstęp do moich niemieckich „studiów”?

Na granicy ta sama dobrodusznia uprzejmość; na dworcach te same co dawniej, pogodnie uśmiechnięte twarze. Między nimi, jak zawsze bywało, pojawia się z rzadka surowa twarz typowego Prusaka; budzi ona raczej śmiech swoim brakiem zmysłu humoru niż przerażenie. Te same brzydkie, ale wysportowane, o cudnych cerach panny, objęte w pół przez dziwacznie-sportowo ubranych chłopców, wyglądających zawsze o wiele młodziej od swych niewiast. A gdzie są objawy hitleryzmu? No tak, jest ich trochę. Szpilka ze swastyką w krawacie kontrolera paszportów, a we Frankfurcie nad Odrą i na przedmieściach Berlina na wszystkich parkanach wykaligrafowane bardzo porządnie, choć kredą, *Heil Hitler!*, i znowu swastyka. Ale wszystko to już zmazane i tylko widać blade ślady; widocznie sprzykrzyłoby się na co dzień.

A co można wywnioskować z prasy? Zaopatrzyłem się na drogę jeszcze w Warszawie w ostatni numer „Die Neue Weltbuhne”, pismo radykalne, które oczywiście przestało wychodzić w Berlinie i po wydaniu kilku numerów w Wiedniu osiadło obecnie w Pradze. Dziwi mnie treść tego tygodnika. Jest to przeważnie dość sucha i fachowa polemika z zamierzeniami i posunięciami Hitlera, ale nie znajdują tam prawie wzmianek o terrorze i antysemityzmie. Może numer, który czytałem, był w drodze wyjątku wolnym od tych — bądź co bądź — wysoce aktualnych tematów; a może mieli rację moi znajomi, socjaldemokraci niemieccy, którzy mi tłumaczyli później, że jest to tylko taktyka zmierzająca do odzyskania prawa ukazywania się w Niemczech, gdy tylko sytuacja nieco się odpręży. Przed Zbąszyniem mój egzemplarz „Die Neue Weltbuhne”, rzecz prosta, wyleciał przez okno, a polski konduktor uprzejmie poprosił o podarowanie mu polskich pism, gdyż „i tak szanowny pan zapewne nie będzie chciał wziąć ich ze sobą do Niemiec”.

Więc teraz w Niemczech zaopatruję się w berlińską prasę codzienną. Ciekaw jestem, co w niej znajdę. Naturalnie, pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, jest to, że opozycja głosu nie ma, a wszystkie pisma twierdzą, że właściwie opozycja ta wcale nie istnieje; nawet te pisma, które do 5 marca<sup>3</sup> były właśnie podporą opozycji.

Na widocznym miejscu drukuje się listę ważniejszych cudzoziemców odwiedzających Berlin. Ma to dowodzić, że jest tu spokojnie i bezpiecznie. Na czele tej listy figuruje wzmianka: „wielki przemysłowiec angielski pan Albert Mond, kuzyn lorda Melchetta, który odgrywa wielką rolę w angielskim przemyśle chemicznym”. Więc i Żydom zagranicznym, zdawałoby się, nic nie grozi.

Znajduję dużo wzmianek o nowych członkach zarządów i rad nadzorczych w bankach i spółkach akcyjnych. Nigdzie nie jest powiedziane, kogo zastąpili. To samo dotyczy licznych nominacji lekarzy na stanowiska ordynariuszy różnych oddziałów szpitali berlińskich. Nasuwa to wiele przypuszczeń. Poprzednik mógł być Żydem, mógł być komunistą, mógł być, o zgrozo, pacyfistą lub socjalistą. A gdzie jest obecnie? Może nie żyje, może jeszcze jeden wypadek „samobójstwa”, może jest za granicą, a może odbywa ćwiczenia wojskowe w więzieniu lub obozie koncentracyjnym dla politycznie nieodpowiednio zorientowanych?

Pisze się o wystawie sztuki kolonialnej, że poza eksponatami jest wiele obrazów „z naszych dawnych kolonii, które to obrazy rozbudzają na nowo pragnienie odebrania tych terytoriów”. O wystawie „Zdrowie, sport i higiena” — że jest to wystawa czysto narodowa. Domyślam się, że firmy żydowskie mało tam wystawiają.

Patrzę na rubrykę teatrów. W Berlinie przecież teatry były zawsze tak wybitnie ciekawe, tak śmiało w dotykaniu najdrażliwszych tematów i w walce z przesądami. Widzę, że to się skończyło. No i aktorów i reżyserów musi być brak, przecież tylu wśród nich było Żydów. A w dziedzinie muzyki? — szal Wagnera. Dwa teatry operowe przez cały miesiąc będą grały jedynie Wagnera. Może potrwa to i dłużej. Program jest drukowany tylko na miesiąc.

„Deutsche Illustrierte Zeitung” na czterdzieści dwa zdjęcia podaje dwadzieścia dzieł hitlerowskich, a trzynastę samego wodza. Poza tym na tematy nie-niemieckie cztery zdjęcia, i to przestarzałe i blade. Później miałem okazję stwierdzić, że bywają numery

<sup>3</sup>5 marca 1933 r. — dzień zwycięstwa NSDAP w wyborach parlamentarnych, przeprowadzonych w warunkach terroru bojówek SA. NSDAP otrzymała 44% głosów. [przypis edytorski]

mniej partyjnie nastawione. Zaraz widać jednak, że w kompletnym opanowaniu przez partię rządzącą prasa Niemiec dzisiejszych nie różni się niczym od prasy sowieckiej, a jest nieporównanie mniej niezależna od włoskiej.

Nareszcie Berlin. Jadąc o siódmej wieczorem przez całą długość miasta, spotkałem pięciu spacerujących hitlerowców w mundurach oraz dwóch członków *Stahlhelm*<sup>4</sup>. Flagi ze swastyką widać wszędzie i kolorystycznie wyglądają świetnie. To może najbardziej udana flaga, jaką znam. Jest dekoracyjna w duchu chińsko-japońskim.

Widzę, że dość dużo ludzi odwiedza, dawniej tak małym pietyzmem otoczony, Grób Nieznanego Żołnierza. A jednakże grób ten jest bez wątpienia najbardziej nastrojowy i architektonicznie udany ze wszystkich, jakie widziałem w Europie.

W hotelu, gdzie się od lat zatrzymuję, witają mnie wprost serdecznie. Nie. Coś tu nie jest w porządku. Zaraz pierwsze wrażenie syntetyczne — jeżeli terror i ksenofobia istnieją, objawy ich muszą być bardzo skryte i podziemne. Pierwsze pytanie portiera, kasjera, windziarza czy fryzjera hotelowego, którzy są wszyscy starymi znajomymi, jest jednobrzmiące: „Co o nas myślą i mówią za granicą?” Pytanie to jest zadane prawie pokornie, a zainteresowanie opinią zagranicy pałace i bardzo szczere. Pytanie to zresztą zadawała mi, chyba bez wyjątku, każda nowo spotkana osoba w Berlinie, choćby ta osoba stała u samego źródła informacji, jakim jest na przykład ministerstwo spraw zagranicznych. Pewna obawa, którą można by ująć w słowa: „Może idziemy za daleko?” — istnieje prawie u wszystkich; a u najtrzeźwiejszych dochodzi do tego pytanie: „Czy się nie ośmieszamy?” Moja odpowiedź, że decydująca opinia zagraniczna uważa przewrót w Niemczech za proces, który bynajmniej końca jeszcze nie dobiegł i że żadna krystalizacja stosunków, jak dotąd, jeszcze nie nastąpiła — wywołuje szeroki uśmiech ulgi, prawie że wdzięczności za tę sprawiedliwą ocenę sytuacji.

Po przyjeździe do późnego wieczora staram się nawiązać kontakt ze znajomymi. Rezultaty są dość nikłe: nikogo nie ma w domu. Ciągłe myślę z obawą: a nuż nie będą chcieli mnie znać? Strach i patriotyzm często już zwyciężyły nawet najlojalniejszą przyjaźń. Szczęśliwy jestem, że mogę tu stwierdzić, że pobyt mój w Berlinie nie usprawiedliwił tych przykrych przypuszczeń. Doznałem od wszystkich przyjaciół i znajomych, bez względu na ich orientację partyjną lub przynależność rasową, równie serdecznego i gościnnego przyjęcia, jak za „wyuzdanych” czasów weimarskich; jak gdyby słowa „międzynarodowy” nie wykreślono z hitlerowskiego słownika; jak gdyby duch Goethego, przeciwko któremu generał Ludendorff<sup>5</sup> ma tak wiele osobistych zarzutów i którego obecny „kurs” uważa za podejrzanego kosmopolitę, promieniował jeszcze szlachetnie nawet w sto pierwszym roku swej nieśmiertelności. To prawda, że 10 maja palono książki, ale prawdą też jest, że pomyślałem o Goethem, gdy znajomy mój kelner z kawiarni na *Unter den Linden*, skąd przyglądałem się pochodowi poprzedzającemu potworne *autodafe*<sup>6</sup>, zapytał mnie głosem stłumionym nie ze strachu, ale ze wstydu, czy podobną hańbą okrył się już kiedyś naród cywilizowany.

Dość dygresji. A tak trudno ich uniknąć. Niemcy całe i każdy człowiek uczciwy i myślący przechodzą tam obecnie przesilenie jak w ciężkiej chorobie. Jest i gorączka, i majaczenie, i możliwość najróżniejszych komplikacji, a przede wszystkim niepewność co do końca choroby. Stary lekarz wiejski, mówiąc o jakimś beznadziejnym przypadku, wyrażał się: „A potem zapewne nastąpi to, co my w języku lekarskim nazywamy mors”. Obawa śmierci duchowej jest bez wątpienia jedną z upiornych, choć ufam, że mało prawdopodobnych, możliwości tej choroby. Znam ludzi, dla których obawa duchowego zdziwienia Niemiec i zaprzeczanie ich kulturalnej spuścizny jest zmorą spędzającą im sen z powiek.

Zrobiło się późno. Wychodzę z hotelu, by coś przekąsić i zobaczyć przynajmniej, jak wygląda nocne życie odrodzonego duchowo Berlina. Wszak jedynie w Berlinie istniało

Przyjaźń,  
Niebezpieczeństwo, Strach,  
Nacjonalizm

Książka, Niemiec

<sup>4</sup>*Stahlhelm* — „Stalowy Helm”, niemiecka kombatantska organizacja paramilitarna, założona przez byłych uczestników I wojny światowej w r. 1919. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Ludendorff, Erich* (1865–1937) — czołowy dowódca niemiecki podczas I wojny światowej. W książce *Der Totale Krieg* (Wojna totalna) twierdził, że „polityka to sposób prowadzenia wojny”, a naród i społeczeństwo powinny być całkowicie podporządkowane potrzebom armii. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*autodafe* — akt przyjęcia lub odrzucenia wiary katolickiej w procesie inkwizycyjnym; poprzedzał wykonanie wyroku. [przypis edytorski]

niesztywne życie nocne: berlińczyk bawił się, a prowincjonał i cudzoziemiec bardzo mało dodawali ruchu i życia. Jadę do zachodniej, nowoczesnej dzielnicy, gdzie znajduje się większość dobrych restauracji i eleganckich lub zabawnych lokali nocnych i barów. Jakież będzie moje powierzchowne pierwsze wrażenie? Wiem, że więzienia są przepełnione, że wielu ludzi umarło w strasznych mękach i może w tej chwili umiera. Czy zobaczę odbicie tego w wyglądzie rozbawionej zazwyczaj ulicy?

Wszystkie restauracje są otwarte i... puste. Kawiarnie prawie wszystkie są czynne. Jedna czy dwie zamknięte. Właściciel był Żydem. Co, jak — nic nie wiadomo. Dość, że zamknięte. Inne zaś, też stanowiące własność Żydów — otwarte. Ale tylko kilka kawiarni cieszy się dużą frekwencją. Większość świeci pustkami. W jednej z wytworniejszych na *Kurfürstendammie*, głównej arterii tej dzielnicy, była niedawno obława policyjna, tak zwana *Polizeirazzia*. Powód nieznany. Dość, że wszystkich zrewidowano, wylegitymowano, nikogo nie zatrzymano, ale rezultat był taki, że nazajutrz już prawie nikt tej kawiarni nie odwiedził i stoi pusta. Może szukano handlarzy kokainy, może socjaldemokratów, a może po prostu chciano „wykończyć” lokal.

Lokale nocne świecą pustkami, tak że są zamykane jedne po drugich. Przeważającą część gości stanowili tam bogaci Żydzi lub ludzie w ten czy inny sposób od nich zależni. Ta kategoria klienteli dziś nie istnieje. Żydzi częściowo obawiają się pokazywać, częściowo oszczędzają. Przecież przyszłość jest tak niepewna... Bogaty Niemiec Aryjczyk też chowa się z pieniędzmi. Jeżeli jest choć trochę politycznie podejrzany, a podejrzany jest każdy, kto nie opowiedział się wyraźnie za obecnym ustrojem, nie wolno dużo wydawać; łatwo takiemu dowieść korupcji i nadużyć finansowych; tak najskuteczniej go się niszczy.

Różne są też drobne, ale charakterystyczne powody obecnej stagnacji życia nocnego. Muzyka jazzowa jest źle widziana w sferach narodowych socjalistów. W mojej obecności członek partii zażądał zaprzestania fokstrota i rozkazał grać marsza. Gdy wchodzi ktoś z odznaką partyjną w kłapie marynarki lub w krawacie, zapada cisza i pewien chłód. Członek Stahlhelmu jest o wiele milej widziany i zupełnie inaczej się zachowuje: mniej więcej jak polski oficer po cywilnemu. Od czasu do czasu do lokalu wchodzi patrol SA (*Sturmabteilung*) głównie po to, by sprawdzić, czy nie ma innych SA lub SS (*Schutzstaffel*). Bojówkarze hitlerowscy nie mają prawa przebywać w lokalach po ósmej wieczór, jeżeli są w mundurach. Mają oni swoje kawiarnie, piwiarnie i restauracje, tak zwane *Sturmlokale*. Są to przedsiębiorstwa, których właściciele zostali uznani za wyjątkowo prawomyślnych. U wejścia do takiego Sturmlokalu wisi chorągiew ze swastyką. Jest to zwykle lokal tańszy, do którego zresztą każdemu wolno wejść. Muzyka gra tam marsze oraz pieśni patriotyczne i wojenne. Znana żydowska koszerna restauracja w pasażu przy *Unter den Linden* jest obecnie Sturmlokalem, a sztyl zapewnia, że zarząd jest „czysto narodowy”. W Sturmlokalach goście często powstają i stojąc, piją piwo. Jest to skomplikowany rytuał. Nie zdołałem zbadać wszystkich jego tajemnic. Jest to trochę jak u proboszcza na odpuszcie. Nigdy nie wiadomo, kto kogo i dlaczego ma po obiedzie całować w łokieć.

W związku z nocnym życiem trzeba chyba wspomnieć o kobietach. Wyszyły przepisy co do głębokości dekoltu zawodowej fordanserki (ci ludzie o wszystkim pamiętają). Nie sądzę jednak, aby ten przepis był po drakońsku wprowadzany w życie. Płatnej fordanserki nie wolno po tańcu zaprosić do stolika lub baru. Jeżeli ktoś chce mieć towarzystwo kobiecie, musi je sobie sprokurować zawczasu na zewnątrz i związać się na cały wieczór. Wielu panów mówi, że woli nie. Podobne stosunki każą mi zapytać się przyjaciół, jak to się dzieje: z jednej strony purytanizm i pruderia (kanclerza Hitlera podobno nic nie kosztuje powściągliwość płciowa), a z drugiej strony te rzesze prostytutek bardziej niż kiedykolwiek natarczywych i ciągnących mężczyzn za rękaw do bram. Nie można wprost wieczorem wrócić do hotelu, nie okupiwszy się przynajmniej papierosem. Na to słyszę odpowiedź, że choć ideałem narodowego socjalizmu jest rozmnażanie się, a więc małżeństwo, jednakże stosunek płciowy jako akt wybitnie męski może być tolerowany, byle mężczyzna okazywał kobiecie, która nie ma zamiaru zostać matką, należytą pogardę i brutalność.

A propos brutalności. Na *Leipzigerplatz* i koło sklepów *KaDeWe*<sup>7</sup> można było spotkać późnym wieczorem kobiety w wysokich, czerwonych, sznurowanych butach. Space-

Seks, Nacjonalizm,  
Obyczaje

<sup>7</sup>*KaDeWe* — skrót od *Kaufhaus des Westens*. Centrum handlowe w Berlinie, które powstało w 1907 roku i działa do dziś. [przypis edytorski]

rowały, wymachując zalotnie szpicrutą. Czekają na panów, którzy rozumieją tę podwójną symbolikę. Mam na myśli bardziej brutalne formy miłości, jeżeli to można tak nazwać. Otóż pewnej nocy przychodzi *Polizeirazzia* i wszystkie te panie brutalnie zabiera. Ale biciem nie da się ich nastraszyć, więc w trzy dni później zjawiają się znowu na dawnych posterunkach, trochę obolałe, ale z piersią ozdobioną żetonem narodowosocjalistycznym. Nikt ich dziś podobno nie śmie maltretować, z wyjątkiem oczywiście starych, jeżeli nie stałych klientów.

Ale na ogół biedne są dzisiaj kobiety w Niemczech. Życie im się stanowczo nie uśmiecha. Wicekanclerz von Papen<sup>8</sup> mówi, że rolą życiową Niemki — o ironio! — jest umrzeć; tak, umrzeć. Mężczyzna powinien umrzeć za ojczyznę z bronią w ręku na polu bitwy (tych pól ma zawsze jakoby wystarczyć), a kobieta ma umrzeć w połogu; ale oczywiście nie w pierwszym, tylko przynajmniej w dziesiątym.

W drugą niedzielę maja obchodzi się zwykle w Niemczech Dzień Matki. W tym roku odbywał się on pod hasłem gloryfikacji licznych rodzin. Aby zachęcić panny na wydaniu i początkujące mężatki, wszystkie pisma ilustrowane zamieściły fotografie i artykuły o matkach zasłużonych, czyli takich, które straciły wielu synów na wojnie. Nie wiem doprawdy, kto ma dziwniejszą mentalność: redaktor propagandzista czy kobieta, która się na taką propagandę da złapać. Poza rolą matki ruch narodowosocjalistyczny nie przyznaje innej roli kobiecie. Istnieje wprawdzie dziewczęca organizacja hitlerowska<sup>9</sup> (coś w rodzaju harcerek), ale, jak mi mówiono, jest ona traktowana po macoszemu. Biedule te paskudnie wyglądają. Każą im nosić długie włosy, a że od wyborów nie zdążyły im jeszcze wyrosnąć warkocze à la Lorelei, więc chodzą z malutkimi, sztywnymi warkoczami, istne karykatury przedwojennych „gąsek” warszawskich. Partia życzy sobie, żeby kobieta Niemka nosiła długie włosy, nie szminkowała twarzy, nie karminowała warg i nie paliła w publicznych lokalach. Podobno rzeczywiście Leichner i inne firmy kosmetyczne odczuwają już dotkliwie duży spadek popytu na ich artykuły. Trzynastoletnia córka mojej dobrej znajomej doznała wielkich przykrości w szkole od koleżanek z powodu swego żydowskiego pochodzenia, o którym w ogóle dotychczas nie wiedziała. Przecierpiała bardzo głęboko fakt, że choć się czuje Niemką, nadal nie będzie za Niemkę uważana. Jestem u jej matki na herbacie; wpada nagle do salonu i mówi uradowana: „A ja będę mogła ładnie się ubierać, ja zawsze będę szykowna, bo jestem Żydówką i mnie wolno”. Eureka!

Wszystko to są fakty i wrażenia, które, choć same w sobie nieważne, przyczyniają się do stworzenia tła codzienności dla tych licznych i bynajmniej niecodziennych wydarzeń i fenomenów, jakie dziś w Niemczech można zaobserwować. Te po większej części drobne szczegóły życia, które przytoczyłem, przychodzą mi na myśl, gdy wspominam mój pierwszy samotny wieczór w Berlinie.

Jeszcze nikogo nie zdążyłem zobaczyć, wypytać, nie zdążyłem się nawet przekonać, jak trudno mi to wypytywanie przyjdzie.

## NARÓD W MUNDURZE

Pierwszy poranek w Berlinie. Wychodzę z hotelu. Zaraz rozumiem, że wrażenia poprzedniego wieczoru niezupełnie odpowiadają rzeczywistości. Dziś widzę, że wygląd ulicy bardzo się zmienił. W dzielnicy zachodniej mniej to było znać. Lecz tu, gdzie mieszkam, w centrum (do niedawna zwanym z angielska *city*, a wymawianym z niemieckaziti), widać dwie główne zmiany: morze mundurów i nieobecność cudzoziemców.

Najpierw powiem o turystach cudzoziemskich, bo z nimi sprawa krótka: po prostu nie ma ich. Byłem wszędzie, gdzie się ich dawniej niechybnie spotykało: *Wagons-Lits* i inne biura podróży, halle i bary pierwszorzędných hoteli. W ciągu dziesięciodniowego pobytu słyszałem dwa razy mowę francuską i ani razu angielskiej. W *American Expressie*, gdzie co dzień zmieniałem pieniądze, byłem kilkanaście razy, a spotkałem wszystkiego trzech cudzoziemców. Dawniej pomimo kryzysu roilo się tam od nich przez calutki dzień.

<sup>8</sup>*Papen, Franz von* (1879–1969) — polityk niemiecki, w 1933 r. utworzył Hitlerowi drogę do władzy. Za czasów III Rzeszy pracował w dyplomacji. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Hitlerowska organizacja dziewczęca* — Bund Deutscher Mädel (BDM), sekcja młodzieżówki Hitlerjugend. [przypis edytorski]



Na Unter den Linden, gdzie zawsze stał sznur autokarów obwożących turystów po *Sebenswürdigkeitach*<sup>10</sup> Berlina, z tłumaczami wykrzykującymi w różnych językach uroki *Rundfabrtu*<sup>11</sup>, widać jeden taki wehikuł z trudnością zapewniający się do połowy Niemcami z prowincji.

Napływ z prowincji jest dość znaczny, bo w ogóle Niemiec lubi zwiedzać swoją ojczyznę, a poza tym rewolucja hitlerowska spowodowała tyle zjazdów, obchodów, demonstracji itp., których Berlin jest ośrodkiem, że hotele, głównie tańsze, i ulica nie robią wrażenia zamaryłych.

Powracając do cudzoziemców, wyjątek stanowią Włosi, których spotkałem dość wielu, oraz różni młodzi Azjaci, zapewne studenci. Podobno fakt, że od wojny Niemcy nie posiadają koncesji w Chinach, ogromnie tam podniósł ich popularność i stąd ten frapujący napływ żółtej młodzieży akademickiej.

Czym wytłumaczyć kompletny zanik napływu turystów zagranicznych, doprawdy nie wiem. Niemcy jak zawsze pozostały idealnym krajem dla wycieczek. Poza wielkimi ośrodkami miejskimi można wszędzie urządzić się bardzo tanio. Dobroduszna życzliwość jednostki w stosunku do cudzoziemców nie straciła nic ze swego dawnego uroku. Trzeba stwierdzić, że turysta zagraniczny jest dziś milej niż kiedykolwiek widziany; *Fremdenverkehr*<sup>12</sup> dorósł do rangi ideału. Nie wahałbym się urządzić całkowicie polskiej wycieczki po Niemczech i wiem, że o żadnych przykrościach nie byłoby mowy. Może bym nie zwiedzał Śląska. Moi znajomi Francuzi przejechali całe Niemcy samochodem i nie natrafili nawet na cień jakiegokolwiek niezyczliwości. Jedynie może tylko samotnie podróżujący Żydzi mogliby się spotkać z objawami rasowych antagonizmów w jakichś małych prowincjonalnych dziurach. A i to zresztą wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne.

Oczywiście, mówiąc o nieobecności cudzoziemców, nie mam na myśli zagranicznych dziennikarzy czy dyplomatów, stale mieszkających w Berlinie. Dziennikarze ci schodzą się w południe w barze hotelu *Adlon*; a późnym wieczorem we włoskiej knajpie *Die Taverna*. Nasłuchałem się tam wielu rzeczy ciekawych i pouczających, częściowo w rozmowach, jakie tam prowadziłem, częściowo rzetelną, choć męczącą metodą podsłuchu. Zrozumiałem zaraz przy pierwszym zetknięciu z dziennikarzami anglosaskimi, którzy do tak niedawna, bo jeszcze do stycznia, byli wyraźnie pod wpływem prestiżu Niemiec, że Trzecia Rzesza, która stworzyła specjalne ministerstwo „wyjaśniania i propagandy”, tymi panami jeszcze się nie zajęła. Nastroje wśród nich są dziwnie sceptyczne. Powstało nagle wielkie zainteresowanie Polską. W barze Adlonu usłyszałem dialog między dwoma dziennikarzami amerykańskimi, pracującymi w Berlinie prawie od zawieszenia broni, a więc bardzo „miejscowymi” ludźmi.

„Widzisz, zawsze mówiłeś, że Polacy pierwsi stworzą zamęt w Europie, a teraz patrz, jacy są spokojni i opanowani”. Odpowiedzią na to było gniewne burknięcie człowieka, który stawał na faworyta w biegu, gdzie przyszedł fuks.

Ludzie ci są równie zdezorientowani, jak byle jaki laik za granicą. Wszak przewrót w Niemczech jest tak rzeczywiście „cudowny” (od słowa cud) — nie tłumaczy się ani logiką, ani w ogóle żadnymi naturalnymi prawami fizyki dziejowej.

A teraz trochę o mundurach. Choć jakże tu można powiedzieć „trochę”, kiedy temat jest tak obszerny. Odmian mundurów jest bez końca. Wymagałyby one właściwie obszernej, kilkutomowej publikacji z kilkudziesięcioma kolorowymi planszami. Dzieło wypadłoby drogo, no i trochę smutno.

Budzi mnie rano pierwszy telefon od pierwszego znajomego, który nawiązuje ze mną kontakt. Zastanawiałem się poprzednio, jakże się też on ustosunkował do przewrotu. Słucham więc ciekawie: „No więc co? Jesteś w Berlinie? A masz jakiś mundur? Nie? No to w ogóle nie jesteś nikim. Zresztą przez telefon lepiej ostrożnie”. Widzę, że swój człowiek.

Wychodzę wczesnym rankiem z mojego pokoju w hotelu i widzę przed kilkoma drzwiami buty z cholewami. Dopiero po jakimś czasie obraz ten uwypukla się w mojej świadomości. Przecież dawniej, szczególnie w rozbrojonych Niemczech, tego się nie

Cud, Polityka

<sup>10</sup>*Sebenswürdigkeit* (niem.) — atrakcje turystyczne. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Rundfabrt* (niem.) — objazd po mieście. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Fremdenverkehr* (niem.) — turystyka. [przypis edytorski]



widziało. Ten obrazek nasuwa mi myśl o możliwości bardziej imponującej *nature morte*, gdy iperyt<sup>13</sup> i patriotyzm nareszcie wypowiedzą się za pomocą jedyne go właściwego sobie medium.

Więc przede wszystkim jest SA (*Sturmabteilung*), brązowe koszule. Ten specyficzny kolor brązowy jest chyba najbrzydszym z rodziny brązowych odcieni. Ujdzie jeszcze na płótnie, ale sukienne mundury wyższych dygnitarzy, których zresztą widać rzadko, są wprost ohydne.

Poza tym istnieje SS (*Schutzstaffel*). Jest to jakby gwardia bojówek hitlerowskich. Ludzie specjalnie zaufani oraz lepiej wojskowo wyszkoleni. Noszą bardzo szykowne czarne mundury. Właśnie szykiem różnią się bardzo od SA, gdyż ci bez wyjątku wyglądają jakos jak pomieści i niezamaszyści.

Potem idzie organizacja Stahlhelm o charakterze wybitnie konserwatywnym, przeważnie monarchistycznym, grupująca w większej części byłych kombatantów i w ramach swego temperamentu — apolityczna. Organizacja ta jest karna i państwowo myśląca i mogłaby stać się skutecznym hamulcem na radykalność bojówek. Mundur Stahlhelmu tak mało różni się od munduru wojskowego (*Reichswehry*), że trudno zauważyć różnicę.

Mówiąc o Stahlhelmie, trudno nie wspomnieć o kobiecym odpowiedniku tej organizacji, a mianowicie *Die Kölubu Damen*. Choć rolę odgrywa w ogóle niewspółmiernie mniejszą, ale obserwator zagraniczny nie może pominąć tej organizacji milczeniem, tyle ma w sobie „couleur locale”<sup>14</sup>, czyli po polsku barwności. Przede wszystkim te panie, przeważnie starsze, przeważnie tłuste, przeważnie brzydkie, o niesłychanie rumianych, zdrowych, jakby tartą cegłą pielęgnowanych cerach, wyglądające jedna w drugą na zasłużone matki, wzorowe żony, typowe *gute Hausfrauen*<sup>15</sup>, noszą suknie o nieokreślonym, pokrowcowym fasonie z sukna chabrowego, a to dlatego, że chabry były ukochanym kwiatem królowej pruskiej Ludwiki<sup>16</sup> (patrz Napoleon), duchowej patronki organizacji, gdyż *Kölobu* jest skrótem od *Königin Louise Bund*<sup>17</sup>. Pierś tych pań, często dość okazała, zdobi srebrna broszka z literą „L”. Panie te to patriotki o zasadach wybitnie zachowawczych. Jak na swój przeciętny wiek i tuszę bardzo dzielnie kroczą za muzyką wojskową, gdy w południe maszeruje przez *Unter den Linden* przy zmianie warty. Ceremoniał ten odbywa się od maja według dawnego, przedwojennego protokołu i wywołuje łzę rozrzewnienia w niejednym oku *Kölobu Dam*. Sądząc jednakże z ich stanowczego wyrazu twarzy, żadna z nich nie poszłaby na dyplomatyczny kompromis, gdyby jakiś nowy Napoleon postawił im alternatywę. Większość dam z *Kölobu*, jakie miałem sposobność spotkać, niewątpliwie przybyła z prowincji. Zdradzało to wiele oznak: przez jedno ramię przewieszony aparat fotograficzny, przez drugie woreczek niewiarygodnie staroświecki, zamykany na kluczyk, a co najważniejsze — dowolny kapelusik. Kobieta w Berlinie jest dziś świetnie ubrana, a kapelusze tych naszych konserwatystek nie zdradzają jakiegokolwiek pokrewieństwa z prądami mody paryskiej. Panie te dużo jeżdżą tramwajami i autobusami licznymi, dość hałaśliwymi grupami, nawołują się serdecznie, są uradowane, że przyjechały do Berlina, że w tym Berlinie duch Niemiec się odradza, wyglądają poczciwie, trochę śmiesznie i bardzo sympatycznie. Chciałoby się każdą z nich zaadoptować na matkę, tylko że nie wiadomo, czy w razie wojny to jest właśnie ten typ matki, która pomoże uciec do neutralnego państwa. Tak mi się coś zdaje, że nie.

Za mojego pobytu istnieli jeszcze niemieckonarodowi<sup>18</sup>. Mieli oni też swoją umundurowaną organizację, tak zwany *Bismarck Bund*. Czarne spodnie, zielona koszula, czapka wojskowa, a na rękę czerwono-biało-czarna opaska z nazwą organizacji. Z powodu znacznego upośledzenia w stosunku do innych „mundurów”, bismarckbundowcy najgwałtowniej karotowali<sup>19</sup>. Bo trzeba wiedzieć, że hitlerowcy i Stahlhelm wciąż żebrzą.

<sup>13</sup>iperyt — związek chemiczny, stosowany jako bojowy gaz trujący. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>couleur locale (fr.) — koloryt lokalny. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>gute Hausfrau (niem.) — porządna gospodyni domowa. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Ludwika, niem. Luiza (1776–1810) — królowa Prus, żona Fryderyka Wilhelma, matka dziewięciorga dzieci. Niezmiernie popularna w Niemczech ze względu na patriotyzm, jaki wykazała podczas wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Königin Louise Bund (niem.) — Związek Królowej Luizy. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>niemieckonarodowi — prawicowo-konserwatywna partia działająca w czasach Republiki Weimarskiej; w pierwszym roku rządów Hitlera uległa rozwiązaniu. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>karotować (przestarz.) — zbierać (wyłudzać) datki. [przypis edytorski]

Na wszystkich głównych i ruchliwych skrzyżowaniach ulic, nawet w najbiedniejszych dzielnicach, spotyka się przedstawicieli mundurowych ugrupowań, a każdy z nich potrząsa skarbonką. Stahlhelmowiec, który najgodniej i najmniej natarczywie szuka zapomogi, trzyma wojenny hełm stalowy przerobiony na skarbonkę. Monety wrzucane do hełmu to chyba nie olej wlewany do głowy przyszłych ofiar przyszłej rzezi. Myślę, że ten, co hełm ów nosił pod Verdun czy na polach Flandrii, gdyby dzisiaj żył, tak by się już starał głową potrząsać, żeby żadna moneta nie dostała się do środka hełmu.

Hitlerowcy też nie próżniają, jeżeli chodzi o zbieranie funduszy: czy będzie to w nocnym lokalu, czy w restauracji, czy w kawiarni, wszędzie podchodzi do stolika taki ultramarsowo wyglądający drab i proponuje kupno pocztówki z podobizną wodza. Z początku pobytu robi to wrażenie i wymaga pewnej odwagi cywilnej, żeby nie zgodzić się na transakcję. Nie widziałem ani śladu przymusu w tej sprawie, ale gdybym miał rysy semickie, wyjechałbym z Berlina zaopatrzonej w kilkadziesiąt wizerunków Führera.

Jakież są jeszcze mundury? Nie potrafię ich wyliczyć, bo o wielu nie mogłem w ogóle dowiedzieć się, jaką organizację przyodziewają. Zacytuję więc tylko kilka: rosyjscy hitlerowcy, *Hitlerjugend* (organizacja mająca zastąpić bardzo źle widziane, bo międzynarodowe harcerstwo), pensjonariusze obozów dobrowolnej pracy (eksbezrobotni), policja i policja pomocnicza (ta ostatnia jest organizacją czysto hitlerowską, używaną głównie przy wielkich obławach policyjnych, masowych aresztowaniach itp.) — no i nareszcie właściwe wojsko. Wojskowych widać wszędzie. Naturalnie nie tylu, co u nas, ale o wiele więcej niż pół roku temu.

Poza szeregami obywateli w mundurach istnieją jeszcze o wiele liczniejsze szeregi cywilnych sympatyków z musu lub przekonania. Poza dość nieznaczną liczbą skoszarowanych SA, większość ich, kiedy nie pełni służby (prace czysto partyjne oraz ćwiczenia wojskowe), chodzi po cywilnemu i tylko nosi odznakę w kłapie od marynarki lub w krawacie. Odznak tych jest tyle, że nie sposób się połapać, pomimo że stanowi to ciągle temat ożywionych dyskusji. Wszystko, co jest mundurem lub odznaką, ma ogromne znaczenie i kwestia, kto do noszenia czego jest upoważniony, zabiera wiele czasu w rozmowach i nasuwa wiele podejrzeń lojalnemu puryście od szlif i żetonów.

Więc *Stahlhelm* nosi miniaturowy hełm stalowy w kłapie, a żeton oznaczający przynależność do SA upoważnia do powitania faszystowskiego. Nieopisanie pocieszny widok przedstawia dwóch krępych starszych panów z tekami pod pachą, którzy krzyżując się na ulicy, z kompletnie obojętnym wyrazem twarzy wyrzucają nagle naprzód i w górę rękę zakończoną krótkimi, artretycznymi palcami.

Gest ten przywykliśmy kojarzyć w myśli z najgroźniejszą stroną w kinematografii, mianowicie z filmami o starożytnym Rzymie. *Quo vadis* i *W cieniu krzyża hitlerowskiego* — cóż za świetne tytuły dla filmów o obecnych Niemczech.

Ale wracam raz jeszcze do mundurów i odznak, a wracać będę z natury samego tematu — ciągle. Należy zaznaczyć, że niejedyn bezrobotny, z którego cywilne ubranie wprost spadało w łachmanach, od chwili, kiedy dostał mundur SA, choć nie należy do uprzywilejowanej grupy skoszarowanych, munduru tego już oczywiście nie zdejmuje. A mundur taki wypada niedrogo, bo zdaje się, że kompletny ekwipunek „fasowany” w partii kosztuje dwanaście marek, a spłaca się go dowolnie, byle co miesiąc coś wpłacić. Można podobno nawet mniej jak markę.

Mówię „podobno”, bo dowiedzieć się prawdy i szczegółów o sytuacji i organizacji finansowej partii narodowosocjalistycznej jest rzeczą niemożliwą. Miarodajna opinia mówi, że Skarb Państwa nie wspiera bezpośrednio partii; że po prostu nie stać go na to. Podobno składka członkowska wynosi trzy marki miesięcznie z nieco wyższym jednorazowym wpisowym, a znowu (też podobno) w formie diet wypłaca się szturmowcom na służbie trzy marki dziennie. Cyfra ta wydaje mi się przesadzona, ale w każdym razie wydatki związane z tak czynną i liczną organizacją muszą sięgać wielu milionów, a skarbonki i pocztówki chyba tyle nie dają.

Poza odznaką przynależności do SA najczęściej spotykany żeton to odznaka członkostwa tak zwanej *Betriebszeile*, czyli komórki albo jacejki narodowosocjalistycznej. W każdej firmie czy instytucji dającej zatrudnienie chociażby najmniejszej grupie pracowników musi istnieć taka *Betriebszeile*. Misją takiej jacejki jest szerzenie ducha rewolucji narodowej w danym zbiorowisku pracowników i reprezentowanie go wobec władz, ale głównie

na manifestacjach. To coś w rodzaju komitetów robotniczych, tylko że zadaniem głównym jest przyjmowanie rozkazów, a nie wyrażanie żądań. Dziwnie też wyglądają niektórzy moi socjalistyczni czy komunizujący znajomi ozdobieni tym żetonem. Ale wyboru nie mieli — inni ich wyznaczyli. Partia połapała się zresztą dość szybko i zrozumiała niebezpieczeństwo wprowadzania do organizacji tylu ludzi obcych duchowi hitleryzmu i zatrzymała przyjmowanie czyznaczanie nowych członków do *Betriebszeile*, tak samo zresztą jak do partii w ogóle. Kiedy wybory 5 marca wykazały kompletne zwycięstwo Hitlera, wówczas wśród komunistów padł *mot d'ordre*<sup>20</sup> — wstępować do SA i w ogóle do partii narodowosocjalistycznej. Oczywiście, że powyższy fakt nie jest podawany przez czynniki rządowe czy partyjne jako przyczyna ograniczenia w przyjmowaniu nowych członków. Oficjalnie mówi się, że skoro nastąpiła *Gleichschaltung*<sup>21</sup> (koordynacja) całego ruchu robotniczego i zawodowego pod sztandarem narodowego socjalizmu — to *ipso facto*<sup>22</sup> jaczekki tej partii i rozszerzenie samego członkostwa partii są zbyteczne. Każdy Niemiec jest w duchu nazistą, choć nie udokumentował tego oficjalnym przystąpieniem do ruchu. Tak przynajmniej daje się do zrozumienia.

Pewne poczucie niepewności co do elementu, na którym opiera się rząd, obawa przed szaleńczymi poczynaniami młodych oraz w ogóle przed zbytym zradykalizowaniem ruchu narodowosocjalistycznego — podyktowały też wszystkie rozporządzenia dotyczące „odpolitykowania”, czyli zakazy należenia do partii narodowosocjalistycznej funkcjonariuszom policji i wojskowym. Są to jedne z niewielu wybitnie rozsądnych i niedemagogicznych posunięć rządu, a trzeba być w Niemczech, aby móc docenić odwagę wydania podobnych zarządzeń.

Idę ulicą. Po jednej stronie wielki napis na szybie wystawowej sklepu z gramofonami głosi: „Tu można nabyć wszystkie płyty narodowego odrodzenia” (*Erhebung*). Po drugiej, prawie naprzeciwko, nie można się wprost docisnąć, aby spojrzeć na wystawę grawera. Na szybie napis: „Znów dekoracje, ordery i odznaki honorowe”, a za szybą istny skarbiec wszelakich możliwych krzyży, gwiazd i wstęg wielkości naturalnej i w miniaturze. Oczy ludziom wprost z głowy wylażą; są wprost zaczarowani urokiem tego, co oglądają. Bez wątpienia wystawa ta budzi wspomnienia czasów świetności. Żelazne Krzyże to heroizm i męski czyn męskich lat wojny. (Przymiotnik „męski” jest w ogóle używany jako synonim wszystkiego, co jest wybitnie dodatnie). Ale czy ustanowiono już nowy order do nagradzania czynów odwagi cywilnej? Nic o tym nie słyszałem. A może nie ma jeszcze kandydatów?

## CYWILE, REICHSTAG I KSIĄŻKI

Czym jest odwaga cywilna? Jest to objaw indywidualności. Skoro grupa czy zbiorowość czują jednakowo, nie ma już miejsca na tę cnotę. Więc i w narodzie, który, jak wykazały ostatnie wypadki, ma we krwi zmysł organizacji żołnierskiej, trudno jest odnaleźć objawy odwagi innej niż fizyczna. Byłby to wprost wybryk. Jak to? Dobry żołnierz, a ma swoje zdanie i jeszcze się przy nim upiera? Naród niemiecki był od wieków wychowywany w duchu bojowym. *Heldentum* — bohaterstwo, oczywiście w znaczeniu wyczynów wojennych, jest gloryfikowana jak nigdzie. Kult dla Richthofena<sup>23</sup> na przykład jest dziś w Niemczech tak żywy, jakby ten, naprawdę zresztą nadzwyczajny, lotnik zginął wczoraj. Z drugiej strony, w podświadomości narodu istnieje podejrzenie, że wszelka *Geistigkeit* (duchowość) jest czynnikiem osłabiającym i przez to nie może istnieć w jednostce lub też zbiorowości równocześnie z odwagą fizyczną. Nie tylko nie może współistnieć, lecz także jest jej wręcz wroga. Od „pięknoduchów” łatwo też mogą nawymyślać. A wiadomo, że grupy silnych ludzi rządzących obecnie niektórymi państwami Europy uważają to słowo za świetną i miażdżącą obelgę. Może zresztą nie tylko rządzący, ale także w ogóle ludzie jutra. Wątpię, aby nasz student-nacjonalista, spalający się w szale nienawiści do wszystkich sąsiadów Polski i do wszystkich jej mniejszości, znalazł w sobie dużo miejsca na duchowość, już nie mówiąc o uduchowieniu.

<sup>20</sup>*mot d'ordre* (fr.) — dewiza, hasło. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Gleichschaltung* (niem.) — ujednoczenie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*ipso facto* (łac.) — tym samym. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Richthofen, Manfred Freiherr von* (1892–1918) — legendarny pilot niemiecki, zginął w 1918 r. [przypis edytorski]

Co do Niemiec, wyżej wypowiedziany sąd musi się wydać surowy. Jest takim. Ale może się też wydać aprioryczny, bezczelny. Nie wypowiedziałbym go też, gdybym nie znalazł jego potwierdzenia u osób inteligentnych, znających Niemcy na wskroś — po prostu u samych Niemców.

Dużo miejsca poświęciłem powyższym wyjaśnieniom, ale było to konieczne. W dalszym nawiązywaniu kontaktu z niemiecką dzisiejszością będziemy musieli wciąż powracać do tego zagadnienia. Bo albo zdziwi nas, że jakaś wybitna jednostka czy grupa nie zaryzykowały skórą (o głowie nie mówię, bo męczeństwa wymagać można tylko od siebie samego, chyba że się jest rządem), albo też, że ludzie stojący bez wątpienia poza niebezpieczeństwem represji, a przeciwnie, posiadający pełną kontrolę nad aparatem władzy, postąpili, zdawałoby się, po tchórzowsku. Tymczasem wcale nie. Oni są po prostu organicznie niezdolni do wystąpienia z szeregu. *Gänseschritt*<sup>24</sup> nie znosi arytmii; dobry żołnierz nie myśli, tylko swoje robi. A że to „swoje” czasem jest cudzym życiem, no to trudno.

Przyszedł wieczór. Spotykam się na kolacji z pierwszym moim berlińskim znajomym. Idziemy do Schlichtera. Jest to knajpa, gdzie schodziła się cała bohema. Nie wstydę się w tym wypadku tego skądinąd żenującego słowa, bo zachodzi tu rzadki wypadek, kiedy określenie odpowiada prawdzie. Za mało znam Berlin, aby zdać sobie sprawę, kogo brakuje tam ze *Stammgastów*<sup>25</sup>, ale widzę zaraz, że publiczność ma charakter wybitnie mieszczański. Zasiadamy. Cóż się też dowiem od Kurta? Poranny telefon, o którym pisałem, powiedział mi już wiele. Ale autokrytyka to jedna sprawa, a cudzoziemiec żerujący na sensacji w kraju przechodzącym tak ciężką operację to zupełnie co innego. O tym muszę pamiętać.

Kurt należy do powojennych Niemiec. Znam go od lat sześciu. Od tego czasu był na wozie i pod wozem, ale przeważnie pod. Odkąd go znam, nie miał stałego zajęcia. Urodzony w Poznaniu, nie chciał pozostać przy rodzicach na polskim Górnym Śląsku i pokłócił się z nimi. Chłopiec prawy, inteligentny, z naukami przerwany w połowie gimnazjum, rozgoryczony jest i wykołojony do głębi. Zawsze mnie dziwiło, że nie został komunistą, a teraz wprost zdumienie mnie ogarnęło, że nie uchwycił się tej deski ratunku, jaką mogło się stać dla niego wstąpienie do szeregów SA. Tłumaczy mi, że szanuje czystość intencji i nie znosi oportunistów. Poza tym ze wszystkiego, co mówi, widać, że jest indywidualistą. Po pierwszych zdaniach zmiarkowałem, że narodowego socjalizmu nie znosi, a będąc obdarzony czujnym zmysłem humoru, nie może wprost przyzwyczaić się do zewnętrznych, często śmiesznych objawów rewolucji. Ciągłe porozumiewawczo szturcha mnie łokciem. Tymczasem ja robię szlachetne wysiłki „asymilacyjne” i staram się przywyknąć do tego całego egzotyizmu. Zmysł humoru Kurta sprawia, że chętniej opowiada anegdoty niż udziela informacji rzeczowych. Poza tym jest zmęczony i smutny.

Całe rano trzymali go w urzędzie podatkowym; jak mówi, przeszedł tam istną inkwizycję. Wszyscy znajomi zresztą skarżyli mi się na to samo. Rząd nazistowski przykręcił śrubę podatkową jak jeszcze żaden z jego poprzedników. Podobno urzędy podatkowe podwoiły personel. Zresztą nie tylko podatkowe, bo w niektórych innych urzędach luki wytworzone przez rugi partyjne czy rasowe zostały wypełnione „z czubkiem” przez „swoich” ludzi.

Tu niepolityczna wstawka. O Kurcie i urzędzie podatkowym. Rozwścieczony niedyskretną, a przewlekającą się indagacją, oznajmia, że dochody ma niestałe, bo jest na utrzymaniu mężatki. Na to urzędnik: „Proszę o nazwisko tej pani — my to sprawdzimy”, i tu następuje rycerska odpowiedź: „Powiedziałem, że ta pani jest mężatką”.

Pytam Kurta o jego rówieśników, o chłopców poniżej trzydziestki. Co się z nimi dzieje? Co też myślą o przewrocie? Słyszę odpowiedź, że wszyscy są w partii. Co, i komuniści, i socjaliści też? A jakże.

— Więc znaczy, masz dużo znajomych w partii?

— O, chyba przeszło setkę.

— Co, i wszyscy z przekonania?

<sup>24</sup>*Gänseschritt* (niem.) — chodzenie gęsiego. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Stammgast* (niem.) — stały gość. [przypis edytorski]

— Nie. Nie znam ani jednego, który by się entuzjasmował.

— Więc jakież są powody, że ci wszyscy chłopcy są w SA?

Następuje dość jasne, widać, że przemyślane wyjaśnienie. Powodów jest wiele. Chyba najważniejszy to bieda. Nęci jedzenie, płaca, mundur prawie darmowy, ewentualnie koszary. Komorne przestaje być zmorą.

Potem w hierarchii powodów idzie bezczynność. Przecież każdy Niemiec jest wychowany w tradycji szacunku i konieczności pracy. Jest przeważnie zdrowy i czynny. Brak zajęcia był dla niego i upokorzeniem, i po prostu torturą fizyczną. Świadomość, że partia, choćby od czasu do czasu, będzie go potrzebowała, że powierzy mu jakąś funkcję, choćby maszerowanie w szeregu, musi grać tu rolę rozstrzygającą.

Znowu dygresja. Tajemnicą chyba pozostanie przyczyna świetnego wprost stanu fizycznego tej niemieckiej młodzieży trwającej w biedzie i bezczynności od tylu lat. Sporty, kult ciała, słońce i woda — to wszystko istnieje i w Polsce. A jednak kiedy w dzień po moim powrocie z Niemiec widziałem defiladę polskiego przysposobienia wojskowego i porównałem tych chłopców z ich niemieckimi rówieśnikami, mimo woli nasunęła mi się myśl, czy za czasów Grunwaldu stosunek fizyczny naszych ras był taki sam? A jeżeli tak, to co zwycięża? Przypuszczam, że młodzież niemiecka jest dziedzicznie obciążona zdrowiem i skutkami wysokiej stopy życia. Kilkanaście lat nędzy nie może widocznie zniszczyć tego dorobku. A znowu u nas: przypomnijmy sobie, jak wyglądał przedwojenny gimnazysta, nawet z zasobnej inteligentkiej rodziny. Wszak był to żywy pomnik wystawiony złej przemianie materii. Dzisiaj jednakże postęp jest ogromny.

Powracam do wykładu o popularności SA. Dalszy powód to strach. Jakaż znikoma liczba młodych ludzi w Berlinie nie należała do jakiejś organizacji, szczególnie zważywszy typowo niemiecki pęd do skupiania się pod jakimś sztandarem. Za republiki weimarskiej, a zwłaszcza w samym Berlinie, ugrupowania te, choć może niepolityczne, były jednakże przeważnie postępowe. Trzeba tę wstydliwą przeszłość zamazać. Można jeszcze stracić posadę, jeżeli się ją ma. Jak lepiej zmanifestować swą lojalność niż wstępując do SA?

Przyjaciel Kurta, pracujący w dużym domu handlowym, został wezwany przez szefa oddziału osobowego i zapytany, czy należał kiedyś i do jakiej partii lub też organizacji. Odpowiedź była negatywna. „A obecnie należy pan?”. „Też nie”. „No to żałuję. Będziemy musieli się rozstać”. Rozpacz urzędnika; pyta się, co ma uczynić, aby pozostać na stanowisku. Słyszy odpowiedź: „Może moglibyśmy pana zatrzymać, gdyby pan na przykład wstąpił do partii”.

Czy podobnych wypadków przymusu było wiele, zanim nastąpiło zamknięcie szeregów partii — nie sposób sprawdzić.

Powodem nie do pogardzenia jest też żądza władzy. Tkwi ona prawie w każdym z nas. Więc coś dziwnego, że nerwowo i fizycznie wynędziały bezrobotny, który jeszcze niedawno może nawet żebrał, a dzisiaj nagle ma sposobność rozkazywania i każdy cywil musi go się bać — nie umie oprzeć się tej pokusie.

Wreszcie jednym z powodów jest sobie mała — że tak powiem — żydowska (*horribile dictu*<sup>26</sup>) kombinacyjka. A mianowicie: wiadomo jest, że od 1 stycznia 1934 roku będzie wprowadzona obowiązkowa służba pracy: taka, jaka na przykład istnieje już w Bułgarii. Młody człowiek odpowiadający mniej więcej fizycznym warunkom potrzebnymi do służby wojskowej zostanie wciągnięty do specjalnych kadr, będzie umundurowany, skoszarowany czy „zobozowany”, będzie użyty do robót melioracyjnych, drogowych, budowlanych itp. i oczywiście będzie przechodził musztrę wojskową. Służba ta może być ciężka. Ale ci, którzy wstąpili już do SA i obecnie odbywają przeszkolenie wojskowe, mają wszelkie szanse, że będą użyci w tych kadrach pracy jako wyższe szarże.

W późniejszej rozmowie z jednym z moich przyjaciół, który jest grubą rybą w ruchu narodowosocjalistycznym, ze złośliwą satysfakcją zapytałem się go, czy prawdą jest, jakoby strach przed pracą przymusową w styczniu przyszłego roku był już obecnie przyczyną żywiołowego wstępowania do SA. Powiedział, że nigdy się nad tym nie zastanawiał, że nie jest to wykluczone, i widać było, że biedakowi zrobiło się bardzo smutno. Widocznie obliczał, że drogie jest dyskonto zapału.

<sup>26</sup>*horribile dictu* (łac.) — strach powiedzieć. [przypis edytorski]

Rozmowa nie klei się. Kurt zamilkł. On twierdzi, że stoliki stoją za blisko siebie. Bo prawdą jest, że nigdy w życiu nie widziałem tyłu plotkujących głów, co w lokalach berlińskich. Każdych dwoje ludzi to, przysiągłbyś, para zakochanych, tak sobie czule szepczą w uszko. A na ulicy mundurowiec ostrogami dzwoni. Jak widzimy, role są podzielone.

Wychodzimy więc na ulicę. Kurt czuje się tu znacznie swobodniej. Wylewa też na mnie całe katarakty kawałów. Większość z nich, jak wszystkich kawałów świata, jest nie do powtórzenia. Ale tych na zagranicę, cenzuralnych, o charakterze czysto politycznym, jest też cała masa. Należy je opowiadać jednakże oględnie (od słowa „ogłądać się”). Są się rzadko śmieje, a jest już wyjątkowo drażliwy na punkcie kwestii spalenia *Reichstagu*<sup>27</sup>. Za powtarzanie jednej z dwóch następujących dykteryjek, kilku, może nawet niewybitnie kontrrewolucyjnych, „kawalarzy” zostało skazanych na półtora roku więzienia.

Więc pierwsza dykteryjka. Wieczór pożaru w *Reichstagu*. Goering siedzi u siebie. Nagle wpada służący i woła: „Ekscelencjo, *Reichstag* się pali”. Na to Goering spogląda flegmatycznie na zegarek i mówi: „Ach, już?”

Druga dykteryjka osnuta jest na tle faktu ze śledztwa w sprawie van der Lubbe<sup>28</sup>, rzekomego podpalacza. „Dlaczego van der Lubbem spalila się w Reichstagu koszula?” „Bo była brązowa”.

A teraz — skąd ta, zdawałoby się, przesadna wrażliwość na tym właśnie punkcie? Otóż pamiętajmy, a mało kto w Europie zdaje sobie z tego dzisiaj sprawę, że Hitler został wybrany i wywyższony wolą narodu. Że na ogół, i wszyscy są tego zdania, wybory marcowe nie były fałszowane. Rządzi więc Hitler pełnoprawnie. A prowokacja ze spalaniem *Reichstagu* jest tą przykrą, brudną i śmierdzącą (spalenizną) sprawką, o której chciałoby się co rychlej zapomnieć. Ogień w ogóle wiele krzywdy wyrządził reputacji Trzeciej Rzeszy. Ale chociaż już *Reichstag* nie był tą Ablową ofiarą, której dym szedł prościutko w niebo, to swąd palonych 10 maja książek rozpełził się gryzącym oparem po całym świecie. Historia ze spalaniem książek uczy nas, że nie to jest ważne w następstwach, co jest ważne samo przez się, ale tylko to, co zapładnia ludzką wyobraźnię.

Weźmy dla przykładu katastrofę *Titanica* i pierwszą lepszą bitwę podczas Wielkiej Wojny. Gineło tam gwałtowną śmiercią kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt razy więcej ludzi niż na *Titanicu*, i to wyłącznie młodych i zdrowych. Drugie tyle wychodziło z tej „imprezy” kalekami. Ale *Titanic* był i pozostanie zawsze jakoś bardziej fotogeniczny.

To samo z książkami spalonymi na *Opernplatz* 10 maja. Kiedy się tam tak jak ja stało i widziało brak entuzjazmu, a przede wszystkim obserwowało małą — w porównaniu z możliwościami miejsca, spektaklu i propagandy — liczebność tłumu; kiedy słyszało się zażenowane wyjaśnienia ludzi w ruchu narodowosocjalistycznym wybitnych, tłumaczących, że młodzież musi jakoś ognić i ciepło zmanifestować swoje zwycięstwo; kiedy się widziało, jak dalece rząd wołałby, żeby palenie w ogóle nie doszło do skutku, cały ten dziki obrządek musi się wydać jednak mniej potworny niż wydał się w pierwszej chwili słusznie oburzonej opinii kulturalnego świata.

Najciekawszym fenomenem jest tu nie masowa psychoza, którą tak łatwo wywołać hasłami nienawiści, ale fakt braku odwagi cywilnej ze strony rządu, który nie potrzebował chyba bać się studentów, a jednakże pomimo obawy rozgłosu, jaki musi wywołać to autodafe, nie tylko go nie zabronił, ale także jeszcze wydelegował swego ministra propagandy Goebbelsa — i ten o północy, choć stosunkowo jak na siebie umiarkowanie, ale jednakże przemawiał nad palącym się stosem.

Choć prasa codzienna dała liczne sprawozdania z tej smutnej ceremonii, przypuszczam, że warto przypomnieć pobieżnie jej przebieg. Pochód studentów uformował się gdzieś na przedmieściu i ruszył, odwiedzając po drodze składy skazanych książek.

Jak się do tych książek doszło? Otóż przez kilka dni przed paleniem wszystkie pisma zamieściły wzmianki, że każdy, kto życzy sobie przyłożyć rękę do dzieła niszczenia niepożądanego literatury, powinien szkodliwe dzieła wyjąć ze swego księgozbioru, zapakować, zaadresować i wysłać pocztą pod wskazanym adresem. Wskazówek udzielono nadzwyczaj dokładnie i szczegółowo. Można też było osobiście odnieść książki do lokalu, gdzie

<sup>27</sup> *spalenie Reichstagu* — Wydarzenie to, do którego doszło 27 lutego 1933 r., posłużyło za pretekst do pełnego przejścia władzy przez NSDAP. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *van der Lubbe, Marinus* (1909–1934) — z pochodzenia Holender, najprawdopodobniej świadome lub nieświadome narzędzie hitlerowców przy podpaleniu *Reichstagu*. [przypis edytorski]

je zbierano. Ale mowy nie było nigdzie, żeby ktoś na przykład spalił u siebie w kuchni pod płytą lub na kominku zbiorowe dzieła Heinego czy Spinozy. Bez demonstracji taki akt wewnętrznej, domowej moralności nie byłby nic wart.

Zresztą ani Heine, ani Spinoza na liście palonych książek nie figurowali. Są to jednak wyjątki, których panujące nastroje nie usprawiedliwiają. Prasa wciąż tylko judzi i wprost tarza się w tych najgorszych absurdach, jakie wypływają z przeprowadzenia jakiegokolwiek myśli do jej ostatecznego, logicznego końca. Drugim źródłem takich „rozkładowych” książek była „czystka” przeprowadzona w bibliotekach takich, jak związku urzędników państwowych czy innych kompletnie rządowi podległych. Nie było konfiskat książek ze sklepów czy też wypożyczalni o charakterze handlowym. Nie robiono też „czystki” w bibliotekach instytucji naukowych. Wprawdzie we Wrocławiu studenci zagrozili, że przystąpią do rewizji po domach prywatnych, ale do tego nie doszło. Zresztą liczba dwudziestu tysięcy spalonych tomów świadczy, że palenie było aktem symbolicznym i nie zmierzało do faktycznego zniszczenia niepożądanych dzieł.

Książki załadowano więc na trzy ciężarówki, udekorowane hitlerowskimi flagami. Pochód nie był liczny. Składał się z korporacji z orkiestrami i ze studentów niosących pochodnie. Ludność, że tak powiem, cywilna nie brała w nim udziału. Jednakże, ponieważ maszerowano w formacjach wojskowych z dużymi odstępami między poszczególnymi grupami, pochód ciągnął się dość długo. Czas jego przybycia na *Opernplatz* wyznaczony był na jedenastą wieczór. Już o dziewiątej pięciometrowy pas pozostawiony dla publiczności wokoło prostokątnego placu był ściśle wypełniony widzami. Środek placu odgradzony sznurami patrolowała policja. Pośrodku stał stos belek, mający trzy metry sześciennie objętości, a na specjalnym podium ustawione były jupitery, aparaty kinowe i mikrofony. Oczywiście i dachy, i okna okalających plac gmachów miały swój komplet publiczności. Jednakże oba końce czworoboku w ogóle się nie zapełniły, tak że nawet ruch kołowy na *Unter den Linden* nie był ani na chwilę wstrzymany. Gdyby w pogodny letni wieczór zatrzymać ruch spacerujących po *Unter den Linden* między Zamkiem a Bramą Brandenburską — nie stworzyłoby to chyba mniejszego zbiegowiska. Prawda, że na godzinę przed nadejściem pochodu spadł mały deszcz, ale wnet się wypogodziło.

Tłum, wśród którego stoję, nie powitał nawet nadchodzącego pochodu. Jest pogodny, bo niemiecki, bo jest wiosna. Przeważnie każdy mężczyzna jest ze swą niewiastą. Zainteresowanie odzwierciedlone na twarzach należy do kategorii letnich. Jedyne okrzyki pochodzą od maszerujących studentów i od tych, którzy, jadąc na ciężarówkach, powiewają wielkimi flagami ze swastyką. Pochód bardzo sprawnie wkracza i rozmieszcza się na środku placu. Stos okrążają i rzucają nań pochodnie; tak powstaje historyczny płomień. Muzyka wciąż gra. Nagle słychać przemówienie jakiegoś profesora<sup>29</sup>. Z kolei występuje dwunastu studentów kropka w kropkę jak nasze dzielne korporanty, kompletni, z „dekłami” (dekiel to jakoś nie po polsku brzmi? Czyżby to przyszło od zachodniego wroga razem z tak historycznie oplakiwanym strojem uniwersyteckim?). Każdy ma książkę w rękę i wymawiając po kolei tę samą rytualną formułę: „Powierzam płomieniom dzieła (dajmy na to) Karola Marksa”, wrzuca książkę do ognia.

Ogólne wskazówki co do autorów, których należy palić, były następujące:

Najgorsi to pacyfiści: na przykład Ludwig Renn<sup>30</sup>.

Potem (o subtelności!) książki specjalnie zohydżające Wielką Wojnę: Remarque<sup>31</sup>.

Następnie historie wojny światowej w duchu pacyfistycznym.

Książki krytykujące Mussoliniego i faszyzm. Tu wstawka. Rozeszła się pogłoska, że palono dzieła Pitigrillo<sup>32</sup> jako pornograficzne, ale zaraz nazajutrz w pismach ukazało się sprostowanie, że to nieprawda, że gdzieśby palono dzieła najwybitniejszego humorysty zaprzyjaźnionego narodu włoskiego.

<sup>29</sup>profesor — jak podaje Tomasz Szarota, był nim Alfred Baeumler (1887–1968), profesor pedagogiki i wychowania politycznego Uniwersytetu Berlińskiego. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Renn, Ludwig (1889–1979) — niemiecki pisarz, członek Komunistycznej Partii Niemiec, walczył w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Remarque, Erich Maria (1898–1970) — pisarz niemiecki, autor głośnej książki *Na Zachodzie bez zmian* (1929), opisującej okrucieństwa I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Pitigrilli (1893–1975) — pisarz włoski, autor głośnych książek erotycznych; po dojściu Mussoliniego do władzy wyemigrował. [przypis edytorski]



Oczywiście, zbiorowe dzieła Marksa i Lenina. Tego biednego Marksa, który takie straszne rzeczy wypisywał o Żydach.

Później w ogóle autorów żydowskich, jak Lion Feuchtwanger<sup>33</sup>, Emil Ludwig<sup>34</sup>, Jakub Wassermann<sup>35</sup>, Arnold<sup>36</sup> i Stefan Zweigowie<sup>37</sup>, Kurt Tucholsky<sup>38</sup>, Ernst Toller<sup>39</sup>, Theodor Wolff<sup>40</sup>, Alfred Kerr<sup>41</sup>, Alfred Döblin<sup>42</sup>, Arthur Holitscher<sup>43</sup>, Egon Erwin Kisch<sup>44</sup>, Bernhard Kellermann<sup>45</sup>, Leonhard Frank<sup>46</sup>, Franz Werfel<sup>47</sup>, Vicky Baum<sup>48</sup> itd.

Specjalnie wyróżnieni: żydowscy burzyciele obyczajności — czytaj: Magnus Hirschfeld<sup>49</sup>.

Potem następuje długa lista już całkiem niespodziewanych autorów. Powód, dla którego zostali spaleni, pozostanie na zawsze fascynującą zagadką. Bo skoro jako kryterium wysuwa się, że są obcy duchowi narodowego socjalizmu, to autorów takich znalazłoby się znacznie więcej niż ich było na liście, choćby wspomniany już Goethe. Należą tu: Tomasz i Henryk Mannowie, Erich Kästner<sup>50</sup>, Bertha von Suttner<sup>51</sup>, Foerster<sup>52</sup>, Upton Sinclair<sup>53</sup>, Ernest Hemingway i nawet, zdawałoby się niewinny, Jack London.

Dwunastu *Kulturträgerów* zrobiło swoje i ustąpiło miejsca liczniejszej grupie towarzyszy, którzy tworzą żywy łańcuch pomiędzy ciężarówkami a stosem, podając sobie z ręki do ręki książki, aż ostatni, stojący przy samym ogniu, podrzucają je wysoko w górę, a te, rozwarłszy białe swe kartki, opadają, oświetlone z dołu płomieniem, zupełnie jak ptaki. Przychodzi chwila nieznośnego dla mnie wzruszenia. Jakiś szalony żal chwytą mnie za gardło i wyciska lzy z oczu. Nie mogę przemówić do Kurta. Żal tych książek jako

Książka, Niemiec

<sup>33</sup>Feuchtwanger, Lion (1884–1958) — pisarz niemiecki, autor powieści historycznych, w 1933 r. wyemigrował. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Ludwig, Emil (1881–1948) — pisarz niemiecki, autor biografii (m.in. Goethego i Bismarcka), które zyskały międzynarodową popularność; od 1932 roku na emigracji. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Wassermann, Jakub (1873–1934) — pisarz niemiecki, autor m.in. autobiografii *Moje życie jako Niemiec i Żyd* (1921). [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Zweig, Arnold (1887–1968) — niemiecki pisarz i pacyfista, przez pewien czas zaangażowany w ruch syjonistyczny. W latach 1933–1948 na emigracji, po wojnie prezes niemieckiego Pen Clubu. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Zweig, Stefan (1881–1942) — pisarz austriacki, pacyfista. Od 1938 r. na emigracji, popełnił wraz z żoną samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Tucholsky, Kurt (1890–1935) — niemiecki pisarz, wybitny publicysta i satyryk o przekonaniach antyfaszystowskich. Od 1929 r. na emigracji; popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Toller, Ernst (1893–1939) — niemiecki dramaturg i poeta o lewicowych przekonaniach; od 1933 r. na emigracji; popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Wolff, Theodor (1868–1943) — dziennikarz niemiecki, do 1933 redaktor naczelny „Berliner Tageblatt”. Wyemigrował do Francji; w roku 1940 aresztowany przez gestapo i osadzony w KL Sachsenhausen. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Kerr, właśc. Alfred Kempner (1867–1948) — jeden z najwybitniejszych niemieckich krytyków teatralnych; w 1933 r. emigrował do Anglii. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Döblin, Alfred (1878–1957) — niemiecki prozaik i eseista, autor m.in. powieści *Berlin Alexanderplatz: dzieje Franciszka Biberkopfa* (1929); od 1935 r. na emigracji, powrócił do Niemiec po wojnie. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Holitscher, Arthur (1869–1941) — pisarz niemiecki pochodzący z Węgier, od 1933 r. na emigracji; zmarł w Genewie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Kisch, Egon Erwin (1885–1948) — wybitny reporter, który uważał się za Czecha, Niemca i Żyda; pisał po niemiecku. Autor m.in. głośnych książek reporterskich z Rosji Radzieckiej, USA, Chin i Meksyku. W roku 1933 wydalony z Niemiec; na emigracji prowadził aktywną działalność antyfaszystowską. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Kellermann, Bernhard (1879–1951) — pisarz niemiecki, przeciwnik faszyzmu; mechanizmy społeczne rządów NSDAP w Niemczech opisał w powieści *Taniec umarłych* (1948). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Frank, Leonhard (1882–1961) — pisarz niemiecki nurtu ekspresjonistycznego, pacyfista; w latach 1933–1950 na emigracji w Szwajcarii, następnie w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Werfel, Franz (1890–1945) — pisarz i poeta austriacki, od 1938 r. na emigracji, autor głośnego, sfilmowanego komediodramatu *Jakubowski i pułkownik* (1944). [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Baum, Vicki, właśc. Hedwig (1888–1960) — pisarka austriacka, autorka popularnych romansów. W 1931 roku zamieszkała w USA; wiele jej książek zostało zekranizowanych (np. *Ludzie w hotelu*). [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Hirschfeld, Magnus (1868–1935) — wybitny seksuolog niemiecki; założyciel pierwszej niemieckiej organizacji walczącej o prawa osób homoseksualnych. Od 1932 na emigracji we Francji. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Kästner, Erich (1899–1947) — pisarz niemiecki, poeta i autor książek dla dzieci; najbardziej znane dzieło to *Emil i detektywi* (1928). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Suttner, Bertha von (1843–1914) — pisarka austriacka, pacyfistka; jako pierwsza kobieta wyróżniona pokojową nagrodą Nobla w 1905 r. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Foerster, Friedrich Wilhelm (1869–1966) — niemiecki pedagog i socjolog, autor koncepcji wychowania do wolności wyboru. Znany krytyk niemieckiego militarizmu i nacjonalizmu; od 1919 r. na emigracji. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>Sinclair, Upton (1878–1968) — powieściopisarz amerykański związany z ruchem socjalistycznym. [przypis edytorski]

ginących przedmiotów; żal tego narodu, który okrywa się wstydem. Wstyd, że ja, cudzoziemiec, gapię się na tę ich „rodzinną” hańbę. W jednej chwili ten wspólny wstyd zasymilował mnie. Chyba nigdy nie poczułem się za granicą tak bardzo miejscowym, tak bardzo Niemcem. Pomyślałem o uroczystościach weimarskich sprzed roku. Ciągłe ta myśl powraca.

A tymczasem muzyka gra. Ci, co biorą udział w obrzędzie, wiwatują umiarkowanie, a jupitery chodzą po placu jak beznadziejne latarnie morskie.

Nagle cisza. Przemawia Goebbels. Źle słyhać, tylko od czasu do czasu można różnić pojedyncze słowa i ten specyficzny ryk, jaki wydają przywódcy narodowego socjalizmu, kiedy chcą naprawdę zawładnąć tłumem. Robi to i Hitler, i Goebbels, najmniej Goering. Żadna parodia przemówienia nie potrafi oddać tego demagogicznego tonu. We mnie budzi to zawsze śmiech.

Po krótkiej mowie ministra propagandy tłum blisko stojący wznosi okrzyki na jego cześć, a reszta dalej trwa w zupełnie gapiowskiej bierności. Dopiero przy pierwszych dźwiękach hymnu hitlerowskiego *Horst Wessel*<sup>54</sup> *Lied* cały tłum ożywia się i śpiewa z zapamięłymi wszystkimi trzema zwrotkami. Muszą wydać się one nieskończenie długie dla tych, których ukłon faszystowski, trwający dobre pięć minut — nuży. Bo wszyscy mężczyźni okrywają głowy, a „rączka do góry” obowiązuje bez względu na płęć. Oglądano się trochę na mnie, że nie wykonuję tych gestów, ale nikt mnie w tej sprawie nie zaczepił.

Koniec ceremonii. Tłum się rozchodzi. Ogień dogasa. Strażacy pomagają sikawką. Z popiołu robi się błoto. W tym błocie wszyscy szukają pamiątek. Przez kilka następných dni wśród moich „nieodrodzonych” znajomych odbywały się prawdziwe licytacje na te pamiątki, znane pod ogólnym mianownikiem: *Von dem Feuer gerettet*<sup>55</sup>. Ja osobiście zdobyłem dwa trofea. Jedno to duży, na kartonie naklejony plakat: reklama powieści Remarque’a *Na Zachodzie bez zmian*. Ze względu na rozmiary musiałem go, niestety, zaraz podarować. A drugie to karta pocztowa — formularz dla pragnących zapisać się na członków Światowej Ligi Reformy Seksualnej. Pod oficjalnym adresem Ligi w nawiasie: doktor Magnus Hirschfeld. Ten szacowny, choć w błocie zbrukany dokument, mam zamiar ofiarować polskiemu oddziałowi Ligi, czym niewątpliwie zyskam sobie serca wszystkich współpracowników „Życia Świadomego”.

Jako pocieszający szczegół tej smutnej historii można przytoczyć, że w czasie pochodu studentów na ciężarówkach gorączkowo wyszukiwali i odkładali dla siebie co pikantniejsze dzieła. To tylko dowodzi, że i hitlerowska młodzież jest ludzka.

Powyższe sprawozdanie z palenia książek jest zgodne z prawdą i niech nikt nie wierzy historycznym opisom spotykanym w prasie: bachanalia, sobótki (była to środa), indiańskie tańce, afrykańskie ryki. Nic podobnego. Było tak, jak opisałem.

## REWOLUCJA

Rewolucja! Czyż naprawdę? Bezwzględnie tak. W Niemczech dokonuje się rewolucja, i to w „najczystszej” formie. Nie mam pod ręką encyklopedii, ale jestem pewien, że oficjalne określenie rewolucji da się bez reszty zastosować do wypadków niemieckich. Poza tym nikt w Niemczech temu nie przeczy, przeciwnie, podkreśla się nawet i wygrywa tę okoliczność, zaznaczając zresztą, że rewolucja jest bezkrwawa. Z opinią tą nie może się pogodzić postronny obserwator, gdyż często krwi nie da się ukryć. Ale w tych wypadkach jest znowu gotowa odpowiedź: „Musi tak być, bo w Niemczech jest rewolucja”. Zaznaczam, że jestem utopistą i że nie mogę opierać się na precedensach. Ale czyż naprawdę rewolucja musi być zawsze bardzo straszna? Widocznie tak. Ale jeżeli tak, to trzeba się zachowywać bardziej po Piłatowemu. Z większym chlupotem i bardziej publicznie myć ręce, drzeć szaty, no i nie wpadać samemu we własne credo. Tych, dla których krew zaczyna się od wymordowania kilkunastu tysięcy ludzi, wypadki w Niemczech rozrzewnią jak widok prawie nieskalanie białej sypialni panienskiej. Jeżeli w obronie tezy „bezkrawa-

Rewolucja

<sup>54</sup>*Wessel, Horst* (1907–1930) — niemiecki nazista, członek SA. Kiedy został zastrzelony, czczono go jako męczennika ruchu hitlerowskiego. Był autorem pieśni, która została oficjalnym hymnem partyjnym NSDAP, a w latach 1933–1945 była śpiewana po oficjalnym hymnie Niemiec na uroczystościach państwowych. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*von dem Feuer gerettet* (niem.) — uratowane z ognia. [przypis edytorski]

wość« sowieckiego reżimu” przytoczymy jako argument dowodowy istnienie na Wyspach Solowieckich<sup>56</sup> obozów dla więźniów politycznych czy quasi-politycznych, to oczywiście i w Niemczech te rzesze skoncentrowane w Sonnenburgu<sup>57</sup>, Oranienburgu<sup>58</sup> i w wielu jeszcze innych obozach i więzieniach będą cichym szeptem świadczyły za siebie: „Żyjemy, tak — jeszcze troszeczkę żyjemy”. Bo człowiek, żeby użyć terminologii myśliwskiej, to drobna zwierzyna. To nie pierwsza kula się liczy, tylko ostatni strzał.

Wiem niestety dobrze, co robię: jestem narzędziem *Greuelpropaganda* (propaganda grozy). To najbardziej niewybaczalna zbrodnia, jaką zna Trzecia Rzesza. Z każdym reportażem, ale zwłaszcza z tym obecnym, widoki na wizę niemiecką dla mnie maleją. Boli mnie to. Boli, bo lubię jeździć do Niemiec; bo mam tam bliskich mi ludzi; bo mi tam przeważnie jest ciepło na sercu; bo jest to najbliższy Polsce kraj, gdzie istnieje przyjaźń i prostota stosunków innych niż rodzinne; bo, i tu bądźmy szczerzy, jest to o dziesięć godzin od Warszawy, jeżeli chodzi o warunki życia, Europa całą gębą i lepiej nawet, bo z domieszką Ameryki; a poza tym wszystkim — i to jest bez porównania najważniejsze i najboleśniej — bo nikt w biurze paszportowym i mało kto z moich niemieckich przyjaciół zrozumie i uwierzy, ile ja w te moje „sprawozdania” włożyłem uczciwej życzliwości i szczerzej, prawie rzewnej przyjaźni.

Spotkałem się kilkakrotnie ze zdaniem pochodzącym od dziennikarzy zagranicznych w Berlinie, że akty terroru są objawem tak dalece przejściowym, że nie warto im poświęcać myśli oraz miejsca w prasie. Nie godzę się z tym zdaniem. Moralne następstwa podobnych okresów dla ludzi, którzy czynnie je przeżywają, są tak doniosłe, że wiele historycznych postaci w Europie dzisiejszej pozostałoby dla nas zagadkowymi dziwolągami psychologicznymi, gdyby się o nich nie wiedziało, że wyrosły w atmosferze gwałtu i spiskowania po suterrenach czy też gabinetach ministerialnych.

Cóż więc myśleć o tych objawach brutalności rewolucji? Dużo o nich słyszałem przed wyjazdem z Polski. Znacznie mniej po przyjeździe do Berlina. Zrozumiałe to jest z wielu względów. Prasa europejska, zwłaszcza lewicowa, rozbrzmiewa tą *Greuelpropagandą*. W Niemczech o podobnych sprawach nawet pisać nie wolno. Nie było chyba jednego artykułu czy wzmianki wypowiadających sąd albo ubolewanie z powodu jakiegoś aktu terroru dawno już znanego ogółowi. Co do prasy zagranicznej, ciekawe jest, że pisma na przykład angielskie, z konserwatywnym „Timesem” na czele, podają znacznie więcej szczegółów okropności niemieckich i częściej to czynią niż polska prasa. A chyba sympatia i wyrozumiałość dla Niemiec są bez wątpienia większe w Anglii niż w Polsce. Tłumacząc to sobie tym, że głównym źródłem informacji prasy polskiej o dzisiejszych Niemczech są korespondenci polskich agencji urzędowych lub półurzędowych albo też pism polskich pośrednio lub bezpośrednio podległych rządowi. Rozumiem też, że obecny rząd w Polsce zwalcza przede wszystkim skłonność do hecy w społeczeństwie i w wewnętrznym życiu politycznym. Spokój opinii polskiej stał się dziś najsilniejszą kartą w trudnej grze, jaka przypadła polskiemu ministerstwu spraw zagranicznych. Jeżeli więc powściągliwość prasy w Polsce jest inspirowana z góry, należy fakt ten tylko pochwalić. To, co dalej napiszę, może nie będzie zupełnie w duchu tej polityki. Martwi mnie to. Pisać będę z poczucia uczciwości reportażysty, a nie z lojalności dla „europejskiej racji stanu”. I tu nie jestem zupełnie w zgodzie z własnym sumieniem.

Tymczasem powracam raz jeszcze do prasy niemieckiej. Próżno w niej szukać materiału bezpośrednio rzucającego cień na łagodność rządów Hitlera. Kłamliwość tej prasy jest tak zupełna, tak (oczywiście z musu) bezczelna, że trudno do niej przywyknąć. Czytając z gruntu fałszywy opis faktów, które się zna dokładnie, nie można powstrzymać się z początku od myśli, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Przytoczę dla przykładu półoficjalną, inspirowaną wzmiankę z okazji zająć przed redakcją pisma niemieckiego w Łodzi. Twierdzi ona prawie przekonywająco, że żaden obywatel polski na terenie Rzeszy nie ucierpiał szwanku na ciele lub majątku.

<sup>56</sup> *Wyspy Solowieckie* — część sowieckiego Gulagu nad Morzem Białym. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *Sonnenburg* — jeden z pierwszych obozów koncentracyjnych, jakie powstały w Trzeciej Rzeszy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *Oranienburg* — miejscowość w pobliżu Poczdamu, gdzie już w 1933 r. utworzony został obóz koncentracyjny Sachsenhausen. [przypis edytorski]

Drugi przykład jest mniej banalny. Richard Billinger<sup>59</sup> to jeden z najzdolniejszych poetów młodego pokolenia. Ten rosły jak dąb, barczysty chłop bawarski nie jest zaangażowany politycznie, aczkolwiek wiadomo, że sympatie jego są bez wątpienia po stronie liberalizmu. Nagle w wielkanocnym numerze urzędowego organu narodowych socjalistów „Völkischer Beobachter” ukazuje się podpisany przez niego — pod względem formy słaby, pod względem treści płaski, wiersz deifikujący Hitlera<sup>60</sup>. Naturalnie budzi to zdumienie. Czyżby i Billinger przeszedł na podwórko rewolucji, śladami Stefana George’a<sup>61</sup> i Borchardta? Tylko, że tamci to ludzie, którzy nie mieli nigdy styczności z życiem. Ich opowiedzenie się za ruchem nazistowskim nie jest nawet pozytywane przez ogół niezależnej opinii literackiej za zdradę, a pręcej za dziwactwo i słabość ludzi, których partia potrafiła wyzyskać. Ale Richard Billinger! Mijają trzy tygodnie. Jeden z moich znajomych spotyka Billingera. Nie wie dobrze, czy mu się uklonić, ale ten podchodzi i z miejsca opowiada swoje zmartwienie. Wiersza, o którym była mowa, nigdy nie napisał; od trzech tygodni chodzi od redakcji do redakcji, starając się umieścić sprostowanie, ale żadne pismo nie ma odwagi go wydrukować. Prosi więc tylko teraz przyjaciół i znajomych, aby to sprostowanie podawali sobie z ust do ust.

Jakie pisma warto więc czytać? Przede wszystkim zagraniczne. Dużo się z nich człowiek dowie o wypadkach w Niemczech z dnia poprzedniego lub sprzed dwóch dni. Zważywszy sterroryzowanie prasy miejscowej, aż zdumiewa fakt, że na każdym rogu ulicy można kupić periodyk tak gwałtownie antyhitlerowski, jakim właściwie jest każda gazeta zagraniczna. Miałem dziwny odruch, jadąc kiedyś autobusem. Czytałem „Timesa” i spostrzegłem, że jakiś pan, wyraźnie Niemiec, zaglądał mi przez ramię i starał się też czytać. W jednej chwili złożyłem gazetę. Moją instynktowną reakcją było usunięcie sprzed oczu tego człowieka czegoś wysoce gorszącego i przewrotnego. Znajomych Niemców nie spotkałem na ulicy z dziennikami zagranicznymi. Dawniej, pamiętam, zawsze je czytali.

Z pism niemieckich warto przeglądać głównie dwa: „Deutsche Allgemeine Zeitung” i „Vossische Zeitung”. Pierwsze, które było zawsze świetnie redagowanym organem zachowawczym, nie miało wśród swych współpracowników ani jednego Żyda. Trudno więc znaleźć pretekst do szykanowania takiego pisma. „DAZ”, jak ją popularnie zwa, poddała się pozornie „ujednoczeniu”. Dość jednak zręcznie operuje metodą *a contrario*, głównie w obronie spraw kulturalnych w najszerszym rozumieniu tego słowa. W kwestiach polityki zagranicznej nie stanowi, jak nie stanowiła, wyjątku w stuprocentowo jednolitym froncie prasy niemieckiej. Pod tym względem i socjaliści, i katolicy śpiewają unisono, jedynie pisma o tendencjach pacyfistycznych, rzecz prosta, dziś już nieistniejące, stwarzały mały wyłom w tym „zaczepnym” murze.

„Vossische Zeitung” zaś jest dlatego ciekawa, że można znaleźć w niej więcej „samobójstw”, „śmierci w więzieniu na chorobę nerek” i w ogóle aresztowań itp. Znaleźć, oczywiście, nie na pierwszej stronie ani u góry szpalty, ale sumienny czytelnik nie może tego przeoczyć.

Co z tego, co w Niemczech nazywa się *Greuelhetze*, można uznać za prawdę? Z góry należy zaznaczyć, że od końca kwietnia do połowy czerwca bujność rewolucji przechodziła pewien stan zmniejszonej żywotności. *Greuelpropaganda* znajdowała mniej pożywki. Wydaje się, że teraz, wraz z gwałtownym zwrotem przeciwko *Stahlhelmowi*, niemieckonarodowym, Centrum<sup>62</sup>, Bawarskiej Partii Ludowej<sup>63</sup> i katolikom w ogóle — okres gwałtów znowu się rozpocznie. Ale tym razem aparat tajemnicy doprowadzony już zostanie do prawie idealnej hermetyczności i wprost z politowaniem patrzeć będziemy na te prostac-

<sup>59</sup>Billinger, Richard (1893–1965) — poeta i dramaturg austriacki. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>ukazuje się wiersz — przekład filologiczny jednej zwrotki tego wiersza przytacza Tomasz Szarota: „Pięć palców ma moja ręka / Pięć palców ma wasza wierna dłoń / Dwaj sprawiedliwi są w naszym domu / Chrystus i Hitler na ścianie”. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>George, Stefan (1868–1933) — poeta niemiecki, zwolennik hasła „sztuka dla sztuki”. Jak podaje Tomasz Szarota, George głosił co prawda teorię „heroizmu nadczłowieka”, potępił jednak nazizm. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>Niemiecka Partia Centrum — partia niemieckich katolików, istniejąca od 1870 roku; w 1933 roku uległa rozwiązaniu. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>Bawarska Partia Ludowa — z początku regionalna gałąź partii Centrum; w Republice Weimarskiej samodzielna partia konserwatywna, powiązana z wielkim przemysłem; zmuszona do samorozwiązania w roku 1933. [przypis edytorski]

kie metody z marca bieżącego roku, kiedy to rewolucja była jeszcze w powijakach (choć i teraz to dziecko drze się wniebogłosy).

Od czego tu zacząć? Czy zabijano? Tak. I bezpośrednio, i przez bicie w brunatnych domach. Okrucieństw i zabójstw dopuszczało się tylko SA. Policja i władze więzienne były i są całkiem *correct*. Stahlhelm także jest zupełnie wolny od wszelkich zarzutów w tym względzie. Główna kwatera SA była otoczona w pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez narodowych socjalistów nimbem grozy, którą trudno opisać. Mało kto zawieszony tam wychodził cało. Albo ślad po nim w ogóle ginął, albo odnajdywano go z trudem, w mniej lub więcej ciężkim stanie w szpitalu bądź też po tygodniach poszukiwań przychodziła wieść, że jest w obozie koncentracyjnym czy w więzieniu. Komunikowanie się ze znajomymi czy krewnymi pozostawionymi na wolności jest rzeczą prawie niemożliwą.

Czyta się czasem, że ktoś w więzieniu umarł na serce lub na nerki (wiadomo — były odbite), ktoś popełnił samobójstwo, że ktoś został zastrzelony w czasie ucieczki. Jeżeli starszy pan z brzuszkim, a nie zawodowy ptaszek więzienny obmyśla ucieczkę z instytucji karnej, musi naprawdę czuć się tam nieświeżo. Z powodu szalejącej za granicą *Greuelpropaganda* władze urządziły dla prasy zagranicznej zwiedzanie więzienia politycznego. Do każdej celi razem z dziennikarzami wchodził dyrektor zakładu i proponował więźniowi, żeby się na coś w swym obecnym trybie życia poskarżył. Można sobie łatwo wyobrazić przestraszone milczenie lub jeszcze bardziej przestraszone pochwały ze strony zapytanego. Jeden tylko kupiec — Żyd odpowiedział na pytanie talmudycznie: że mu się tak powodzi, jak w panujących warunkach powodzić się może. Podobno miał tej swojej subtelności słownej później dotkliwie pożałować.

W pierwszych dniach rewolucji działy się rzeczy naprawdę groźne. W wielu wypadkach bojówkarze z SA załatwiali swoje osobiste porachunki i rachunki, bijąc lub zabijając zupełnie bezkarnie wrogów lub po prostu wierzycieli. Nie podam tego szczegółu w raporcie poświęconym kwestii żydowskiej, gdyż krawiec, oczywiście Żyd, który sprzedał hitlerowcowi ubranie na raty, cierpiał nie jako ofiara nienawiści rasowej, ale raczej okrutnej koniunktury finansowej u swego oprawcy. Dziś takie porachunki osobiste są nie do pomyslenia i chyba ostatecznie należą do przeszłości. SA wzięto jednakże trochę w ryzy.

Co do bicia i wypuszczania potem na wolność, przekonano się, że system ten jest dlatego słaby, że wypuszczeni zawsze muszą coś wygadać. Więc dziś na ogół albo zamykają bez pastwienia się nad ofiarą, albo też niepożądany osobnik przepada bez wieści. Gdzieś, w jakimś lasku, dostaje kulę w łeb. Na likwidowanie zwłok znajduje się też różne pomysłowe sposoby.

Myśl moja zwraca się tu ku cudnej, liberalnej, nieznającej twardych wymogów racji stanu Polsce, gdzie tyle wylano (i ja wraz z innymi) łez i atramentu nad odosobnionymi incydentami podobnej natury. Teraz Polacy będą mogli sobie pozwolić na bardziej intensywne kampanie aktów bezprawia, gwałtu i terroru i jednocześnie zachowają prawo oburzania się na zachodniego sąsiada.

Chodzą słuchy, że teraz, o ile w *Braunes Haus*<sup>64</sup> biją czy też stosują olej rycynowy (piękny ten obyczaj przyszedł z Włoch razem z ukłonem faszystowskim), operacja ta odbywa się zawsze w obecności lekarza.

Ale co tu można wiedzieć na pewno? Terror jest kompletny. *Und niemand klagte, wer genas*<sup>65</sup> czy też prawie *niemand*<sup>66</sup>. Poselstwo polskie posiada zresztą pod tym względem ciekawy dokument. Pobity obywatel polski złożył skargę do poselstwa, a po jakimś czasie nadesłał list z prośbą, żeby jego sprawę umorzyć; przy czym tłumaczył, że wprowadzie go bili, ale dopiero teraz zrozumiał, że mieli rację, że wszystko, co się robi w imię *Gleichschaltung*, jest słuszne.

A iluż to ludzi nie wniosło w ogóle zażaleń. Zbyt już byli szczęśliwi, że uszli z życiem i że teraz mogą schować się w szarym tłumie. Wszystko to zresztą dotyczy tylko tych, którzy do jakiejś opieki mają w ogóle prawo: mam na myśli cudzoziemców.

Ważnym powodem, dla którego zmniejszyła się liczba gwałtów, jest wypowiedzenie się rządu przeciwko dokonywaniu aresztowań przez bojówkarzy, a za pozostawieniem tej

<sup>64</sup>*Braunes Haus* (niem.) — brunatny dom, siedziba lokalnych organizacji NSDAP; nazwa pochodzi od koloru mundurów funkcjonariuszy. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*Und niemand klagte, wer genas* (niem.) — Nikt, kto wyzdrowiał, nie skarżył się. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*niemand* (niem.) — nikt. [przypis edytorski]

funkcji właściwemu organowi, czyli policji. Z *Polizeipräsidium* na *Alexanderplatz* idzie się tylko do więzienia albo obozu, ale nigdy do *Braunes Haus* czy też do jakiegoś berlińskiego odpowiednika lasku sękocińskiego<sup>67</sup>.

Przedłużałem sobie prawo pobytu w tymże *Polizeipräsidium* i pomyślałem, że jednak wszystko nie wygląda tak doskonale, skoro tyle płaczących kobiet snuje się po korytarzach i siedzi godzinami w poczekalni.

Jak dalece wszystko, o czym wyżej piszę, jest znane społeczeństwu niemieckiemu? Śmiało można powiedzieć, że w dziewięćdziesięciu procentach jest całkowicie nieznanie; a w dodatkowych dziewięciu spotyka się z „entuzjastycznym sceptycyzmem”.

Wiedzą o tych sprawach ci, którzy wyraźnie wiedzieć chcą. A rzecz to niełatwa. Wiedzą zatem opozycja lewicowa, dyplomaci i zagraniczni dziennikarze. Partia komunistyczna wydaje ręcznie odbijane pisemko, które jest podrzucane zainteresowanym osobom. Arkusz ten jest istną skarbnicą dla każdego greuelpropagandzisty, gdyż dane w nim są ściśle i prawdziwe.

Wśród znakomitej większości SA panuje też kompletne nieuświadomienie co do przyczyn „narodowej czerezwyczajki”. Zresztą widać, że ci różowi, roześmiani, zdrowi chłopcy w brązowych koszulach nie katowaliby sami i nie dopuścili do katowania jakiejś starszej kobiety za to, że pan, u którego pracuje w charakterze sekretarki, popełnił straszną zbrodnię tłumaczenia w lokalu publicznym artykułu z „Daily Telegraph” towarzyszo- wi, który po angielsku nie rozumiał. Oczywiście i sam chlebobawca sekretarki oberwał za swoje i artykuł nie był zupełnie „po linii”. Incydent ten jest prawdziwy. Dodać jeszcze należy, że pobito w bestialski sposób (jak zwykle zresztą — do utraty przytomności) także młodą maszynistkę pracującą w tym samym biurze.

Czym biją? Gumowymi pałkami; dość często, choć nie wiem dlaczego, kijami bilar- dowymi lub też narzędziem, którego nie potrafię nazwać, ale postaram się opisać. Pięt- nastocentymetrowa, grubości dobrej laski, drewniana rączka; potem dwadzieścia centy- metrów gęsto zwiniętej stalowej sprężyny (zwój ma półtora centymetra średnicy), dalej znów dwadzieścia centymetrów już trochę cieńszej sprężyny, a na końcu ołowiana gąłka mająca trzy centymetry w przekroju; wszystko to obciążone skórą. Podobny instru- ment miałem sposobność oglądać na biurku u znajomego. Skóra była pęknięta na szwie i miejscami pokryta rdzą zakrzepłej krwi.

Po kilku dniach spokojnego pobytu w Berlinie takie uwagi znajomych, jak „nie trzy- maj swoich notatek w hotelu”, „uważaj, co piszesz w listach”, „pamiętaj, że istnieje pod- słuch telefoniczny” (tak jakby w Polsce zapominało się o tym) — wydają się śmiesznie przesadne jak staropanieńskie zagładanie pod łóżko. Podobno robiono rewizje w hote- lach, jawne i tajne (à la Moskwa). Mnie się to nie przytrafiło. Łatwo jest być w Berlinie dłuższy czas, mieć stosunki i znajomych i przysięgać w zupełnie dobrej wierze, że terro- ru nie ma. Chyba że szczęśliwy traf (o ty, przewrotne szczęście dziennikarskie) otworzy nagle człowiekowi oczy na zakulisową rzeczywistość.

Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy w drzwiach restauracji, gdzieśmy byli umó- wieni, po godzinnym oczekiwaniu ujrzałem czerwoną, zmieszaną, choć energiczną twarz mojego przyjaciela, pół-Niemca, pół-Amerykanina — Billa. Kim jest naprawdę w duszy, nie wiem. Paszport ma amerykański, mieszka stale w Paryżu. Przeprasza, że się spóźnił i opowiada, że całą noc nie kładł się spać i że ledwo żyje. Cóż się takiego stało? Poprzed- niego dnia po południu dostaje telefon od Angielki, bony dziecka jego kuzynki, wzywa- jący go natychmiast w bardzo ważnej sprawie. Kuzynka ta, także Amerykanka, jest żoną architekta — berlińczyka o sympatiach, o ile wiadomo, lewicowych. Bill wskakuje do taksówki, jedzie i dowiaduje się od zrozpaczonej bony, że pana aresztowano o północy, trzy dni temu; że gdy przez dwa dni nie było o nim wieści, pani poszła do *Polizeipräsi- dium*. I oto minęła doba, jak zniknęła. Bill natychmiast poruszył niebo i ziemię. Pomagał mu w tym jego paszport zagraniczny oraz kompletne opanowanie języka niemieckiego. Już nad ranem odnalazł swoją kuzynkę nieprzytomną w jakimś szpitalu. Przeszła tej samej nocy amputację jednej piersi. Stan jej był ciężki. Z czasem dowiedział się, że skierowana z *Polizeipräsidium* do *Braunes Haus* nie została tam poinformowana co do losów męża,

<sup>67</sup>lasek sękociński — pod Warszawą, miejsce pobicia przez „nieznanych sprawców” antysanacyjnego dzienni- karza i pisarza, Tadeusza Dolegi-Mostowicza. [przypis edytorski]

ale za to kilkakrotnie zgwałcona, a pierś miała tak pogryzioną, iż operacja okazała się konieczna. Bill dowiedział się też, w jakim więzieniu jest mąż i że także jest ciężko chory. Obecnie od rana biega po wszystkich możliwych urzędach, aby uzyskać konieczną, kiedy chodzi o małoletnich, zgodę ojca na wywiezienie dziecka do Paryża, gdzie zajęłaby się nim żona Billa. Po nieprawdopodobnych perypetiach i wykazaniu niesłyszanej energii — dopiął swego. Tego samego wieczoru byłem na dworcu, żeby go odprowadzić i widziałem, jak w paryskim *sleepingu* instalował jeszcze podnieconą, choć starającą się odzyskać narodową flegmę, bonę oraz elegancko wystrojonego dzieciaka.

I pomyślałem sobie: komfort *sleepingu*, do sąsiednich przedziałów podają przez okna najpiękniejsze w Europie berlińskie kwiaty; bona to wykwalifikowana *nurse* angielska, a dziecko jak z żurnala — i to ma być rewolucja.

Powyższy wypadek podaję jako ciekawą przygodę z czasów mojego pobytu w Berlinie, nie jako przykład tego, co się co dzień zdarza. Miałem bez wątpienia „szczęście” dotknąć sprawy wyjątkowej. Do poselstwa polskiego napłynęło kilkaset skarg i opisów okrucieństw. Kilku obywateli polskich nie udało się w ogóle odnaleźć; kilku siedzi jeszcze bez powodu ani sprawy w więzieniu; bardzo wielu leczy się ze skutków swej „obcokrajowości”. A jednakże gdy opowiedziałem w poselstwie o kuzynce Billa, powiedziano mi, że pierwszy raz słyszą o czymś podobnym. Kobiety bito, choć rzadko, ale o podobnych bestialskich aktach nikt dotychczas nie opowiadał.

Co do bicia, mamy zresztą oficjalną enuncjację. Członek biura spraw zagranicznych partii nazistowskiej (taki sobie mniejszy Rosenberg), wysłany do robienia propagandy w krajach skandynawskich i zapytany na konferencji prasowej w poselstwie niemieckim w Kopenhadze, czy prawdziwa jest pogłoska o pobiciu pewnej starej komunistki, nie tylko odpowiedział, że to nie jest pogłoska, lecz prawda, ale także jednocześnie wyraził gorące uznanie dla podobnych metod.

Powracając do poselstwa polskiego, jak również do opinii zasłyszanych u innych dyplomatów mających ciągle stosunki z *Auswärtiges Amt*<sup>68</sup> — należy zaznaczyć, że wszyscy jednogłośnie chwalą sobie współpracę z tym ministerstwem. Jest ono dość mało opanowane przez hitlerowców. Wódz nie wprowadził tak wielu nowych ludzi (pułkowników). A starzy (nie ze szkoły Rosenberga) dyplomaci niemieccy czują się oczywiście zażenowani niektórymi objawami panującego dziś w Niemczech bezprawia. Współdziałanie urzędników *Auswärtiges Amt* w odszukiwaniu czy uwalnianiu cudzoziemców jest bardzo gorliwe, choć pomimo najlepszej woli nie zawsze skuteczne. Tak się wtedy dziwnie ułożyło, że osobiste stosunki pomiędzy tymi urzędnikami a dyplomatami zagranicznymi nigdy lepsze nie były.

Pierwszy raz, odkąd piszę o Berlinie, użyłem przed chwilą słowa „bezprawie”. A choć w ogóle jest ono ściśle związane z pojęciem „rewolucji” i choć w innych, bardziej typowych rewolucjach może objawiało się jaskrawiej, tutaj jednakże jest potencjalnie bardziej kompletne. Jest podniesione prawie do zasady i tylko czasem bywa ubrane w formę prawną, zresztą tak naiwną, że to zakrawałoby zupełnie na humoreskę, gdyby ta hipokryzja prawna nie kosztowała wolności tysięcy jednostek.

Bez porównania najjaskrawszym przykładem takiego przemycanego bezprawia jest tak zwany *Schutzhaft*<sup>69</sup>. Jest to stara, ze średniowiecza pochodząca forma aresztowania. Stosowało się ją, ażeby zapewnić bezpieczeństwo jednostce przez oddzielenie jej kratą więzienną od niebezpieczeństwa. Taki areszt mógł trwać nie dłużej jak dwadzieścia cztery godziny. Obecni władcy najpierw przedłużyli ten dopuszczalny okres do czterdziestu ośmiu godzin, a później (duży skok) zaraz do trzech miesięcy. Ogromna większość tych tysięcy ludzi, którzy zapędzają dziś więzienia niemieckie, oraz tych, którzy przesiedzieli jeden albo kilka dni i zostali wypuszczeni, nie wiedząc nawet, co było powodem pozbawienia ich wolności, właśnie z tej „obrony prawnej”, jaką jest *Schutzhaft*, korzystali. Trzy miesiące od pierwszych takich aresztowań już dawno minęły, co nie znaczy, że wdrożono sprawy przeciw uciemnionym lub też, że ich zwolniono.

<sup>68</sup>*Auswärtiges Amt* (niem.) — Ministerstwo Spraw Zagranicznych. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Schutzhaft* (niem.) — dosł. areszt ochronny, wprowadzony w r. 1933 r. na mocy rozporządzenia o „ochronie narodu i państwa”, był ważnym elementem wprowadzonego przez nazistów „państwa stanu wyjątkowego”. [przypis edytorski]



Ale czyż można wyliczyć wszystkie objawy bezprawia i opisać całą garderobę płaszczków, pod którymi się ukrywa? Jest jeden taki płaszczek demagogiczny, w który wszyscy prawie wierzą jak w królewską koszulę z bajki Andersena. A mianowicie zarzuca się osobom, które się chce zniszczyć, po prostu nieuczciwość. Urzędowe oświadczenie, że ktoś kradł, dopuszczał się nadużyć natury finansowej, wyzyskiwał swoje wpływy czy stosunki itp. — któż na całym świecie natychmiast w to nie uwierzy? Może jakaś zaślepiona matka i to chyba nie w czasach dzisiejszych. Tylu tysiącom ludzi przypisano podobne sprawy, że opinia publiczna nie może się wprost połapać, czy wytoczono sprawy tym rzekomym kanaliom, czy zostali skazani. Wiadomo, że są aresztowani, że siedzą: dobrze im tak. A gazeta jutrzejsza przyniesie tyle nowych sensacji, że o wczorajszych „panamach” nie będzie czasu myśleć.

Tak łatwo przecież przyczepić się do ludzi operujących ogromnymi kapitałami publicznymi. Gdzie tylko jest fundusz dyspozycyjny — tam szantaż murowany. Aż strach pomyśleć, co by się mogło stać, gdyby inny reżim zastąpił obecny i chciał zastosować te same metody walki. Bo nie trzeba myśleć, że wszyscy narodowi socjaliści mają głęboką pogardę dla własnej kieszeni. Jeśli chodzi jednak o tę dziedzinę, plotek opowiada się niewiele, a skandali w ogóle jeszcze nie było. Ludzie u góry są, zda się, uczciwi, choć oczywiście, jak i w innych krajach, zgrywają się na Diogenesów. Czasem ich becзка okazuje się beczką Danaid, ale w to nie wchodzimy. Hitler na przykład całą swoją pensję kanclerską oddał na „cele”, skądinąd jednak wiadomo, że ma podobno niezły dochód z „Völkischer Beobachter”.

Powróćmy do rzekomych nadużyć. Zarzuca się je wszystkim „niewygodnym”. Tak aresztuje się hrabiego Eulenburga, osobistego przyjaciela syna Hindenburga. Prałat Kaas<sup>70</sup>, były przewodniczący byłej Partii Centrum, zaskoczony wypadkami za granicą, postanawia pozostać w Rzymie *ad infinitum*<sup>71</sup>, gdyż wie dobrze, że na granicy Niemiec byłby aresztowany pod zarzutem brudnych machinacji pieniężnych. Wreszcie najskuteczniejszą bronią, która przyczyniła się do kompletnego zniszczenia organizacji robotniczych i zawodowych, było rzucenie podejrzeń na czystość rąk przywódców związków zawodowych, Grossmanna<sup>72</sup> i Leiparta<sup>73</sup>, dwóch starych ludzi znanych z prawości, uczciwości i bezinteresowności, którzy całe życie poświęcili sprawie robotniczej. Przeciw jednemu z nich wysunięto zarzut, że pobierał „niesłychanie wygórowane wynagrodzenie”, bo aż siedemset marek miesięcznie. Ale jak już wspomniałem, zarzut chciwości, choćby poparty tak śmiesznie słabymi argumentami, zawsze trafia do złośliwej łatwowierności tłumu. Tłum ten w Niemczech pozwolił i ze spokojem patrzył na zniszczenie przeszło półwiekowego dorobku i zdobyczy klasy robotniczej w ogóle i partii socjaldemokratycznej w szczególności. Stracił on wiarę w uczciwość swych przywódców i jednocześnie jakiś dziwny węzeł myślowy, jakaś psychoza kazały mu zobojętnieć na wszystko, co zbudował swymi oszczędnościami i ofiarnością, w co do tak niedawna święcie wierzył jako w jedyną drogę do lepszej przyszłości. Klasowo uświadomiony Niemiec nie ma w co dziś wierzyć, więc mówi sobie, że może rząd ma i rację, może go ostatecznie nie skrzywdzi.

Nie potrafię przeprowadzić analizy wszystkich składników czy „rozkładników” stanowiących o atmosferze rewolucji, która się w Niemczech dokonuje. Bez wątpienia, pewne analogie z Rosją Sowiecką wzmacniają świadomość, że tu naprawdę odbywa się rewolucja. Jest nerwowość w powietrzu i nie da się o tym zapomnieć ani na chwilę. Jest też ciągle mowa o sabotażu i kontrrewolucji. Do walki z nimi, podobnie jak do walki z korupcją, ustanawia się nawet odrębne urzędy. Do tych i im podobnych nowo powstających urzędów wyznacza się „komisarzy” z poleceniem, aby w ciągu, dajmy na to, trzech dni dobrali sobie współpracowników, zorganizowali biura, rozpoczęli działalność i złożyli o niej i projektach na przyszłość raport rządowi.

<sup>70</sup>Kaas, Ludwig (1881–1952) — ksiądz katolicki, przewodniczący partii Centrum, przeciwnik nazizmu. Od 1933 r. na emigracji w Rzymie, współpracował przy powstaniu encykliki papieża Piusa XI *Mit brennender Sorge* odnoszącej się krytycznie do sytuacji Kościoła w III Rzeszy. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*ad infinitum* (łac.) — w nieskończoność. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Grossmann, Kurt (1897–1972) — działacz lewicowy i dziennikarz, sekretarz generalny Niemieckiej Ligi Praw Człowieka. W 1933 roku zbiegł z Niemiec; zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Leipart, Theodor (1867–1947) — jeden z przywódców niemieckiego ruchu związkowego, socjaldemokrata. W roku 1933 więziony i torturowany przez nazistów. [przypis edytorski]

A poza tym wszystkim istnieje na tle już i tak dość zagmatwanego schematu administracji, z ministerstwami i urzędami Rzeszy i odrębnych jej krajów, jeszcze nieprawdopodobna, że tak powiem, koleżeńska nonszalancja, z jaką ministrowie i komisarze mieszają się do spraw cudzych resortów lub innych krajów Rzeszy. Zabierają oni publicznie głos na tematy, które, zdawałoby się, mają swoich „naturalnych” referentów. Jak na kermaszu — nikogo nie razi ani nie drażni, że dwie sąsiadujące karuzele grają jedna marsza, a druga polkę — tak samo w tej barwnej i jak kermasz podniecającej imprezie przewrotu narodowosocjalistycznego, ten zamęt w pośpiechu jest uważany nie tylko za objaw naturalny, ale także nawet za oznakę pewnej młodzieńczej żywotności. W każdym razie potwierdza to bez wątplenia istnienie wśród sfer rządzących prawdziwej *Kameradschaft*<sup>74</sup>.

Siedzę w kawiarni. Przejeżdża siedem czy osiem ciężarówek. Ustawiono w nich ławki, a na ławkach siedzą, trzymając karabiny między kolanami, policjanci i członkowie policji pomocniczej. Wiadomo, co to znaczy: *Razzia*<sup>75</sup>. Otoczą cały blok domów lub nawet kilka ulic, a może jakiś park, wszystkich wylegitymują i poddadzą rewizji. Podejrzanych zatrzymują. Taka oblawa trwa czasem cały dzień. Zdarza się głównie w dzielnicach ubogich, gdzie dużo jest komunistów, lecz i w centrum, i w Westend bywa również przeprowadzana. Znajoma moja, żona wysokiego urzędnika *Auswärtiges Amt*, musiała kiedyś siedzieć zamknięta w domu do samego wieczora. Telefonowała do męża, żeby uzyskał jej „zwolnienie”. Nic nie pomogło. Protekcja w takich przypadkach pozostaje bezskuteczna. Oczka w sieci są zupełnie równe. Kogo się tak łowi? A mało to jest wrogów i podejrzanych: prawicowych, lewicowych, centrowych, no i w ogóle niehitlerowców?

Auta przejechały. Zaglądam do gazety. Panna Neppach, tenisistka, Żydówka, którą widziałem wczoraj w barze, „popelniła samobójstwo z niewiadomych powodów”. Córka Scheidemanna wraz z mężem popełnili samobójstwo. Profesor Mayer, nieoceniony znawca sztuki i dyrektor monachijskiej pinakoteki, popełnił samobójstwo w więzieniu. Burmistrz jakiejś miejsciny na Fryzjach, poseł socjaldemokratyczny z Hamburga itd., itd... popełnili samobójstwa. Nie chce się wprost wierzyć. Nie podaje się nigdy szczegółów śledztwa, a rzadko kiedy sposób, w jaki samobójca skrócił swoje dni.

Tak. To chyba jest rewolucja.

A czy to, co piszę, jest *Greuelpropaganda*? Nie. Ciągle radziłem się swego sumienia. To, co piszę, to uczciwa, smutna prawda.

## ŻYDZI

Wśród nawały rozporządzeń i ustaw wydawanych przez rządy narodowej rewolucji jest jedna ustawa, która, choć nadzwyczaj doniosła, ciekawa i śmiała, nie jest typowo rewolucyjna. Mam na myśli wprowadzenie w Prusach tak zwanego *Abnerbenrecht*. Jest to wskrzeszenie prawa istniejącego w średniowieczu; pewne jego pozostałości przetrwały do dnia dzisiejszego w niektórych krajach Rzeszy. Polega ono na tym, że z każdego chłopu robi ordynata, czyli że wolno mu jest zapisać zagrodę i wszelką nieruchomość tylko najstarszemu synowi. Ma to przeciwdziałać skrajnemu rozdrabnianiu ziemi i chronić zdrowe, samowystarczalne jednostki gospodarcze. Co się stanie z siostrami i młodszymi braćmi nowego ordynata — nie wiadomo.

Przypominam sobie moje zdumienie, gdy bardzo niedługo po przyjeździe do Berlina spotkałem się w „DAZ” ze wstępnym artykułem analizującym to prawo i po raz pierwszy otwierającym mi oczy na całą absurdalność kwestii i prawodawstwa rasowego. Wyczytałem, że ponieważ „prawo germańskie powinno wychodzić na dobre tylko obywatelom krwi niemieckiej, więc i w ustawie o *Abnerbenrecht* paragraf aryjski jest specjalnie uwzględniony”. Za chłopą w znaczeniu ustawy nie może być uważany ten, „kto wśród przodków męskich swojego rodu lub wśród innych przodków do czwartego pokolenia włącznie ma osobę pochodzenia żydowskiego lub niebiałej rasy”. „W przyszłości małżeństwo zawarte z osobą krwi nieniemieckiej uniemożliwi potomstwu raz na zawsze zaliczanie się do chłopów w sensie posiadania dziedzicznej zagrody”. Paragraf ten jest ostrzejszy od innych podobnych paragrafów aryjskich w tym, że nie tylko wymaga zupełnej czystości pochodzenia samego nazwiska, ale także nie cofa się do trzeciego, lecz

<sup>74</sup>*Kameradschaft* (niem.) — koleżeństwo. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Razzia* (niem.) — oblawa policyjna. [przypis edytorski]

aż do czwartego pokolenia. Istnieje przypuszczenie, że obrachunek ten rozpoczynać się będzie nie od obecnego właściciela, ale od jego spadkobiercy. Wyjątek stanowią „niekolorowi” i nie-Żydzi nie-Aryjczycy, jak na przykład Węgrzy, a za przynależnych do krwi niemieckiej uważani są wszelcy Germanowie, więc Holendrzy i Duńczycy. Czy jednakże w przyszłości związek małżeński zawarły, dajmy na to, z Hiszpanką (krew nieniemiecka), będzie równoznaczny z wydziedziczeniem potomstwa? Biorąc logicznie — tak.

Stawianie kwestii żydowskiej i ras kolorowych na jednej płaszczyźnie jest nie tylko śmieszne samo przez się, ale także przez ogromną niewspółmierność znaczenia obydwu problemów. Tych kilku jazzbandzistów i odźwiernych, którzy przywędrowali jeszcze przed wojną z kolonii niemieckich, zostało naturalizowanych, a teraz wszyscy wyrzuceni na bruk giną z głodu, to tylko smutny i może trochę „barwniejszy” szczegół tego ogromnego, choć nie bez wigoru namalowanego narodowego kiczu. Śpiewak murzyński, obywatel amerykański, który do niedawna świetnie zarabiał, po długiej chorobie w szpitalu wyczerpał wszystkie swoje oszczędności. Nie ma nawet na wyjazd z Berlina, a nie ma prawa zarobić choćby śpiewaniem na podwórkach. (Śpiewacy podwórkowi zostali zorganizowani. Muszą wykazać się partyjną prawomyślnością, ale chodzi głównie o repertuar — musi być czysto narodowy). W nocnym klubie, gdzie dawniej Murzyn ten występował, właściciel zbiera wśród stałych bywalców na wysłanie nieszczęśliwca do Paryża.

Inna rzecz z Żydami; to już nie detal; to sprawa przejmującej powagi. Stanowią oni w Niemczech zaledwie jeden procent ludności. Nie należałoby się może dziwić ludziom, którzy, mając zastrzeżenia instynktowne czy interesowne przeciwko Żydom, przedsięwzięją te okrutne kroki, o których słyszymy; trudno bowiem naprawdę wystawić sobie bardziej żywotny, chłonny i z temperamentu zachłanny taki sobie jeden procent jak Żydzi niemieccy. Gdyby więc ci Żydzi, poza wrodzoną właściwością wypełniania sobą każdej próżni, luki czy potrzeby — jeszcze źle się asymilowali, można by łatwo zrozumieć tych, którzy myślą kategoriami plemiennymi. Ale przecież poza krajami anglosaskimi nigdzie Żyd nie okazał się tak lojalnym i patriotycznym obywatelem (dawali tego dowody podczas wojny) jak właśnie w Niemczech. Tak samo dzisiaj, kiedy się chce, tak jak ja, w rozmowach z Żydami niemieckimi dowiedzieć prawdy o panujących stosunkach, natrafia się na podwójną trudność. Po pierwsze, istnieje aż zbyt słusznie uzasadniony strach, ale po drugie — i to w o wiele wyższym jeszcze stopniu — niechęć zwierzenia się z bolesnych i brudnych „spraw rodzinnych” przed człowiekiem obcym, w dodatku Polakiem. Można śmiało powiedzieć, że ogromna większość Żydów niemieckich tylko czeka z upragnieniem na tę chwilę, kiedy im znowu wolno będzie stać się stuprocentowo lojalnymi Niemcami. Jeżeli obecny straszliwy ucisk nie potrwa zbyt długo, przewiduję, że dożyjemy jeszcze czasów nowej fali niemieckiego szowinizmu wśród niemieckich Żydów. Będzie to coś jak kochające małżeństwo godzące się po sprzeczce; jakiś, bardziej niż pierwszy, świadomy miesiąc miodowy. Ale z drugiej strony prześladowanie to może zniszczyć przywiązanie Żydów do Niemiec, o ile w czasie jego trwania zdąży się wychować całe jedno pokolenie „urodzone w niewoli, okute w powiciu”.

Za kogóż innego niż za Niemkę może się uważać osiemdziesięciokilkuletnia staruszka, która, choć rodem z Łodzi, wyszła za mąż do Berlina, mając niespełna dwadzieścia lat? Jest i była zawsze bezwyznaniowa, więc nawet symbol synagogi dla niej nie istniał. Odkąd jest Niemką, przeżyła dwie wojny: 1870 i 1914. Podczas obu musiała drzeć o życie najbliższych. W wojnie światowej miała trzech synów i zięcia. Jeden syn poległ. Dwaj inni byli ranni i otrzymali wysokie odznaczenia wojenne. Jednego z nich wojna zaskoczyła w Ameryce Południowej. Przemycił się z powrotem do Niemiec z narażeniem życia i tylko po to, żeby wstąpić do wojska. A teraz jako docent uniwersytetu w Lipsku, pozbawiony możliwości zarobkowania, no i nawet pracy naukowej (laboratoria i biblioteki są dla niego zamknięte), musiał wyjechać do Paryża, gdzie szuka jakiegoś zajęcia i boryka się z wielkimi trudnościami materialnymi. Prawie identyczny los spotkał drugiego pozostałego przy życiu syna; tylko że ten jest w Pradze i ma nadzieję dostać pracę w Zurychu. Przecież ludzie ci włożyli w Niemcy zbyt wiele kapitału uczuciowego, żeby od razu móc zobojętnieć.

Więc też ta moja znajoma siedzi sobie cichutko wraz z córką wdową. Synowie już nie pomagają, więc dochody na utrzymanie domu ogromnie zmalały, a przeciwnie, trzeba

Antysemityzm, Niemiec

jeszcze myśleć, żeby dozwolone, pomimo ograniczeń walutowych, dwieście marek miesięcznie wysłać do Paryża i Pragi. Do dużego, zasobnego, nieomylnie żydowskiego (poznaję je na całym świecie) mieszkania przyjęto lokatorów, Żydów oczywiście. Aryjczyk, nawet największy filosemita, niechętnie zamieszka tam, gdzie mogą być rewizje i gdzie pewnie niezadługo zapanuje nędza. Lokatorzy Żydzi tymczasem płacą. Czy to potrwa — nie wiadomo. Jeden jest studentem z Polski — to jak PKO — pewność i zaufanie. Ale jak długo będzie jeszcze mógł tu studiować? Przyszłość jest tak straszliwie niepewna. Te panie jednakże z godnością, ograniczywszy swe potrzeby do minimum, nie okazując pierwszemu lepszemu goryczy, jaka musi być ich udziałem, na zewnątrz pogodnie, oczekują lepszego jutra. „Przecież ono przyjść musi?” — pytają mnie trochę nerwowo, patrząc mi w oczy prawie pokornie. Zaprzeczają pogłoskom, jakoby na ulicach miały miejsca akty gwałtów nad Żydami, przeciwnie, podnoszą fakt, że doznały wiele przyjaźni i współczucia od czasu rozpoczęcia prześladowań.

W przeciwieństwie do Nadrenii, w miastach portowych, a głównie w Hamburgu, gdzie najtrudniej wywołać nastroje antysemickie i gdzie dzień bojkotu skończył się notorycznym fiaskiem, nie można było już wczesnym popołudniem kupić kwiatów, gdyż wszystkie powędrowały do mieszkań żydowskich, wysłane tam przez zażenowanych i współczujących Aryjczyków. Ale te fakty, jak również to, że w dzień bojkotu ustępowano Żydom miejsca w kolejkach czy też inaczej podkreślano swą, niestety, tylko powierzchowną niesolidarność z panującymi, a raczej narzuconymi nastrojami, chyba mało kogo na długo pocieszały. Odwagi, znów to powtarzam, w łamaniu bojkotu ze strony aryjskiej nie zanotowano, a i współczucie, o którym pisałem, ogranicza się jedynie do kart wizytowych, kwiatów i odwiedzania znajomych Żydów. Za to zaprasza się Żydów znacznie rzadziej. Jest to zresztą zrozumiałe. Bo co powie kuzyn Otto czy wuj Herbert, kiedy wpadłszy niezapowiedziany na herbatę, dumny ze swej brązowej koszuli, zastanie wokoło salonu istny fryz krogulczych profilów. „To naprawdę zbytnio by już raziło na tle ogólnych nastrojów”.

Antysemityzm znacznie bardziej jeszcze niż inne odruchy rewolucji jest „odruchem programowym”. Osobiście nie miałem sposobności spotkania prawdziwego żydożercy, zwłaszcza urzędnicy państwowi wstydliwie „milczeli na ten temat” lub też wypowiadali często słyszaną formułę: „Ja osobiście nic przeciwko Żydom nie mam, przeciwnie, mam wśród nich nawet bardzo dobrych przyjaciół, ale rzeczywiście już tak opanowali wszystkie dziedziny życia, że może rząd ma rację w tym, co czyni”. A znowu znajomi z SA czy też ważniejsi hitlerowcy zachowują się wobec posunięć antyżydowskich tak samo, jak wobec wszystkich negatywnych stron rewolucji, czy chodzi o rozzuchwalenie młodzieży akademickiej, czy o palenie książek — bagatelizują te objawy. Najwyżej przyznają, że robi się to trochę z chęci zyskania sobie tłumy.

Jedynie konkretne skargi z żydowskich ust słyszałem od matki na temat syna gimnazysty. Chłopiec był chory od nowego roku przez cały trymestr i powrócił do szkoły dopiero po Wielkanocy. Jest nadzwyczaj rosły i wysportowany, dzięki czemu stał na czele drużyny harcerskiej. Po powrocie zastał ten wysoki urząd już w godniejszych aryjskich rękach. W dodatku rozpoczęły się prześladowania ze strony kolegów. Twierdzili przede wszystkim, że nie wierzą w jego chorobę, że po prostu jako Żyd bał się przyjść do szkoły; że ponieważ przyjaźni się z synem barona bałtyckiego, obywatela estońskiego — przyjaźni się z bolszewikami; że powinien razem z wszystkimi Żydami wyjechać do Rosji; że jest harcerzem, bo to organizacja międzynarodowa, więc żydowska; wszystkie te zarzuty kończyły się zwykle rękoczynami. Z utarczek tych wychodził zwykle Willy zwycięsko, choć raz, kiedy go widziałem, był niewiarygodnie podrapany. Matka telefonowała ze skargą do dyrektora gimnazjum, którego znała od lat. Powiedział jej, że całe ciało pedagogiczne ubolewa nad panującymi stosunkami i stara się im przeciwdziałać, ale że dzieci i młodzież są jakby ugryzione przez wścieklą muchę, przyniosły po wakacjach z domów jakiś nadzwyczajny zasób wojowniczości, zawziętości i złośliwości.

Pytałem wszystkich Żydów, z którymi prowadziłem zasadnicze rozmowy, czy mają zamiar emigrować. Większość odpowiadała mi dość oschle, że są Niemcami i że fakt, iż jest im chwilowo źle, nie jest dostatecznym powodem do opuszczenia ojczyzny. Ta mniejszość jednak, dla której życie w Niemczech stało się niemożliwe, objaśniała mi, jak trudno jest wyjechać. Władze skarbowe stoją przeważnie na przeszkodzie. Fiskus działa

dwojako, bo i w obronie (albo w rzekomej obronie) swoich interesów albo też wprost jako narzędzie szykany. Żyd nieposiadający żadnej nieruchomości ani żadnego kapitału w banku wyjedzie stosunkowo najłatwiej, ale właściciel kapitału czy nieruchomości nie zostaje wypuszczony pod blahym, lecz decydującym pretekstem, że skoro wyjedzie, nie będzie płacił podatku ze swego majątku, pomimo że majątek ten pozostaje przecież w Niemczech. Należy mieć ciągle w pamięci zakaz wywożenia pieniędzy. Ale władze wychodzą z założenia, że ktoś, kto osiadł za granicą, zawsze znajdzie nielegalny sposób sprowadzenia swej gotówki. A jeżeli chodzi o czystej wody szykanę, mogę przytoczyć przykład mego dobrego znajomego, wybitnego lekarza higienisty, Żyda, który, otrzymawszy bardzo dobrą posadę na jednym z uniwersytetów francuskich, nie uzyskał prawa wyjazdu, gdyż kazano mu otworzyć sobie konto oszczędnościowe w Berlinie w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy marek, podczas gdy on, jako lekarz bez praktyki, miał wszystkie dwa tysiące marek oszczędności. Gdy wyjeżdżałem z Berlina, miał już tylko pięćset marek i nie wiedział, co dalej pocnie.

Gdzie procentowo było najwięcej Żydów? Dwa wolne zawody, a mianowicie medycyna i adwokatura, były naprawdę, choć głównie w Berlinie, opanowane przez element żydowski. W każdym z tych fachów ludzie pochodzenia żydowskiego stanowili większość.

Lekarze opierali swój budżet głównie na wynagrodzeniach wypłacanych im przez kasy chorych. Używam liczby mnogiej, bo poza ogólnokrajowymi czy „rzeszowymi” kasami istniało jeszcze mnóstwo różnych *Krankenkasse*<sup>76</sup>, prowadzonych dla swoich członków przez poszczególne związki i organizacje. Z wszystkich tych stanowisk lekarze pochodzenia żydowskiego zostali, z nadzwyczaj rzadkimi wyjątkami, usunięci. Pozostała im więc praktyka prywatna. Ale co się okazuje? Niemiecką izbą lekarską o władnęli hitlerowcy. Mogą więc każdego wykreślić z listy lekarzy uprawnionych do pełnienia swego zawodu. Każdy lekarz otrzymał kwestionariusz zawierający około stu pięćdziesięciu pytań. Pytania te dotyczą między innymi przynależności rasowej własnej, żony oraz swoich i żony rodziców i dziadków. Należy odpowiedzieć, czy się było kiedykolwiek czynnym komunistą czy socjalistą; co się robiło podczas wojny i czy się na niej straciło ojca lub syna. Każdy lekarz poszlakowany rasowo, politycznie lub bez zasług wojennych, jeżeli będzie dalej chciał prowadzić praktykę, może być uznany za znachora i odpowiednio karany.

A adwokaci? W Berlinie na trzy tysiące sześciuset adwokatów było około dwóch tysięcy ośmiuset podpadających pod dzisiejszą klasyfikację jako Żydzi (jedna czwarta krwi żydowskiej wystarcza). Zastosowano do nich na ogół te same zasady co do urzędników państwowych, tak że pozostało około tysiąca siedmiuset Żydów, którzy zasadniczo zachowali prawo praktyki i występowania w sądach. Ale skądinąd dano do zrozumienia tym wybrańcom losu, że o ile zjawią się w sądzie, „burzliwe elementy patriotyczne”, za które przecież nie sposób odpowiadać, zbiją ich po prostu na progu, a jeżeli nawet by to się nie zdarzyło, wykluczone jest, aby obrońca Żyd wygrał dziś sprawę w jakimkolwiek sądzie odrodzonych Niemiec. Bieda, i to beznadziejna, zagląda więc też do większości domów mecenasów berlińskich; i tylko kilka największych znakomitości wzięło sobie Aryjczyków na *Strohmannów*<sup>77</sup>, by ci występowali w sądach. Ale i to długo nie trwało. Izba Adwokacka zabroniła swym członkom utrzymywania jakichkolwiek zawodowych stosunków z prawnikami, którzy utracili prawo do praktyki. Jest surowo zakazane zakładać spółkę lub wspólną kancelarię z adwokatem niearyjskiego pochodzenia, a każdy taki stosunek, o ile istnieje nie dłużej jak od września 1930 roku, musi być natychmiast rozwiązany.

Wreszcie są i urzędnicy państwowi, wśród których też nie brakowało Żydów. Przepisy wykonawcze do nowej ustawy o przyjmowaniu i zwalnianiu urzędników rzucają oskarżający snop światła na beznadziejność położenia Żydów czy też lewicowców, którzy chcieliby dalej spokojnie zarabiać na życie. Ustawa ta bowiem (*tacite*) stwierdza, że żadna pretensja tych ludzi nie może być broniona przez prawo. Aryjski więc paragraf ustawy urzędniczej tym znowu różni się od ogólnych zasad o aryjskości, że bierze pod uwagę i pozaślubne pochodzenie. Adopcja w niczym nie zmienia położenia. Wyjątek co do nie-Aryjczyków pełniących służbę państwową już przed 1 sierpnia 1914 roku jest tu sprecyzowany w tym

<sup>76</sup>*Kranken*kasse (niem.) — ubezpieczalnia zdrowotna, dosł. Kasa Chorych. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*Strohmann* (niem.) — figurant. [przypis edytorski]

sensie, że musieli oni być na służbie od tego czasu bez przerwy i że są w wybitnym stopniu zasłużeni. (Co za pole dla komentatora!). Pojęcie „żołnierza frontowego”, pierwszy raz wysunięte przez ustawę, jest tutaj także specyficznie wyjaśnione, w sposób odmienny niż dotychczas i nader zwięzły. Dotąd za „żołnierza frontowego” uważany był ten, kto dwa miesiące spędził z polecenia władz w rejonie działań wojennych, a teraz tylko ten, kto z walczącymi oddziałami brał czynny udział w „potyczce lub akcji wojennej”; kto posiada odznakę za rany lub kto walczył przeciwko spartakusowcom, seperatystom albo też przeciwko wrogom narodowego odrodzenia. Wszyscy nieodpowiadający tym wyjątkom muszą być przeniesieni w stan spoczynku. I tu nagle wielka łaska: „Przepis ten nie dotyczy naturalnie żydowskich nauczycieli w żydowskich szkołach”. Co za ulga: Żyd może być nawet rabinem.

Ale dajmy na to, że jakiś wyjątkowo zasłużony i mający szczęście urzędnik ćwierć-Izraelita ominął tę Scyllę. To nie koniec. Czekają na niego jeszcze Charybda w formie paragrafu o „politycznie niepewnych”. „Niepewność” polityczna nie jest zależna od przynależności do jakiejś partii (z wyjątkiem komunistycznej), ale od tego, czy urzędnik słowem, na piśmie lub też w ogóle swoją postawą nie sprzeciwiał się odrodzeniu narodowemu, nie szkodził urzędnikom-narodowcom (przy istniejącym głodzie pracy co za okazją do donosów i skarg!). Wstąpienie do któregoś z ugrupowań narodowych po 30 stycznia bieżącego roku nie będzie uważane za usprawiedliwienie. Za kryterium powinno służyć wypowiedzenie się urzędnika w czasie wyborów. Tę sprawę należy — w miarę możliwości — jak najściślej wy badać. Wyżsi urzędnicy powinni być badani surowiej od podwładnych, a dla „żołnierzy frontowych” przy ich badaniu nie powinno się mieć żadnych wyjątkowych względów. Jeżeli nie-Aryjczyk jest uznany za politycznie niepewnego, nie dostaje emerytury; po prostu wydalą się go ze służby (co za oszczędność!). A jeżeli jest profesorem, traci w dodatku w ogóle prawo wykładania.

Jak widzimy, wolne i naukowe zawody, bo nawet zawody na wolnym powietrzu, są dla Żydów zamknięte. A propos sportów: wszyscy wiemy, że świetny tenisista Prenn<sup>78</sup> nie może reprezentować sportowych barw Rzeszy, ale czego ogół nie wie — o ciężkich kłopotach i targach z własnym aryjskim sumieniem sportowego świata niemieckiego, który dowiedział się niedawno o niearyjskim pochodzeniu drugiej rakiety Niemiec, barona von Cramma<sup>79</sup>, ale nie ma wprost odwagi wyrzucić go z reprezentacyjnego zespołu.

Lecz powróćmy do nauki i profesorów. A więc Max Liebermann, wieloletni prezes berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych, największy impresjonista, jakiego wydały Niemcy, starzec o niesłychanym osobistym i artystycznym prestiżu, jeden z trzydziestu kilku odznaczonych przez Hindenburga „Orłem”, jedyną odznaką weimarskiej republiki, przyznawaną według osobistego uznania prezydenta, podaje się do dymisji ze względu na panujące stosunki. Nikt nie miał odwagi go ruszyć. On miał jednakże odwagę napisać śmiały i piękny list.

Równie pięknym i przejmującym dokumentem był list rezygnacyjny laureata Nobla, profesora Francka<sup>80</sup> z uniwersytetu w Getyndze. Ten wielki uczony walczył na froncie, zdobył Krzyż Żelazny i przez to należał do tych uprzywilejowanych, którzy mogą nadal piastować swoje stanowiska; ale profesor Franck podał się do dymisji, uzasadniając swój krok tym, że nie może służyć krajowi, który nie uznaje jego dzieci za Niemców, lecz tylko za obywateli drugiej klasy, za pariasów.

Wspomniane dwa listy na tle powszechnej uległości niemieckiej, dzięki swej odwadze i szlachetnej formie, nabierają cech zupełnie heroicznych.

Laureatów Nobla pozbawionych dziś stanowisk i możliwości zarobku jest kilku, ale wspomnę tylko o profesorze Haberze<sup>81</sup>, gdyż jest to wypadek wyjątkowo znamieny. Ten profesor berlińskiego uniwersytetu położył największe zasługi (używam gotowego zdania) dla ojczyzny jako pionier w fabrykacji gazów trujących podczas Wielkiej Wojny.

<sup>78</sup>Prenn, Daniel (1904–1991) — tenisista niemiecki. Od 1933 r. na emigracji w Anglii. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Cramm, Gottfried Freiherr von (1909–1976) — tenisista niemiecki, uważany za najlepszego na świecie zawodnika. W 1938 roku oskarżony o homoseksualizm, w przepisach hitlerowskich traktowany jak przestępstwo i skazany w maju 1938 na 10 miesięcy więzienia. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Franck, James (1882–1964) — laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki (1925). W 1933 r. opuścił Niemcy i wyjechał do Stanów Zjednoczonych; brał udział w budowie pierwszej bomby atomowej. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Haber, Fritz (1868–1934) — laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii (1918). [przypis edytorski]

Jak dla laureata Nobla, tak dla zwykłego studenta Żyda droga do nauki jest zamknięta. Ma być wprowadzony *numerus clausus* w proporcji, oczywiście, nie wyższej niż jeden procent. Tymczasem sprawa jest w zawieszeniu. Niektórzy odważniejsi studenci żydowski, jeżeli nawet nie uczęszczali na wykłady, przynajmniej starali się wykańczać swe roboty w bibliotekach czy laboratoriach; ale i tym ich aryjscy koledzy, poparci wyłącznie prawem kaduka, odbierali legitymacje, dając do zrozumienia, że lepiej nie pokazywać się na terenie uniwersytetu, że sprawy studentów Żydów będą rozpatrzone indywidualnie przez władze i że może na jesieni kilku z nich znowu będzie dopuszczonych.

Jakim Żydom jest stosunkowo najłatwiej dziś żyć w Niemczech? Bezwzględnie bankierom. Z nimi obchodzą się względnie gładko i łagodnie. To samo dotyczy, jak dotychczas, wielkich przemysłowców. Zresztą przemysł niemiecki jest na ogół dziwnie mało żydowski. Czasem w bankach czy towarzystwach ubezpieczeniowych przeniosą Żyda na niższe stanowisko, ale wynagrodzenie pobiera to samo. Bardzo zdziwiła mnie atmosfera panująca w domu ludzi dawno i dobrze mi znanych, Żydów wielkich przemysłowców i sportowców. Jest to wielomilionowa fortuna. Byłem u nich na dużym, wystawnym śniadaniu. Przy stole było trochę rodziny, reszta gości składała się z arystokratów-przemysłowców i arystokratów-sportowców. Dokonaliśmy wszyscy, gospodarze i goście, zupełnego wyczynu towarzyskiego; przez całe śniadanie nie padło ani słowo o polityce, rewolucji, Hitlerze czy antysemityzmie. Jakaś widocznie bardzo nieobyta pani wyrwała się tylko z zapytaniem, czy *Querschnitt* został zawieszony, i nawet ta, w innych czasach, niewinna uwaga rzuciła pewien chłód na zgromadzenie. Później, kiedy znalazłem się sam na sam z gospodarzem, zadałem mu za dwoma nawrotami pytania proste i niepodstępne, po prostu takie, jakie nasuwa dzisiejsza niemiecka codzienność. Spotkałem się z kompletnym milczeniem, zignorował po prostu moje pytanie — a przecież łączą nas od wielu lat bardzo zażyłe stosunki.

Jak przedstawia się kwestia żydowskiego handlu? Tu sprawa jest niejasna. Jednodniowy, demonstracyjny bojkot skończył się bezwzględną kląpą, zaraz nazajutrz sklepy żydowskie pełne były kupujących. Ogólna polityka w tym względzie jest też, zdaje się, niecałkowicie ustalona. Napisy *Deutsches Geschäft*<sup>82</sup> były po ustaniu bojkotu najpierw zabronione, potem znowu dozwolone. W każdym razie dziś bojkot nie istnieje. Co się tyczy personelu, wszystkie wielkie domy handlowe i sklepy spotkały się w początkach rewolucji wprost z terrorem, zmuszaniem do obietnicy wymówienia pracy wszystkim Żydom. Były nawet w tym względzie incydenty dramatyczne. Lepiej zawsze wychodzili ci, którzy wręcz odmawiali. W tym wypadku nie zjawiano się u nich po raz drugi z powtórzeniem żądania. Kończyło się na pogróżkach. W *Wahrenbausach*<sup>83</sup> berlińskich w dalszym ciągu obsługa jest rasowo ogromnie mieszana.

Ale co się dzieje z pieniędzmi wpływającymi do tych kolosalnych przedsiębiorstw i z ich zyskami — o tym krążą różne niesprawdzone przeze mnie wersje. Nawet o prywatnych przedsiębiorstwach mówi się — półurzędowo a demagogicznie, że ich polityka handlowa była fałszywa lub że prowadzone były nieuczciwie. Tkwią też podobno w przedsiębiorstwach handlowych jacyś rządowi czy partyjni panowie, którzy pilnują wykonywania wypłat oraz „reszty”, która pozostaje po wypłacie.

Co do małych sklepików, słyszałem o pewnych, skutecznie wywieranych presjach. Znam na przykład małą trafikę tytoniową, obsługiwaną przez żydowskie małżeństwo, gdzie w „kadry personelu” wciśnięto dwóch bezrobotnych i całkiem niepotrzebnych blondynów. Nie jest to jednak przewidziane żadnym rozporządzeniem czy ustawą.

Jakie są widoki dla żydowskich przedsiębiorstw na przyszłość? Można tu oczywiście stawiać tylko hipotezy i to zaopatrzone wieloma znakami zapytania. Ale są pewne dane, według których można sądzić o tym, co będzie. Ogromne firmy żydowskie, jak sklepy *Karstadt* oraz inne, zostały, jak powiadają, wykupione za pomocą kredytów rządowych przez kapitał aryjski. Przy podobnych transakcjach, które oczywiście są dokonywane w czasie i na warunkach wysoce niekorzystnych dla strony sprzedającej, rząd jakoby po cichutku udziela pewnych ulg co do wywozu sum osiągniętych ze sprzedaży, ufając, że za tę cenę pozbędzie się z kraju inicjatywy żydowskiej. Wielu też „speców” od obec-

<sup>82</sup>*Geschäft* (niem.) — firma, sklep. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Wahrenhaus* (niem.) — dom towarowy. [przypis edytorski]



nych stosunków przewiduje możliwość istnienia w przyszłości przedsiębiorstw, których *spiritus movens* będzie za granicą, zasób kapitału na miejscu minimalny, a zarząd w rękach podstawionych figur.

Ale tymczasem Żydzi w Niemczech jeszcze są. W miniaturowym berlińskim getcie, które składa się zaledwie z kilku ulic, ale może się poszczycić chałatami i jarmułkami, brodami i pejsami, ruch i wygląd ulicy są prawie normalne; tylko wiele kramików jest zamkniętych. Właściciele mogą być jedynie albo w więzieniu, albo w Polsce. W centrum i w Westend na ulicach i w kawiarniach widać wielu Żydów. Prawie tyłu, co dawniej. Antysemityzm do mas jeszcze nie przesiąkł. Ale czynniki u władzy agituja, jak mogą. Żadne kłamstwo ani oszczerstwo nie jest dla nich zbyt niskie.

Wchodzę do lokalu pisma „Der Angriff”<sup>84</sup> (organ SA). Biuro urządzone nowoczesnie, a za ladą obsługuje bardzo porządnie i sympatycznie wyglądający starszy pan. Proszę o książkę, którą znajomi kazali mi koniecznie kupić. Wydana jest nakładem „Angriffu” i nazywa się *Die Juden sehen dich an* (Żydzi patrz na ciebie). Jest to dzieło doktora Johanna von Leersa<sup>85</sup>, obecnego sekretarza niemieckiego Pen Clubu. Zaraz na miejscu przeglądam to kuriozum i mimo woli wzbiera we mnie jakiś nerwowy śmiech. Ulica za oknem, redakcja, w której siedzę, i pan za ladą — wszystko świadczy, że znajduję się w świecie cywilizowanym, a tu nagle ten nieprawdopodobny dokument zdziczenia. Bo książka przedstawiała obecnych prądów w literaturze niemieckiej jest najstraszniejszym stekiem kłamstw i nieścisłości, plugastw, obelg oraz idiotycznych oskarżeń. Nowaczyński<sup>86</sup> niewątpliwie wzoruje się na tych przykładach, ale trzeba przyznać, że nie dorósł jeszcze do nich. Zawartość książki to przede wszystkim fotografie zaopatrzone nazwiskami, czasem nawet nie tych osób, które przedstawiają. Na przykład pod zdjęciem Jakuba Wassermanna jest podpis „Oskar Wassermann” (jest to znany berliński bankier). W książce tej znajdujemy też i nie-Żydów, jak na przykład Erzbergera<sup>87</sup>, katolika, polityka centrowego, oraz Piscatora<sup>88</sup>, znakomitego komunizującego reżysera berlińskiego. Zresztą żeby być sprawiedliwym, należy zaznaczyć, że gdy Piscator doszedł do sławy — Żydzi chętnie się do niego przyznawali. Jeżeli czyjaś pamięć lub ktoś jest partii niemiły, zawsze można mu dać etykietę Żyda — a nuż ktoś uwierzy. Poza fotografiami podane są krótkie, ale „siarczyste” charakterystyki — życiorysy. Ofiary doktora von Leersy podzielono na sześć grup, a więc: Żydów krwiożerczych, Żydów łgarzy, Żydów oszustów, Żydów burzycieli, Żydów w sztuce oraz finansistów żydowskich. Kategorie te są chaotyczne i podane niżej nazwiska są chaotycznie pomiędzy te grupy rozdzielone. A więc najpierw nazwiska „oczywiste”: Róża Luksemburg, Liebknecht<sup>89</sup>, Bela Kun<sup>90</sup>, Trocki<sup>91</sup>,

<sup>84</sup>„Der Angriff” (*Atak*) — gazeta założona w Berlinie w 1927 r. przez Goebbelsa, zamknięta w 1945. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Leers, Johann von (1902–1965) — jeden z „ekspertów” od rasizmu w Trzeciej Rzeszy, twórca pseudonaukowych teorii na temat judaizmu. Wydał 27 antysemickich książek. Po wojnie mieszkał w Argentynie, potem w Egipcie, gdzie przeszedł na islam i został zatrudniony w służbie dyplomatycznej. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Nowaczyński, Adolf (1876–1944) — znany publicysta i dramaturg. Publikował w prasie nacjonalistycznej obsesyjnie antysemickie artykuły; jednocześnie współpracował z „Wiadomościami Literackimi”. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Erzberger, Matthias (1875–1921) — niemiecki pisarz i polityk, podpisywał w imieniu Niemiec zawieszenie broni; w 1919 r. minister finansów, zginął zamordowany przez nacjonalistów. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Piscator, Erwin (1893–1966) — wybitny reżyser niemiecki, twórca koncepcji teatru proletariackiego. W okresie narastającego faszyzmu wyjechał z kraju i pracował na różnych scenach europejskich. W 1951 r. powrócił do Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Liebknecht, Karl (1871–1919) — wybitny działacz socjaldemokracji niemieckiej; współtwórca Związku Spartakusa, zginął zamordowany wraz z Różą Luksemburg przez prawicowe bojówki. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Kun, Bela właśc. Kohn, Béla (1886–1939) — węgierski działacz komunistyczny, w 1919 r. współorganizator Węgierskiej Republiki Rad. Zginął w czystkach stalinowskich. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Trocki, Lew, właśc. Bronstein (1879–1940) — wybitny działacz bolszewicki; od 1932 r. na emigracji w Meksyku, zamordowany przez agenta sowieckiego. [przypis edytorski]

Radek<sup>92</sup>, Kamieniew<sup>93</sup>, Zinowiew<sup>94</sup>, Rakowski<sup>95</sup> i Marks. Brakuje na przykład Lenina. Ale potem następuje ciekawsza lista. Reinhardt<sup>96</sup>, najslawniejszy reżyser Niemiec i Austrii, „zasług nie ma żadnych”. Sztuka jego była z gatunku niższych i bezduszna. Tylko prasa żydowska potrafiła wmówić w społeczeństwo, że to wielki artysta.

Bracia Rotter, dyrektorzy teatrów w Berlinie, którzy zbankrutowali i, jak twierdzi książka, „zarwali” wielu wierzycieli, „znajdują się obecnie w Liechtensteinie”. I tu następuje w nawiasie słowo *ungehängt* — niepowieszoni. To mówi nam książka wydana w kwietniu. Ale od tego czasu bojówkarze Hitlera, bezprawnie przekroczywszy granicę księstwa, już zdążyli zamordować jednego z braci Rotter. Wyraźny przykład, jak skuteczna jest agitacja.

Po nazwiskach dyrektorów teatrów następuje wyliczenie wszystkich prawie najlepszych sił niemieckiej sceny i ekranu. Więc Elisabeth Bergner<sup>97</sup>, dobrze znana nam z filmów, jest przedstawiona jako kreatura żydowskiej reklamy filmowej. Osobistych zasług artystycznych nie ma żadnych.

Siegfried Arno<sup>98</sup>, ścisły odpowiednik Kazimierza Krukowskiego<sup>99</sup>, otrzymał taką wzmiankę: „Co do gęby, nie można się pomylić. Grywał role żydowskie, w których Żyd był przedstawiony jako nieszkodliwy, śmieszny i uprzejmy, aby w ten sposób uśpić w narodzie niemieckim poczucie rasy”.

Może najbardziej zdumiewającą charakterystyką obdzielono Chaplina. „Ten równie nudny jak wstrętny mały żydłak był w następujący sposób gloryfikowany przez „Israelitisches Familienblatt”: „Ale Charlie Chaplin, który wciąż przedstawia wiecznie toczącą się wojnę ducha przeciwko przemocy i który broni praw ubogich, wstrząsając w ten sposób całym światem — stał się mitem (Mythos) naszych czasów”. „Te czasy już minęły” — dodaje doktor von Leers.

Skończmy z teatrem i filmem. Więc, oczywiście, jest i Einstein. Teoria względności to nie wiadomo co (i tutaj muszę przyznać rację autorowi: ja też nie wiem). Prasa żydowska i niepodejrzliwy naród niemiecki wysławiali go na wszystkie strony, za co on odwdziczył się robieniem *Greuelpropaganda* przeciwko Adolfowi Hitlerowi za granicą (niepowieszony).

Jest i Emil Ludwig, który, jak się dowiadujemy, pisał zakłamate książki, gdzie każdy objaw bohaterstwa był traktowany pogardliwie. Wyjechał za granicę, „hecował” przeciwko Adolfowi Hitlerowi i kłamał (niepowieszony).

Także Feuchtwanger pisał złe powieści, „hecował” w Ameryce przeciwko Adolfowi Hitlerowi i kłamał (niepowieszony). Itd., itd., itd.

(Tu uwaga zupełnie poboczna. Zauważyłem, że w Niemczech, kiedy się chce ubrać Hitlera w całą należną mu glorię, mówi się o nim: Adolf Hitler. I cóż tu robić z ludźmi, dla których imię Adolf jest czymś zupełnie naturalnym, czego się nie stara przemilczeć czy zapomnieć).

Więc tyle o Żydach w Niemczech dzisiaj. A co będzie? Pytałem się wszystkich, na lewo, na prawo i w środku — samego siebie. Jest rzeczą oczywistą, że przyszłość Żydów będzie ściśle zależna od trwałości obecnego ustroju. Ale o ile obecne prześladowanie

<sup>92</sup>Radek, Karol, właśc. Sobelsohn (1885–1939) — działacz komunistyczny, polityk radziecki. W procesie w 1937 r. skazany na 10 lat więzienia; zabity w łagrze. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Kamieniew, Lew, właśc. Rosenfeld (1883–1936) — czołowy działacz ruchu bolszewickiego, współpracownik Lenina. Za czasów stalinowskich odsunięty od stanowisk, po procesie w 1936 r. skazany i stracony. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Zinowiew, Grigorij, właśc. Radomyski (1883–1936) — rewolucjonista, działacz bolszewicki, przewodniczący Międzynarodówki Komunistycznej. W 1926 r. odsunięty przez Stalina, potem sądzony i stracony. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Rakowski, Christian, właśc. Stanczew (1873–1941) — bułgarski działacz komunistyczny, później polityk radziecki. W 1938 skazany w pokazowym procesie moskiewskim na 20 lat więzienia, rozstrzelany. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Reinhardt, Max, właśc. Goldmann (1873–1943) — pochodził z Wiednia, wybitny niemiecki reżyser i aktor. Po przewrocie hitlerowskim wyjechał do Paryża, od 1938 r. w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>Bergner, Elisabeth, właśc. Etel (1897–1986) — wybitna aktorka niemiecka, od 1933 r. na emigracji w Anglii. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Arno, Siegfried, właśc. Aron (1895–1975) — niemiecki aktor komediowy, wystąpił w wielu filmach i musicalach. Opuścił Niemcy w 1933 r. i przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>Krukowski, Kazimierz (1902–1984) — wybitny polski aktor kabaretowy, znany jako „Lopek”. [przypis edytorski]

potrwa ze dwa lata, to należy przypuszczać, że ujrzymy bardzo daleko posunięty proces „wyciekania” z Niemiec wielkiego kapitału żydowskiego oraz ludzi rozporządzających nim; „oczyszczenie” sztuki, literatury i życia intelektualnego z elementu semickiego i wreszcie skrajne spauperyzowanie tej części społeczeństwa żydowskiego, która do wyrwania się z Niemiec miała zbyt wiele przywiązania czy zbyt mało energii. Może nawet powstać jakaś nowa forma kulturalnego getta.

W zmianę antyżydowskiego kursu pod obecnym rządem mało kto wierzy, gdyż nawet najcięższe następstwa natury gospodarczej, wywołane przez wszechświatowy bojkot towarów niemieckich, nie mogą być tak groźne, jak pozbawienie mas czegoś do zwalczania. Gdy się nie widzi możliwości dania narodowi, którym się rządzi, już nawet nie chleba, ale choćby plew, to trzeba dać mu przynajmniej tradycyjne, donkiszotowskie wiatraki. W tym wypadku skrzydła *Hakenkreuz*a nie mogą być użyte, ale Żyda „brać na muszkę” — czemu nie?

Myśląc o tym wszystkim, odczuwam nagle względem Polski pewien liberalny patriotyzm. Więc właściwie, pomimo reputacji pogromów, to w tej Polsce nie jest tak źle. Ostatecznie Kazimierz Wielki, Jankiel, Berek Joselewicz, Norwid. Nie ma co mówić — świadczyli sobie, i to wzajemnie.

Norwid nie przewidywał nowych form, w jakie przeleje się w XX wieku patriotyzm w Europie, kiedy pisał:

„Ty! jesteś w Europie — poważny Narodzie  
Żydowski: jak pomnik strzaskany na Wschodzie”.

A co będzie na Zachodzie? Czy Polacy będą jeszcze mieli sposobność  
powtarzać za tymże Norwidem:

„My — pierwaj niż inni, my — wcale inaczej  
Pojrzeliśmy ku wam, bynajmniej z rozpaczy.”

## ODRĘBNOŚĆ

Powracam jeszcze do Żydów. Jestem jak endek. Nie mogę się od nich oderwać. Ale byłem w teatrze i zobaczyłem straszliwe spustoszenie, jakie antysemityzm wyrządził na tym odcinku. Byłem też w Warszawie na międzynarodowym konkursie tańca i widziałem, że wszystko, co najlepsze (nie według protekcjonistycznie rozdanych nagród), przyszło z Niemiec i było przeważnie semickiego pochodzenia. Żydzi w samej rzeczy rządzą teatrem i spektaklem w Berlinie. Rządzili nimi ze świetnością jakiegoś Ludwika XIV i szerokością poglądów encyklopedystów. A co jest dzisiaj? Przeszło dwadzieścia teatrów stoi bezczynnie. W innych, do których zachodziłem na kilka minut, kupując sobie bilet na galerię, szmira nieprawdopodobna. W ciągu kilku miesięcy osiągnięto poziom niskoprowincjonalny. Przecież poza nazwiskami, które wymieniłem w związku z książką doktora von Leersa, brakuje scenie berlińskiej takich nazwisk, jak: Moissi<sup>100</sup>, Kortner<sup>101</sup>, Eric Charell<sup>102</sup>, Pallenberg<sup>103</sup>, Gitta Alpar<sup>104</sup>, Fritzi Massary<sup>105</sup>, Dajos Bela i wielu innych.

<sup>100</sup>Moissi, Alexander (1880–1935) — wybitny aktor niemiecki, pochodzący z Albanii. Występował m.in. w rolach szekspirowskich. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Kortner, Fritz (1892–1970) — austriacki aktor teatralny i filmowy, występujący przez wiele lat w Berlinie. W 1933 zmuszony do emigracji, osiadł w Ameryce; do Niemiec powrócił w 1949 r. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Charell, Eric, właściwie Löwenberg (1894–1974) — aktor i tancerz niemiecki, organizator rewii w Berlinie. Od 1932 r. na emigracji, od 1937 r. w Stanach Zjednoczonych. Powrócił do Niemiec w r. 1945. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Pallenberg, Max (1877–1934) — piosenkarz i wybitny aktor charakterystyczny. W 1933 przeniósł się z Berlina do Wiednia. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>Alpar, Gitta, właśc. Kalisch, Regina (1903–1991) — urodzona na Węgrzech słynna śpiewaczka operowa i gwiazda operetki. W 1933 r. wyemigrowała z Niemiec. Od 1939 r. mieszkała w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>Massary, Fritzi, właśc. Masarik, Friederike (1882–1968) — wybitna sopranistka występująca w operetkach Berlina i Wiednia; aktorka. W 1933 r. wraz z mężem Maxem Pallenbergiem wyemigrowała z Niemiec. [przypis edytorski]

Fröhlich<sup>106</sup> na przykład nie może dostać angażu z powodu żydowskiego pochodzenia żony, właśnie Gitty Alpar.

Wymownym obrazkiem życia teatru jest to, co się stało po ustąpieniu i wyjeździe do Austrii Reinhardta. A więc prasa z naciskiem oświadczyła, że Deutsches Theater zostanie nadal pierwszą sceną Niemiec, oczywiście na znacznie wyższym poziomie, bo już nie pod wpływem żydowskim. Na pierwszy ogień dano jakąś sztukę patriotyczną o Alzacji. Recenzenci szaleli z zachwytu, ale po trzech dniach sztukę zdjęto z afisza. Teatr był pusty, a sztuka strasznie marna. Oto okrutna prawda.

Toteż nic dziwnego, że zanik teatru zaczął poważnie niepokoić czynniki odpowiedzialne. Znamienna w tym względzie była mowa pruskiego ministra oświaty Rusta<sup>107</sup>, skierowana do przedstawicieli narodowosocjalistycznych organizacji kulturalnych, a w szczególności do Związku Walki o Niemiecką Kulturę. (Takie „związki walki” są w ogóle liczne i w swej zamierzonej działalności mają dążyć ku sprostaniu wszystkim patriotycznym, społecznym, kulturalnym i filantropijnym potrzebom kraju). W przemówieniu swym, nacechowanym zupełnie nierewolucyjnym umiarem, podkreślając potrzebę „duchowej demobilizacji” po tak zwycięsko przeprowadzonej rewolucji, pan minister Rust zachęcał do pracy konstruktywnej, a nie tylko polegającej na wyszukiwaniu „niebłaganadiożnych” i zatrzymał się specjalnie nad kwestią teatru: „Wiadome jest, że teatrowi niemieckiemu nie brak ani utworów, ani autorów dramatycznych, a jedynie brak publiczności” — i tutaj Związek Walki powinien rozwinąć całą energię i stworzyć dla teatru poniekąd organizację „konsumentów”. Wyobrażam sobie, jak to będzie wyglądało. Bez pytania zarobkujących odciągnie się im od uposażenia jakąś sumę, w zamian za co wyda się ulgowe bilety na jakieś niemieckie *Odsiecz Wiednia* czy innych *Kościuszków pod Raclawicami*. Najpierw będą się trochę buntowali, potem przez zmysł skrętności zaczną wyzyskiwać te — bądź co bądź — darmowe bilety, a wreszcie przyzwyczają się do poziomu, który znamy z Teatru Letniego i Domu Żołnierza. Będzie im się podobało i *Deutsches Theater* nie będzie świecił pustkami. Ale...

Byłem oczywiście na programowej i rozreklamowanej sztuce Johsta *Schlagetera*<sup>108</sup>. Zapytałem już wcześniej portiera w hotelu, czy trudno będzie dostać miejsce. Odpowiedział trochę zdziwiony, że przeciwnie, nic łatwiejszego. Przyszedłem po rozpoczęciu przedstawienia, rozejrzałem się po sali i zobaczyłem, że jest na wpół pusta. Pomyślałem, że to pewno bardzo już długo grają. Tymczasem w przerwie zajrzałem do programu i wyczytałem, że to dopiero trzynaste przedstawienie. Publiczność oklaskuje niejednomyślnie: jedni wszystko, drudzy — nic. Sztuka jest grana, jak na to, co się dzisiaj widzi w Berlinie, dobrze, ale przede wszystkim uczciwie i sumiennie. Teatrów działa zaledwie kilka, sztuka jest na czasie — a jednak pustki. Nie będę pisał o treści *Schlagetera*, bo sztuka stała się skandalem europejskim i cała prasa pełna była cytatów z niej zaczerpniętych. Powiem tylko, że reakcja widza, nierozmiłowanego w panujących stosunkach i umysłowości, jest wprost bolesna. Człowiek siedzi podczas tego przedstawienia trochę skulony i nie wie, czy jest bardziej zgorzony, czy zdumiony. Z jednej strony wali się nań niesłychana gloryfikacja brutalności, wstecznictwa oraz pychy i odrębności narodowej, a z drugiej — przeciera uszy, słysząc długi monolog prezydenta prowincji, dawnego robotnika-socjalisty, który wstydi się swych spracowanych rąk. Autor daje do zrozumienia, że jest się naprawdę czego wstydzić, że robotnik powinien pozostać robotnikiem. Są to — przyznajmy — akcenty nowe. Dawka nienawiści, zaślepienia i brutalności jest tak silna, że przez całą dobę nie mogłem się uspokoić. Wciąż sobie powtarzałem: „Tyle więc jest tej patriotycznej nienawiści w powietrzu, a zdawałoby się, że w stosunku do zbiorowości jest to uczucie tak nienaturalne”.

<sup>106</sup>Fröhlich, Gustav (1902–1997) — gwiazdor filmu niemieckiego, wystąpił m.in. w filmie *Metropolis* (1927). Rozwiódł się z Gittą Alpar i związał z Lidią Baarovą, która później została kochanką Goebbelsa. Do 1945 r. wystąpił w 41 filmach, po wojnie kontynuował karierę aktorską. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Rust, Bernhard (1883–1945) — od 1934 r. minister nauki, wychowania i oświaty ludowej; dążył do podporządkowania całego szkolnictwa ideologii hitlerowskiej. Na wieść o kapitulacji popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>na sztuce Johsta — chodzi o sztukę *Schlageter* (1932) poświęconą postaci rozstrzelanego przez Francuzów w 1923 r. Alberta Leona Schlagetera, którego naziści kreowali na bohatera narodowego. Jej autorem był przewodniczący Izby Piśmiennictwa Rzeszy Hans Johst (1890–1978). [przypis edytorski]

Sprawa filmu nie przedstawia się lepiej. W ośmiu kinach śródmieścia wyświetlano podczas mego pobytu *Blutendes Deutschland* (Krwawiące Niemcy); poza tym niemieckie filmy z całkiem nieznanymi nazwiskami aktorów i — o dziwo! — dwa przeboje sezonu: jeden Kiepur<sup>109</sup>, drugi Schmidta<sup>110</sup>. Kiepura — Polak, Schmidt — stuprocentowy już nie Żyd, ale Żydek. Obaj znakomici śpiewacy — znakomicie śpiewają. Kiepura zrobił niewiarygodne postępy: mówi płynnie po niemiecku, gra z humorem i prostotą. Ale czym tłumaczyć fakt, że filmy te tolerowano? Odpowiedź: Hugenberg<sup>111</sup> znajdował się jeszcze u władzy, Hugenberg był możnym panem w „Ufie”, oba wspomniane filmy nakręciła właśnie UFA.

Byłem oczywiście na *Blutendes Deutschland*<sup>112</sup>. Jest to film propagandowy narodowego socjalizmu, polegający na zlepianiu aktualności filmowych od czasów przedwojennych aż po chwilę obecną. Pokazana jest potęga i blask cesarstwa, rewie wojskowe sprzed 1914 roku, ale — rzecz ciekawa — nie widać cesarza, tylko cesarzową. Potem następuje okres wojny. Napisy wychwalają wojnę jako czas bohaterstwa, próby i ofiarnej służby ojczyźnie. Z ekranu przemawiają nastroje świadczące o tym, że w intencji piszącego scenariusz było przekonanie młodych, iż wojna nie jest naprawdę taka straszna, jak ją malują. Ale fotografowana nie wygląda lepiej, zdjęcia bowiem, bardzo zresztą udane, pokazują najohydniejsze masakry, odzwierciedlają wiernie brud, brutalność i znużenie żołnierza. Trzeba już chyba dobrze znać swoją widownię, żeby móc taki film wyświetlać jako propagandowy. Oglądamy wreszcie powojenne *smutnoje wriemia*<sup>113</sup>. Tu widzimy — tak przynajmniej się wydaje — pracę nie filmowo-reporterską, ale studiową, gdyż sceny rozruchów komunistycznych i barykad są pokazywane przeważnie w nocy. Jest to świetne, o ile chodzi o nastrój, ale nie daje zupełnie poczucia autentyczności. Poza tym widzimy zamarłe fabryki i okupacyjne wojska w Nadrenii. Wszystkiemu ma być winna republika weimarska i jej żydowsko-marksistowskie rządy. Każdy napis to podkreśla. (Za „marksistowskie” uważa się dziś w Niemczech wszystko, co jest liberalne czy lewicowe). Pokazują nam na przykład nędzę w mieszkaniu rodziny bezrobotnego, przy czym napis brzmi mniej więcej tak: „Tak się działo, zanim narodowi socjaliści objęli rządy”. Ktoś mógłby pomyśleć, że się cokolwiek od tego czasu poprawiło. Film kończy się poczdamskim tryumfem<sup>114</sup> z 5 marca i łopotem flagi ze swastyką. Widowisko jest długie, na ogół nudne i dość niechlujnie sklecone. Publiczność — bierna.

Ale co jest ciekawsze od każdego filmu widzianego dziś w Niemczech, to dodatki dźwiękowe. Kronika tygodnia, poświęcona w dziewięćdziesięciu procentach sprawom niemieckim, i to politycznym, trwa czasem blisko godzinę. Ciągłe zjazdy, obchody i manifestacje są powodem do przemówień i enuncjacji Hitlera, Goeringa i Goebbelsa ze wspomnianym już dzikim, demagogicznym rykiem. Śmiesznie wygląda tylko sam wódz, choć tylko on jeden za każdym swoim pojawieniem się na ekranie wywołuje burzę oklasków. Za to bardzo patetyczne wrażenie robi stary prezydent Hindenburg. Można stać się od razu konserwatystą, porównywując jego zachowanie się, postawę i ton w przemówieniach ze sposobem bycia „ludzi nowych”. Wprost przykro patrzeć, jak czuje się nieswojo ten, co tu gadać, imponujący starzec. Jego brak sympatii do obecnych poczynań narodowych socjalistów, a zwłaszcza negatywny stosunek do antysemityzmu — stanowi dziś publiczną tajemnicę. Jedyny jego człowiek — Hugenberg został usunięty i prezy-

<sup>109</sup>Kiepura, Jan (1902–1966) — polski śpiewak operowy, występował także z wielkim powodzeniem w Niemczech oraz w filmach niemieckich, m.in. *Das Lied einer Nacht* (Pieśń nocy, 1932). [przypis edytorski]

<sup>110</sup>Schmidt, Josef (1904–1942) — słynny niemiecki śpiewak operowy. Po premierze filmu *Ein Lied geht um die Welt* (Pieśń idzie przez świat), w maju 1933 roku wyemigrował z Niemiec; śpiewał m.in. w Carnegie Hall w Nowym Jorku. Zmarł w szwajcarskim obozie internowania. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>Hugenberg, Alfred (1865–1951) — wpływowy niemiecki przemysłowiec i polityk. Był ministrem gospodarki w pierwszym rządzie Hitlera; wkrótce jednak został odsunięty. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*Blutendes Deutschland* (Krwawiące Niemcy) — film dokumentalno-propagandowy Johanna Hausslera. Przedstawiano w nim zarys historii Niemiec od wojny francusko-pruskiej aż po zwycięstwo Hitlera; podkreślano niemiecką martyrologię i konieczność walki z systemem wersalskim. Film wszedł na ekrany w marcu 1933 r. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*smutnoje wriemia* (ros. *смутное время*) — dosł. czasy smuty; przen. czas zamętu, burzliwy czas; pierwotnie: okres głębokiego kryzysu Cesarstwa Rosyjskiego w l. 1598–1613, tj. od śmierci ostatniego cara z dynastii Rurykowiczów do objęcia tronu przez dynastię Romanowów. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*poczdamski triumf* — aluzja do spotkania w Poczdamie kanclerza Hitlera z prezydentem Paulem von Hindenburgiem. [przypis edytorski]

dent jest dziś całkiem osamotniony nie tylko pośród swego otoczenia i ludzi u władzy, ale także w społeczeństwie, jest tak pieczołowicie strzeżony, że nie ma wprost możliwości nawiązania kontaktów tam, gdzie by chciał.

Ale wróćmy jeszcze do filmu. Więc dawni reżyserzy i aktorzy w przeważającej części wyjechali i studia w Pradze, Wiedniu i Budapeszcie, które świeciły pustkami od początku kryzysu, zostały podobno odnajęte berlińskim wytwórcom na kilka lat. Nie tylko więc teatr, ale także film niemiecki można uważać za chwilowo (i oby tylko chwilowo) nieistniejący w artystycznym tego słowa znaczeniu.

Opera oczywiście trwa. Niemcy są tak muzykalni, że potrafią „śpiewać i grać” sami. Ale fakt, że właśnie są tak muzykalni, zrobił z Niemiec mekkę ludzi muzyki. Żydów i innych obcoplemieńców (Toscanini<sup>115</sup>) było więc, zwłaszcza wśród kapelmistrzów, bardzo wielu. Brak więc takich ludzi jak Bruno Walter<sup>116</sup> daje się jednakże boleśnie odczuwać i projektowane wypuszczenie znaczków pocztowych, ilustrowanych tematami wagnerowskimi, nie przeważa tych strat.

Jak widać, „czystka” przeprowadzana jest z całą sumiennością. Hasło „Niemcy dla Niemców” nigdy nie było tak bliskie urzeczywistnieniu. Z obcymi rasami wiadomo już, jak się uporać, ale i wśród swojej, najświetniejszej ze wszystkich ras, trzeba zrobić porządek. Trzeba, żeby się rozmnażała. Strach przed brakiem mięsa armatniego jest większy niż skrupuły przed stwarzaniem milionowych zastępów bezrobotnych. Trzeba więc rodzić, rodzić, rodzić! Trzeba według zasad eugeniki dobierać małżeństwa, a sterylizować nieodpowiednich do prokreacji, pozostawiając im życie alkowy jedynie dla rekreacji. Wszystkie znane zasady hodowlane mają być zastosowane do rasy ludzkiej. Będą więc, jak u krów, ludzie kategorii pierwszej, drugiej itd. Małżeństwa między przedstawicielami różnych kategorii będą utrudniane, a związki z obcokrajowcami wprost zakazane. Taki jest program. Słysząc hasło: *Wir müssen uns vernordern* („Musimy się spólnocnić”). To też o kobiecie, która sobie utleniła włosy, mówi się żartobliwie: *Sie hat sich vernordert*. A jedno pismo wrocławskie z zupełną powagą doniosło, że dowiedziało się ze „źródeł najpewniejszych”, że choć Hitler wąsik ma czarny, ale pod pachami jest blondynem.

Z powodu takiego programu wszystkie poradnie matrymonialne i eugeniczne Berlina zamknięto do czasu — jak głosi komunikat magistratu — obsadzenia ich przez lekarzy o nowych poglądach i sformułowania przez wydział higieny społecznej nowych ogólnych zasad ich działalności.

W ogóle dużo jest mowy „o naszych pięknych dziewczynach i kobietach, o naszych dorodnych chłopcach, o naszej pięknej rasie blondynów”. Jest w tym wszystkim jakiś niepokojący, zmysłowy, narcyzowsko-kazirodczy posmak, który dziwnie odbija od jednocześnie głoszonej pruderii. Przecież Niemcy to naród niesłychanie skomplikowany i psychicznie, i płciowo. Choćby wziąć pod uwagę tak jak nigdzie rozpowszechniony homoseksualizm. Dziś jest to, oczywiście, surowo ścigane. Twierdzi się, że Żydzi zaszczepili pederastię, że jest to objaw bardzo nieniemiecki i pod tym hasłem rozgromiono instytut badań seksualnych doktora Magnusa Hirschfelda wraz z jego biblioteką. Instytut z punktu widzenia nauki był niewiele wart, ale śmieszne jest zarzucanie Żydom, jednemu z najbardziej płciowo zdefiniowanych narodów świata, tego, co jest typowe właśnie dla ras nordyckich.

Wszystkie więc bary uczęszczane przez pederastów i lesbijki, te tak typowo berlińskie instytucje, zostały zamknięte. Wszyscy transwestyci schronili się do SA i tylko, jak powiadają, skarżą się na trudność chodzenia na niskich obcasach. Za to wśród ludzi stojących najbliżej Hitlera jest kilku takich, których brak instynktu „podtrzymywania rodzaju” jest notorycznie znany. Tym panom nie dzieje się żadna krzywda. Chodzi o to, aby mocno siedzieć w partii i głośno wykrzykiwać na cześć Führera i *das Deutschtum* (niemieckość), a poza tym wolno się kochać choćby w kaczce, byle kaczka była zupełnie prawomyślna.

W kwestii rasy operuje się dziś w Niemczech pojęciami i określeniami wysoce nie-naukowymi i nieścisłymi. W rzeczywistości przedstawiciele rasy nordyckiej — najlepszej

<sup>115</sup> *Toscanini, Arturo* (1867–1957) — wybitny włoski dyrygent. Od 1928 r. przebywał w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *Walter, Bruno*, właśc. *Schlesinger* (1876–1962) — wybitny niemiecki dyrygent, pianista i kompozytor; w 1933 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

— stanowią dziś w Niemczech podobno zaledwie sześć procent ludności. Zresztą na Śląsku, na Pomorzu, w Brandenburgii co drugi szyld sklepowy to nazwisko słowiańskie, a mówiąc ściślej — polskie. Ale śmieszna, pseudonaukowa „wystawa rasowa”, z wykresami, gipsowymi modelami, relikwiami znaków runicznych, zmierza do wyjaśnienia, że „najstarszą” swastykę w Europie, wykutą w kamieniu, znaleziono gdzieś w Norwegii, w okolicach kręgu polarnego i że schodząc na południe, rasa się zdegenerowała.

Żeby się więc odrodzić, czyni się liczne wysiłki w kierunku wyodrębnienia się i odróżnienia od innych narodów. Na odwrocie kart pocztowych o tematach hitlerowskich widzimy wydrukowane: *Deutschgeboren* zamiast *Hochgeboren*<sup>117</sup> albo zwyczajnie *Herr*. Ten napis wygląda jednak zupełnie bluźnierczo, kiedy po nim widać nazwisko Polaka pochodzenia żydowskiego. Miałem sposobność ujrzeć takie świętokradztwo.

Istniejąca zawsze do pewnego stopnia, zwłaszcza u mężczyzn, odrębność mody niemieckiej została przez rewolucję narodową podtrzymana i podkreślona. Mężczyźni chętnie pokazują gołe kolana, a i mężczyźni, i kobiety noszą krótkie, na dwa rzędy guzików zapinane kurteczki z jakimś tyrolskim zacięciem. Niedawno też powstał w Berlinie urząd mody narodowej pod przewodnictwem żony Goebbelsa<sup>118</sup>.

Tak we wszystkich dziedzinach życia istnieje dążność do wycofania się z kontaktu ze światem. (To prawie jak polskie ograniczenia paszportowe). Tego się tak nie formuluje, ale tak się to jednak rozumie. Na uniwersytecie w Dreźnie, przy udziale całego gremium profesorów, z rektorem na czele, odbyła się ceremonia „pręgierza”. Do pnia umieszczonego na środku dziedzińca uniwersyteckiego przygwożdżono karty z nazwiskami „przestępców uniwersyteckich”. Więc obok nazwiska profesora, który nie zdjął kapelusza przed Grobem Nieznanego Żołnierza, przybito nazwiska dwóch studentów filologii słowiańskiej, którzy odbyli jakieś kursy na Uniwersytecie Warszawskim.

Na gwałt wprowadza się wszędzie pismo gotyckie. Książki oczekujące na drugi nakład wycofano, bo muszą się ukazać drukowane gotykiem. Nazwy stacji kolei podziemnej, tak jak ulic, zamienia się w szybkim tempie, bo były pisane literami łacińskimi. Zaczęto oczywiście od *Adolf-Hitler-Platz*. Dawniejszy *Reichskanzlerplatz* po 5 marca przemianowano na cześć wodza, ale tablicę otrzymał jeszcze łacińską. Sam widziałem, jak tę gafę wstydliwie naprawiano. Znajomy mój w brązowej koszuli wpada zdyszany do baru hotelu Adlon, żeby się ze mną umówić na następny dzień. Spieszy się ogromnie, ma pięć minut do odejścia pociągu i chce mi na kartce napisać swój nowy adres. Trzy kartki zniszczył, bo nie mógł wybażrać się gotykiem. Była to niema scena niepozbawiona humoru.

A teraz wspomnę o dwóch bardziej jeszcze niepoważnych, ale charakterystycznych objawach separatyzmu duchowego Niemiec. Jeden to pismo codzienne „Die Arische Rundschau”, które w jednakowym stopniu zwalcza Żydów, katolików, jezuitów (oddzielnie), masonów i komunistów. Ciekawa spółka wrogów. Mniej więcej te same ideały przyświecają generałostwu Ludendorffom. Stary generał był w początkach rewolucji uważany za trochę zanadto tego... Ale dzisiaj sama rewolucja „podciąga się” do niego, jak może. Generał jest właścicielem wydawniczej firmy w Monachium, a w Berlinie, na Friedrichstrasse, ma swoją własną księgarnię. Patrząc na wystawę i typ okładek, można by myśleć, że się stoi przed witryną *librairie spéciale* w paryskim Palais Royal. Papier i wykonanie tandetne, ornamenty secesyjne, dużo nagich ciał kobiecych, włosów i lilii wodnych w ozdobach i winietkach. Wieje od tej wystawy księdzem Oraczewskim<sup>119</sup> czy też panem Wotowskim<sup>120</sup>. Niektóre dzieła wyszły spod pióra generała, większość to dorobek literacki generałowej. Jest ona i płodną autorką, i gorącą zwolenniczką germańskiego boga. Tak dużo i szczegółowo opisywała swoje bliskie z nim porozumienie, że została nawet skazana za bluźnierstwo przez niemoralne sądy republiki weimarskiej. Inni autorzy, których dzieła można tam nabyć, są mi całkowicie nieznani. Zaszedłem do sklepu po dwie karty

<sup>117</sup>*Hochgeboren* (niem.) — wysoko urodzony. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*Goebbels, Magda* (1901–1945) — żona ministra propagandy, matka sześciorga dzieci. Tuż przed klęską III Rzeszy oboje wraz z mężem otruli dzieci i popełnili samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*Oraczewski, Czesław* (1891–1965) — jak podaje Tomasz Szarota, ksiądz ten był zwolennikiem filozofii mistyczno-narodowej, od 1936 r. proboszczem parafii św. Jakuba na warszawskiej Ochocie. Po wojnie związał się z PAX-em i ruchem tzw. księży patriotów. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*Wotowski, Stanisław Antoni* (1895–1939) — właściciel kontrowersyjnego biura detektywistycznego; jeździł po Polsce z wykładami na temat okultyzmu, spirytualizmu, masonerii i sekt. Autor wielu powieści sensacyjnych, m. in. książki *Tajemnice masonerii i masonów* (1926), po 1989 roku kilkakrotnie wznowionej. [przypis edytorski]

pocztowe, obie z wizerunkiem Fryderyka Wielkiego i z jego aforyzmami: na jednej przeciwko katolicyzmowi, a na drugiej przeciwko masonom. Sprzedający wręczył mi kopertę. W kopercie znalazłem po sześć sztuk każdej pocztówki. Zaprotestowałem, ale sprzedawca wytłumaczył mi, że sześć otrzymałem za cenę jednej, że będę może miał sposobność rozdania tych kart wśród znajomych. Poza tym nabyłem tam pocztówki z reprodukcjami rzeźb wykonanych przez Murzynów dahomejskich na tematy chrześcijańskie, jak zdjęcie z krzyża i Matka Boska z małym Jezusem na ręku. Pocztówki te są zaopatrzone w komentarz następujący: „Rzeźby te dowodzą, jak mylnym jest uważać Żyda Jezusa z Nazaretu za Aryjczyka, a chrystianizm za odpowiednie dla narodu niemieckiego pojęcie o Bogu”. Zadziwiający, zaiste, kramik nienawiści.

Ale to, co chyba najbardziej wyróżnia narodowosocjalistyczne Niemcy od — cokolwiek powiemy — istniejącego jeszcze demokratycznego świata, ba, nawet od Polski — to prawodawstwo i wymiar sprawiedliwości.

Pisałem o bezprawiu jako o najjaskrawszym objawie każdej rewolucji. Ale prawie nie mniej charakterystyczny dla rewolucji już zwycięskiej jest jej stosunek do istniejącego prawa, jej tendencje do stwarzania nowych praw i wreszcie temperament, z jakim nowe ustawy wydaje lub stare przekształca. Z tych trzech punktów widzenia przewrót narodowosocjalistyczny ukazuje się nam znowu jako typowa rewolucja: do starego prawa — niedowierzanie, a nowe ustawy lub rozporządzenia, mające moc prawną, wydaje się z frenetycznym zapalem, wkraczając chaotycznie we wszystkie dziedziny życia. Prawodawcy Niemiec dzisiejszych zachowują się w równie rozagitowany sposób jak dziecko w sklepie zabawek, któremu pozwolono wybierać, co mu się podoba. Jak dziecko też dzisiejsza rewolucja w Niemczech odrzuca pomoc i doświadczenie starych opiekunów, jak na przykład kodeksu rzymskiego czy innych, bądź co bądź, sumiennie przemyślanych zbiorów praw. Zdaje się w zaciętrzewieniu wołać: „Ja siama”.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka ustępów z przemówień wygłoszonych na Manifestacji Prawników w Berlinie. Obchód ten odbył się pod hasłem: *O niemieckie prawo i niemiecki wymiar sprawiedliwości*. Zgromadził przedstawicieli sądownictwa, prokuratury, narodowosocjalistycznego związku adwokatów (odpowiednik polskiego KARP-u<sup>121</sup>); obecni byli również ministrowie sprawiedliwości Rzeszy i krajów związkowych oraz delegaci narodowosocjalistycznej organizacji prawników austriackich.

Przywódca frakcji narodowosocjalistycznej w pruskim Landtagu, nadprezydent Brandenburgii, Kube<sup>122</sup>, mówił: „Sędzia powinien być sprawiedliwy, ale obiektywizm ma swoje granice tam, gdzie idzie o sprawę narodu. Żywoćne interesy narodu sędzia musi stawiać bezwzględnie ponad prawem formalnym”.

Dalej przemawiał sam organizator manifestacji, pruski minister sprawiedliwości Kerrl<sup>123</sup>. Jest on uosobieniem tego radykalnego, powiedzmy — beznadziejnie logicznego kierunku w narodowym socjalizmie, który tak groźnie przedstawia się dzisiaj nie tylko dla komunistów czy junkrów, ale także nawet dla ludzi stojących na szczytach rewolucji. Do grupy przestraszonych można chyba śmiało zaliczyć i samego Hitlera. Kerrl bowiem kilkakrotnie pozwolił sobie wobec Führera na niesubordynację. Na wspomnianej manifestacji powiedział między innymi: „Przezwyjężona została wreszcie zarozumiałość intelektualistów. Przedstawiciele tego poglądu myśleli kategoriami wszechświatowo-obywatelskimi, wszechświatowo-gospodarczymi i wszechświatowo-politycznymi, a naród tymczasem schodził na psy”. Przyszłe prawo „nie może być zależne od jakiejś litery czy paragrafu, dojść będzie można do niego jedynie poprzez charakter niemieckiego sędziego”. „Przyszły sędzia nie będzie kierował się paragrafami czy literą prawa. Musimy odejść od nadmiaru szablonów i fabrykowania ustaw, które tak dalece przewidują każdy możliwy wypadek, że sędzia ma zawsze pełne usta gotowych formułek”. „Praca sędziego to tylko zwyczajna technika. Precz więc od tego szaleństwa!” (żywe oklaski).

Komisarz państwowy doktor Frank<sup>124</sup>, prezes związku narodowosocjalistycznych praw-

Prawo

<sup>121</sup>KARP — Koło Adwokatów Rzeczypospolitej Polskiej. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>Kube, Wilhelm (1887–1943) — od 1941 r. Gauleiter czyli komisarz generalny Białorusi, zginął w zamachu w Mińsku w niejasnych okolicznościach. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Kerrl, Hanns (1887–1943) — minister sprawiedliwości; 1935–1941 minister do spraw kościelnych. [przypis edytorski]

Prawo, Nacjonalizm



ników niemieckich, określił narodowy socjalizm jako rewolucję germańską. Podkreślił, że po raz pierwszy pojęcie „rasy” jest uwzględnione przez prawo i że prawo to nie wegetuje w zakresie łamańców oderwanego myślenia, ale odżywa na nowo w świadomości narodu. Doktor Frank objaśnił, że chce wyraźnie stwierdzić, że walka o niemieckie prawo jest sprawą narodowego socjalizmu i będzie prowadzona wyłącznie przez „wykładniki siły” tego ruchu (oklaski). Niemożliwe jest, żeby ten porządek prawny, który doprowadził naród do upadku, pozostał nadal, kiedy idzie o odbudowę państwa niemieckiego. „Jak się to już stało w Bawarii, tak samo będziemy się też starali w całej Rzeszy, żeby egzaminy z prawa rzymskiego były natychmiast i w każdej formie wstrzymane. Państwo niemieckie będzie mogło w przyszłości żądać, żeby interesy jego i jego ludu stanowiły jednocześnie podstawę sędziowskiego obiektywizmu”. „Każda neutralność jest zła albo obłudna (oklaski). Niedawno złamaliśmy wpływ żydostwa na niemiecki wymiar sprawiedliwości. Niektórym może wydać się trudne pogodzenie tempa procesu i potrzeb państwa z programowymi założeniami ruchu. Tempo narodowej rewolucji określa nasz wódz. Związek narodowo-socjalistycznych prawników nie odstąpi nigdy od żądania wyrugowania wszystkich bez wyjątku Żydów z życia prawniczego w każdej jego formie” (burzliwe oklaski). Doktor Frank zapowiedział, że wkrótce ma być rozpoczęta reforma prawa karnego, jak również reforma procedury cywilnej. (Te rzeczy robi się na kolanie). Jeszcze w ciągu przyszłego tygodnia gabinet Rzeszy zaaprobuje obszerną nowelę do kodeksu karnego, nowelę, która uwzględni najważniejsze i najpilniejsze potrzeby, a mianowicie: zaostrzenie kar w dziedzinie niełojalności, korupcji i dręczenia zwierząt, a zniesienie karalności pojedynków studenckich itd. (Dziwne zaiste są niektóre sprawy niecierpiące zwłoki. Wiem zresztą skądinąd, że studenci nie czekali wcale na ukazanie się noweli i z całym animuszem zabrali się do wzajemnego kaleczenia). „Chociaż praca prawodawcza jest teraz tak uproszczona — ciągnął dalej doktor Frank — w przyszłości będzie bardzo trudno łamać prawa Rzeszy. Państwo nie ma zamiaru prowadzić dalej tego odurzania humanitaryzmem, jakie praktykowano w przeszłości”. „Ośrodkiem naszej pracy jest lud, a przestępcę będziemy tak ścigali, że się nauczy drzeć przed władzą”. (Oby się to drzenie ograniczyło tylko do przestępcy).

Po doktorze Franku dziekan wydziału prawnego na Uniwersytecie Berlińskim Geheimrat<sup>125</sup> Heyman<sup>126</sup> w ciągu obszernego przemówienia uskarżał się na scholastykę (jak się wyraził), która się ponoć rozpanoszyła, zwłaszcza w prawie cywilnym. Wyraził nadzieję, że prawo niemieckie, które wzięło swój początek z prawa chłopskiego (*Bauernrecht*), znowu zacznie posługiwać się chłopskim rozumem, a nie, jak dotychczas, metodami scholastycznymi.

Wreszcie dyrektor departamentu ministerstwa sprawiedliwości i prezes pruskiego związku prawników nazistowskich doktor Freisler<sup>127</sup> złożył przy akompaniamencie burzliwych oklasków w imieniu pruskiego ministra sprawiedliwości urzędowe oświadczenie, że ci, którzy walczyli o wolność Niemiec i których stary system uznał za morderców, są teraz uroczystie proklamowani bohaterami narodowymi. „Nie ma tu żadnego dociekania prawa formalnego i żadnego wyroku sądu. Sumienie ludu przemówiło”.

Co to znaczy? Jest to aluzja do tak zwanych „Feme-mordów”, czyli skrytobójczych morderstw wykonywanych na zasadzie wyroków sądów tajnych (kapturowych). Jak wiadomo, wiele tego rodzaju wypadków zaszło podczas powstania na Śląsku, w okupowanych rejonach na zachodzie Rzeszy i w ogóle w związku z puczami i walkami partyjnymi. Dzisiejszy prezydent policji wrocławskiej, który od 1 maja bieżącego roku jest jednocześnie dowódcą SA (nadgrupy pierwszej) na Pomorze Pruskie, Meklenburgię, Ostland, niemiecki Śląsk i Brandenburgię wraz z Berlinem, siedział do przewrotu styczniowego w więzieniu za takie właśnie morderstwo. Obecnie, jak donoszą gazety, powierzono mu

<sup>124</sup>Frank, Hans (1900–1946) — z zawodu adwokat, 1939 r. gubernator generalny w okupowanej Polsce. Skazany i stracony w Norymberdze. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>Geheimrat (niem.) — tajny radca. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Heyman, Ernst (1870–1946) — profesor uczelni we Wrocławiu i Królewcu, potem w Berlinie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Freisler, Roland (1893–1945) — w NSDAP od 1925 r. Od 1942 r. przewodniczący Trybunału Ludowego. Przewodniczył w ponad 1200 procesach, które kończyły się niemal wyłącznie wyrokami śmierci, stąd nazywano go „wieszającym sędzią”. [przypis edytorski]

rolę *usmiritiela*<sup>128</sup> na Pomorzu Pruskim, gdzie ma pokazać opornym junkrom, stahlhel-mowcom i niemieckonarodowym, co to jest subordynacja względem narodowej rewolu-cji.

Enuncjacji doktora Freislera specjalnego posmaku rewolucyjnego dodaje fakt, że po-dobno wielu jest takich, którzy pamiętają (choć starają się jak najszybciej o tym zapo-mnieć) doktora Freislera jako czynnego komunistę. Gdyby się o tym nawet nie wiedziało, łatwo byłoby wpaść na tę myśl, słuchając końcowego ustępu jego przemówienia, które jednocześnie zamykało obchód. Położył on, jak również jego przedmówcy, nacisk na to, że przy ferowaniu wyroków nie można się kierować fałszywym obiektywizmem. Prawem jest zawsze to, co służy życiowym potrzebom narodu. Prawnicy niemieccy wrócą teraz do pracy i będą tworzyli państwo karności (*Zucht*), porządku, zdrowego rozwoju „krwi niemieckiej”, państwo chłopów, robotników, żołnierzy — państwo Adolfa Hitlera.

Czy to o takich sędziach w Berlinie głosi tradycja wieku oświecenia...? Czy rosnące w potęgę Prusy Fryderyka Wielkiego — ale i Woltera — piisały: *II y a des juges à Berlin*<sup>129</sup> gotykiem?

## *Wehrhaftigkeit*

*Wehrhaftigkeit* znaczy dosłownie — zdolność do noszenia broni, a w znaczeniu, jakie obecnie nadają temu słowu Niemcy, znaczy — zdolność do obrony. Od czasu przewrotu hitlerowskiego jest to jedno ze słów najczęściej spotykanych w prasie. Rozciąga się ono w moim pojęciu na organizację militarną kraju, na sprawy gospodarcze i na psychikę, a nawet na mistykę narodu.

O tym, czy Niemcy są narodem mistyków, zdania są podzielone. Nie można jednak zaprzeczać faktowi, że w chwili obecnej naród niemiecki przechodzi wyraźny, choć nie-uświadomiony, okres mesjanizmu. Już w kilku przemówieniach Hitlera nuta pogawędki z Bogiem, pogawędki namiestnika ze swoim monarchą — brzmiała całkiem wyraźnie. Ale poza tym istnieje w dzisiejszych Niemczech pewne podświadome przywiązanie i kult symboliki. Kult ten, bez wątpienia, to w pewnym stopniu zdegradowana forma misty-cyzmu. Sztandar, żeton, mundur, mensura<sup>130</sup>, Führer, Wagner, swastyka, złote warkocze — wszystko to są symbole. Do tego rodzaju symboli i do ustroju koszarowego naród niemiecki zdaje się być głęboko przywiązany. Jak mi wyjaśnił, nie bez paradoksalne-go dowcipu, pewien przyjaciel w Berlinie, Niemcy mogły się stać ośrodkiem naprawdę twórczego pacyfizmu: należało tylko pacyfizm ten potraktować militarnie. Pacyfistów trzeba było skoszarować, umundurować, trzymać w wojskowym rygorze, a wówczas za-stępy ich rosłyby szybko. Takie *Paxabteilungen*<sup>131</sup>, jak udarnicy<sup>132</sup> sowieccy, niosąc ewan-gelię pokoju, szłyby do narodów kochających szabelkę z taką samą bezczelnością, z jaką ministrowie Rzeszy polecili do Wiednia. Lecz wiadomo, że „dzieci ciemności” zawsze są górą, a pacyfści, jak nas uczy smutne doświadczenie, nie okazali się dotychczas dobrymi psychologami.

Jeżeli zajmuję się militarystką niemiecką, to nie z myślą o nieuniknionej a bliskiej rzezi. Może się mylę, ale w tę rzeź chwilowo nie wierzę. Z pobytu w Niemczech wywio-złem wyraźne wrażenie, że nikt tam w chwili obecnej konfliktu zbrojnego nie pragnie. Młodzi i starzy są zahipnotyzowani słabością Niemiec (czytaj: krzywdą wyrządzoną im w Wersalu) oraz potęgą militarną sąsiadów. O wprost gigantycznej sile armii polskiej, na przykład, ma opinia niemiecka nadzwyczaj wysokie i trwożne wyobrażenie. Więc bije się nie tyle na agresję, ile na obronę i konieczność zadośćuczynienia za upokorzenia wypły-wające z przegranej wojny. Dopiero podczas ostatniej mojej bytności w Berlinie zdałem sobie sprawę, jak głębokie i szczerze jest poczucie, że w 1918 roku naród został zhańbiony i zakuty w niewolę długów wojennych, odszkodowań, kontroli zbrojeń, okupacji ziem praniemieckich. Jak wciąż bolesną i jątrzącą się raną jest utrata kolonii, jakim upokorze-

Krzywdą, Polityka

<sup>128</sup>*usmiritiel* (ros.) — pogromca. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*II y a des juges à Berlin* (fr.) — Są sędziowie w Berlinie. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*mensura* — zasady i rytuały związane z pojedynkami, praktykowanymi m.in. w korporacjach akademickich. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*Paxabteilung* (neol. z łac. *pax*: pokój, niem. *Abteilung*: oddział) — „bataliony pokoju”. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*udarnik* (ros.) — przodownik pracy. [przypis edytorski]

niem — plebiscyty. W tym względzie społeczeństwo okazuje coś w rodzaju głębokiego urazu psychicznego. Czy te wszystkie uczucia były w ciągu lat czternastu przez większość ukrywane, a teraz wybuchły, czy też to już hitlerowska propaganda zrobiła swoje — nie sposób dziś osądzić. Faktem pozostaje, że symbole równouprawnienia Niemiec z innymi państwami Europy są czasami cenione wyżej niż uzyskanie dla narodu jakiegoś znacznego, rzeczywistego plusa, powiedzmy natury gospodarczej. Rozumiem dobrze europejskich mężów stanu oraz rządy, które nie mogą temu ufać, ale kiedy przeciętny Niemiec mówi dziś: „Dajcie nam równouprawnienie, a będziemy najczujniejszymi stróżami pokoju” — wygłasza te słowa z niewątpliwą szczerością. Szczeroci w tym samym stopniu nie można się doszukać w enuncjacjach urzędowych i prędeż słyzy się zwroty krasomówcze niż prawdziwie programowe, kiedy premier pruski, kapitan Goering, mówi o sprawie zmiany godła Prus: „Miecz i błyskawice są przywrócone pazurom pruskiego orła heraldycznego. Miecz jest znakiem, że zachowamy pokój i że pragniemy bezpieczeństwa dla naszego narodu. Ale błyskawice są znakiem, że ten, kto spróbuje znowu zniszczyć Niemcy, będzie rażony gromem orła pruskiego”. Te autorytatywne zapewnienia czynników rządzących o pokojowości Niemiec i agresywności sąsiadów są tak ciągle i systematycznie wpajane w społeczeństwo, że nie należy zbytnio dziwić się, kiedy na granicy Polski czy też Sary odbywają się manifestacje z pogrózkami. (Mało to studentów chodziło pod gmach poselstwa niemieckiego w Warszawie?). Siedząc kiedyś przy obiedzie z kilkoma panami zajmującymi tak wysokie stanowiska w partii, że byłem przekonany, iż oni przynajmniej wiedzą, jak się sprawy naprawdę mają, starałem się im wytłumaczyć pokojowość polityki polskiej, zwłaszcza teraz, kiedy rządowi polskiemu można zarzucić wszystko, tylko nie szowinizm czy uleganie pokusom demagogii. Słuchali mnie sceptycznie, choć na ogół mam ich zaufanie i informacji moich nie lekceważą. Kiedy skończyłem mój wykładzik, powiedzieli: „No, ale jednak Gdańsk zajmiecie lada dzień; czekacie tylko na okazję, a daczego nie zabieracie Prus Wschodnich — to już jest zupełnie niezrozumiałe. Uderzenie od Grudziądza i Grodna, a Królewiec jest wasz. Przecież te nieszczęśliwe Prusy Wschodnie są całkiem bezbronne”. Tu znowu zacząłem wyjaśniać, ale krótko. Nastawienie tych panów było wyraźnie pobłażliwe dla moich dobrych chęci względem marchii wschodniej, a wysoce krytyczne co do mego daru orientacji w nastrojach polskich.

Naród przeznaczony do wojny trzeba od samej kolebki wychować w odpowiednim duchu. Pod tym względem ciekawa była mowa ministra spraw wewnętrznych doktora Fricka<sup>133</sup> na zjeździe ministrów oświaty krajów związkowych. Właściwie mowa ta ciekawa jest tylko dla tych, którzy o wychowaniu w Rosji Sowieckiej czy też we Włoszech (o, przepraszam, w Italii) nic nie słyszeli. Bo i Polacy przywykli już słyszeć o tym, co mówił doktor Frick, „że główną zasadą wychowania powinno być stworzenie ducha służby oraz zidentyfikowanie się jednostki z państwem w przeciwieństwie do liberalnej teorii o indywidualnym myśleniu i wolności”. Przy nauczaniu historii (jednego z najważniejszych przedmiotów) należy specjalnie uwzględniać czy nawet prawie wyłącznie ograniczać się do okresu ostatnich dwudziestu lat. Wojna powinna być gloryfikowana, a rozbudzenie sumienia narodowego we wszystkich jego, nawet najmniejszych etapach, od walk w Ruhrze aż do zwycięstwa Hitlera, ma być tematem szczegółowych wykładów. Dziecko musi zrozumieć, że jest członkiem stumilionowej rodziny, z której zwłaszcza po wersalskim „dyktacie” prawie jedna trzecia znajduje się poza granicami Rzeszy. *Wehrhaftigkeit* powinna być tym ideałem przyświecającym dziecku od maleńkości. Wola państwa, a nie rodziców, będzie odtąd kierowała wykształceniem szkolnym itd. Wszyscy aż za dobrze znamy ten refren.

Rewolucja narodowa jest niewątpliwie ruchem ludzi młodych. Nowe Niemcy są budowane przez młodych i dla młodych, a jednocześnie dyscyplina wojskowa, na której tle rozgrywa się obecny dramat, wytwarza dziwnie kontrastowe sytuacje. Władze uniwersyteckie wraz z ministrem Rustem starają się ująć w jakieś karby rozwydrzonych przez rewolucję studentów, a tenże Rust w auli Uniwersytetu Berlińskiego podczas przemówienia do młodzieży akademickiej besztą wprost profesorów za to, że powsadzali nosy w księgi i retorty i nic ich nie obchodziło, co się działo w duszy młodych.

<sup>133</sup> *Frick, Wilhelm* (1877–1946) — w latach 1933–1943 minister spraw wewnętrznych Rzeszy, potem protektor Czech i Moraw. Sądzony i powieszony w Norymberdze. [przypis edytorski]

Toteż na ogół nie liczy się na profesorów. Marny to materiał agitatorski. Nie nadawała się również do agitacji większość organizacji studenckich. Dowodzi tego ich zlikwidowanie. Stworzono natomiast posłuszną *Deutsche Studentenschaft*, jedyną instytucję studencką, oficjalnie uznaną przez władze, no i przez „Myśl Narodową”<sup>134</sup>. Anonimowy współpracownik tego pisma, nie czekając na koniec moich reportaży, zarzuca mi brak zainteresowania duchem tej organizacji. Przykro mi niezmiernie przyznać wrogowi, wprowadzić tylko po części, rację. Bo choć zrobiłem potrzebne kroki i poznałem typowych hitlerowskich korporantów, jednakże nie potrafiłem długo z nimi rozmawiać. Byłem nimi dość przestraszony, trochę jak sztuką *Schlageter*, pomimo że wielu z nich to ludzie inteligentni. Tylko że taka wizja przyszłości nie nadaje się do długiego oglądania. Rewelacyjne momenty z moich rozmów z niedojrzałymi szowinistami dałyby „Robotnikowi” pełne zadowolenie: ci młodzi nie lękają się wcale mistycznej siły mściwskiej, jaką zawiera w sobie przelana krew robotnicza. Nowocześnie uważaliby przytoczone cytaty za rozsądne opinie narodo-mo myślącej młodzieży. Ale ja chcę uważać je za przejściowy objaw przejściowego okresu przeżywanego przez ludzi w przejściowym wieku. Nie będę więc rozmów tych opisywał. Po co jątrzyć? Studenci, których spotkałem, powtarzają trochę bardziej szczerze to, co ministrowie wykrzykują do tłumów. Ale nie należy brać tego zbyt do serca, bo iluż to polskich burszów jest dziś pokornymi owieczkami pana Sławka<sup>135</sup>. Wystarczy pochodzić rok bez posady.

A w życiu studenckim jakież są objawy *Wehrhaftigkeit*? Póki wykłady jeszcze trwały, przymusowemu wyszkoleniu wojskowemu poświęcano na niektórych wyższych uczelniach aż cztery godziny tygodniowo, a co drugi weekend spędzano w obozie lub „w terenie”. Przymus ten dotyczył nawet mego znajomego, którego jeszcze rodzice naturalizowali się w Holandii. Żydów do tych ćwiczeń nie dopuszczano. Mieli za to więcej czasu na naukę. Niech się tylko zmieni kurs i znowu ci nieznośni Żydzi będą lepszymi lekarzami i sprytniejszymi prawnikami.

W lecie, tak samo jak w Polsce, mnóstwo obozów „przysposobienia”; zwłaszcza studenci obejmujący posady rządowe muszą wykazać się „obozem”. Program takiego obozu obejmuje „gimnastykę, sporty terenowe, takie jak marsze i biegi w maskach, marsze z przeszkodami, marsze w pełnym rynsztunku bojowym, ćwiczenia w wyzyskiwaniu terenu przy akcji bojowej”. Połowa dnia jest zajęta „tymi sportami”. Wykłady teoretyczne dotyczą tematów polityki populacyjnej i kolonizacyjnej, stosunków politycznych i gospodarczych w Europie Wschodniej, przemysłu wojennego, krzywdy traktatu wersalskiego i świętej czystości rasy.

Jadąc z moim znajomym autem do jego majątku pod Berlinem, przejeżdżałem przez okolice Döberitz, sławnego jeszcze przed wojną terenu ćwiczeń wojskowych, rewii i parad. Służy on obecnie ćwiczeniom wojskowym i manewrom *Reichswehry*, *Stabhelmu*, SS i SA, a czasem wszystkim razem. Jeszcze niedawno odbyły się tam manewry w związku z powołaniem do ćwiczeń wojskowych przeszło pięć tysięcy byłych oficerów. Nawiązuje się rozmowa na temat przysposobienia. Mój amfitrion jest jednym z niewielu ludzi, którzy już przed wcieleniem *Stabhelmu* do bojówek hitlerowskich należeli do jednej i do drugiej organizacji. Podczas wojny był oficerem gwardii. Jest konserwatystą, monarchistą i typowym, chociaż dość inteligentnym, wojskowym. Zaczął więc opowiadać mi, jak regulamin obozu *Stabhelmu* jest identyczny z regulaminem wojskowym, jak jego ludzie uczą się robienia map, jak praca nad tymi ludźmi jest wdzięczna i owocna. Mknęliśmy ślicznym dwuosobowym samochodem po świetnej, choć wąskiej i bardzo krętej szosie, mijając co chwila jakieś urocze jezioro zgubione wśród falistych pagórków pokrytych lasem. Mrok zapadał, powietrze było przesiąknięte zapachem wilgotnej zieleni. Popatrzyłem na mego gospodarza-szofera. W czerstwej sile swych czterdziestu lat, z blaskiem radości życia w jedynym, pozostawionym mu przez wojnę oku, w mundurze niczym nieróżniącym się dla laika od wojennego *feldgrau*<sup>136</sup>, siedział uśmiechnięty przy kierownicy i cieszył się, że wieczór jest tak upajający, że auto tak świetnie „ciągnie”, że w swojej

<sup>134</sup>„*Myśl Narodowa*” — czasopismo związane ze Stronnictwem Narodowym, wydawane w latach 1921–1939 w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>Sławek, Walery (1879–1939) — bliski współpracownik Pilsudskiego, trzykrotny premier, w latach 1927–1935 kierował Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*feldgrau* — dosł. „polowa szarość”, kolor mundurów armii niemieckiej. [przypis edytorski]

pięknej rezydencji będzie gościł podczas weekendu miłych przyjaciół, że w poniedziałek jedzie na kilkudniowe manewry i będzie „robił żołnierzy”. Pomyślałem sobie raz jeszcze, popatrzawszy na niego z dużą sympatią, że jednak w teorii odrębności ras musi być jakiś duży procent prawdy.

I przypomniałem sobie münsterską, dziś już historyczną mowę wicekanclerza von Papena, który przecież mówił: „Z pacyfizmu wyrósł niebojowy pogląd na życie. Zaczęło się to od literatury lubującej się w przedstawieniu człowieka silnego jako brutalnego głupca i uświatnianiu postaci każdego słabeusza”. „Wszędzie wietrzono potrzeby: od potrzeb niezrozumianej kobiety do wymogów płciowych więźnia. Zamiast wzniecać energię do walki życiowej, chciano każdemu rozesać niejako dywan pod nogi. Życie miało się stać wygodną ulicą, kiedy tymczasem z boskiego założenia jest ono stromą ścieżką. Miłość bliźniego zginęła i ustąpiła miejsca uspołecznieniu pielęgnującemu słabość kosztem siły. O karze śmierci wypisywano grube księgi”. „Choroba, nędza — te wielkie kamienie probiercze ludzkich cnót — miały być doszczętnie wytępione”. Pacyfistyczna literatura o wojnie dawała do zrozumienia, że ten, kto padł na polu chwały, umarł śmiercią nienaturalną. Literatura ta nie miała żadnego zrozumienia dla starej żołnierskiej pieśni: „Nie ma piękniejszej śmierci na świecie, niż być zabitym przez wroga”. Nie rozumiała ona starogermańskiego wstrętu do *Strobtod* (śmierci na słomie). Uwiad spowodowany zwąpanieniem żył zdawał się jej bardziej męski. Pacyfistyczne powieści wojenne nie mogą się dość naopisywać strasznego wyglądu poległych. Tak jakby „zwłoki pokojowe” były estetyczniejsze, jakby nie było znacznie ważniejsze, w jakim duchu człowiek umarł niż jak jego trup wygląda. „Czym dla mężczyzny jest pole bitwy, tym dla kobiety macierzyństwo. Kobieta stacza swoją walkę ze śmiercią, kiedy wydaje na świat nowe życie. Ale jak pacyfizm życiowy chciał położyć kres śmierci na wojnie z powodu odrażającego wyglądu umarłych, podobnie próbował uczynić też z macierzyństwem”. „Decydujący pozostaje w tym względzie fakt, że i ludzie nie widzą już znaczenia świata jako obowiązku utrzymania rodzaju, a myślą tylko o sobie samych. Zanik męskiego bohaterstwa odpowiada podobnemu zanikowi u kobiet. Ta myśl powoduje w nas nie tylko troskę o istnienie naszego narodu, która przyniosła nam ze strony pacyfistów zarzut, że chcemy użyć kobiet jedynie do wydawania na świat mięsa armatniego, ale także w o wiele większym jeszcze stopniu troskę o stan duchowy naszych kobiet”. „Jest zbrodnią przeciwko porządkowi świata, kiedy ludzie i narody pogardzają prawem utrzymywania rodzaju. Samobójstwo można popełnić nie tylko na sobie samym, ale także na rodzaju i ciągłości życia. Utrzymanie tej ciągłości jest uwarunkowane złożeniem ofiary z indywidualności. Matki muszą się zużywać, aby dawać życie dzieciom; ojcowie muszą walczyć na polach bitew, ażeby swym synom zapewnić przyszłość”. „Już podczas wojny było widać, kto jest urodzonym wojakiem. Można było jasno odróżnić prawdziwie walczące oddziały od balastu. Ci, którzy byli tylko balastem, zdjęli po wojnie mundury. Burzliwe lata 1914–1918 zapadły w ich pamięci jako nieprzyjemny epizod. Inaczej było jednak z tymi, których bohaterski duch nie został złamany i którzy także wśród rzezi walki gospodarczej wciąż odczuwali i wysoko stawiali gotowość do poświęcenia, koleżeńskość i spistość narodu. Dla nich, pomimo całej goryczy i wszystkich cierpień, wojna pozostała narzędziem łączności narodowej, bohaterskim okresem ich życia, z którego czerpali nadzieję radosnej przyszłości. Widzimy więc, że bojowa tradycja wojny wciąż żyje wśród pewnej mniejszości jako zadatek przyszłości narodu”. Duch wielkich bitew wojennych i duch narodowej rewolucji — jest jeden. „Przedstawiciele tego ducha to ci żołnierscy ludzie, którzy zachowują bojownicze cechy duszy i ciała. Czy idzie o SA, czy o *Stahlhelm* — jest to ten sam duch potwierdzenia życia (*Lebensbejahung*), potwierdzenia ofiary z życia, duch, który utrzymał się przez lata goryczy i wreszcie się wyzwolił, ażeby dać początek nowej, heroicznej epoce”. Kończąc swe przemówienie, von Papen powiedział o Hitlerze, że przed śmiercią będzie on mógł pomyśleć o sobie: „Niemiecką żołnierskość z jej nieśmiertelnymi cechami obowiązkowości, odwagi, bezwzględного poświęcenia dla ziemi swej krwi i ojczyzny swych ojców — postawiłem na nowo pośrodku kręgu myśli narodu niemieckiego. Narodowi temu dałem znowu za przykład żołnierza niemieckiego”.

Myślałem o tej mowie, kiedyśmy zajechali. Przyjęcie miało być kawalerskie. Pani domu i dzieci były nad morzem. Na ganku spotkali nas inni, już wcześniej przybyli goście. Kilka osób było mi już od dawna znanych, wiedziałem też, że znają się z gospodarzem

dużo dawniej niż ja. Od lat widywałem ich razem w Berlinie: stanowili jedną paczkę. Zdziwiłem się więc trochę, kiedy zamiast przywitać się po prostu, dwaj młodzi ludzie podeszli po kolei do samochodu, stanęli na baczność, „ruki po szwam” flanelowych spodni, oczy w słup, i czekali, aż gospodarz poda im rękę. Dwaj chłopcy, o których mowa — to młodzi arystokraci w wieku około dwudziestu dwóch lat. Jeden z nich skończył Oxford. Ubrani są wyraźnie nienarodowo, ale za to w Londynie. Rok temu leżeliby rozwaleni, jak każdy z nas, na otomanie i piliby whisky, podając trochę starszemu od siebie panu rękę byle jak. Dziś kwestia kilku miesięcy w różnicy wieku stanowi o tym, kto przed kim staje na baczność. Przy kolacji, dość gęsto zakrapianej, znowu zauważyłem kompletne zmechanizowanie ruchu ramion i łokci przy podnoszeniu do ust kieliszka czy kufla. Znowu oczy w słup i oczekiwanie, pełne czujności, na rozkaz picia, a gdy nastąpiło nieme zezwolenie na wychylenie kieliszka, wdzięczne rozrzewnienie w oczach, rumieniec dumy na młodych policzkach. W miarę, jak alkohol działa, mechanizacja ruchów i lojalna koszarowość spojrzeń stają się coraz wyraźniejsze. Mało co w Niemczech tak mnie uderzyło. Spytałem nazajutrz dobrego przyjaciela, który zdawał mi się być niezarażony „koszarową gorączką”, czym wytłumaczyć niesłychaną metamorfozę w obyczajach tych młodych. Powiedział, że bardzo trudno zanalizować powody, ale że widocznie wypływa to z najbardziej zasadniczych cech charakteru niemieckiego. Powiedział to zresztą nie bez lekkiego zmieszania. Trudno osądzić, czy to są właśnie odpowiednie metody dla stworzenia tego *Herrenvolk* (narodu panów), o którym tyle jest mowy?

Przy tejże kolacji wynikła dość ciekawa i zupełnie szczerą rozmowa. Dowiedziałem się tym razem już nie z trybuny, prasy, sceny czy ekranu, ale w zaufaniu, z ust moich młodych towarzyszy, że pragną naprawdę umrzeć za Hitlera. Postuk kielichów i mowa o śmierci za wodza dały mi na chwilę wrażenie, że to wszystko nie może być rzeczywistością, że jestem przeniesiony w jakiś rezerwat dla prarekwizytów teatralnych, że wszystko, na co patrzę, to malowane płótno i togi z drelichu. Ale w dalszej dyskusji wypłynął temat stosunkowej wartości oddziałów SA w porównaniu ze *Stahlhelmem*. Wciągnięto mnie do rozmowy jako postronnego obserwatora. Powiedziałem bardzo spokojnie to, co myślałem, a mianowicie, że należy mieć nadzieję, iż *Stahlhelm* nie utraci zupełnie swej odrębnej fizjonomii, bo jest to jednakże element hamujący ekscesy rewolucji. Nie zdążyłem skończyć zdania, kiedy mój przyjaciel mocno kopnął mnie pod stołem. Szepnął mi w ucho, że młodzi ludzie siedzący z nami przy stole należą do SA i mogą się rozgniewać. Byłem zdumiony. O tym, że są w SA, dobrze wiedziałem, ale nie wiedziałem, że w kółku swoich ludzi nie można prowadzić, nawet na zimno, dyskusji na podobne tematy. Więc jak to? Młodzi stoją na baczność, ale młodych nie wolno krytykować. Rekwizyty zaczynają nabierać rumieńców życia. To, co się dzieje, to chyba nie jest jednak powrót do 1914 roku, to jednak rewolucja.

W poniedziałek o świcie mój gospodarz odwozi mnie do Berlina. Na zielonych łąkach Döberitz widzę znowu jakieś mundury. To już nie *Reichswehra* czy *Stahlhelm*, ale coś bardzo podobnego — to mundury noszone w obozach dobrowolnej pracy. Tak samo jak w innych organizacjach, przechodzi się też w tych obozach kurs przeszkolenia wojskowego. Sport w Niemczech dzisiejszych przestał być rozrywką i został też poniekąd zmilitaryzowany. Państwowy komisarz do spraw sportu czuwa nad tym, ażeby żaden wysiłek młodych mięśni nie był stracony dla sprawy rewolucji i narodu. Całą Rzeszę podzielono na szesnaście okręgów sportowych z różnymi mniej szymi podokręgami (rodzaj sportowych PKU<sup>137</sup>). Od komisarza zależy cała hierarchia półkomisarzy i ćwierćkomisarzy sportowych. Na konferencjach działaczy sportowych jest głównie mowa o stronie państwowo-wychowawczej sportu. Organizacje sportowe nienazistowskie są tolerowane, tylko o ile mają na celu „czysty sport”. Wszelkie zabarwienie wyznaniowe czy przekonaniowe dyskwalifikuje je natychmiast. Ale sport prawomyślny jest tak protegowany i reklamowany, że na przykład z powodu święta gimnastyki w Stuttgarcie kolej musiała wydrukować trzy miliony biletów dla wycieczek udających się na to święto.

Dziwne jest w tym wszystkim, że te same ćwiczenia wojskowe, które uważane są nie tylko za obowiązek, ale także za przywilej każdego lojalnego obywatela, są jednocześnie stosowane jako najprzykrejsza kara dla więźniów politycznych w obozach koncentracyjnych. Tworzy się w tych obozach druga, choć może mniej oddana rządowi, *Reichswehra*.

<sup>137</sup>PKU — Powiatowa Komenda Uzuppełnień. [przypis edytorski]

Przecież ostatnie badania wykazują, że liczba więźniów w obozach Rzeszy wynosi dziś około stu tysięcy ludzi. Cyfry te rząd, oczywiście, gwałtownie przeczy.

Tyle o wojsku cywilnym. Ale *Webrhaftigkeit* na tym się nie kończy. Dzisiaj w sprawach gospodarczych ministerstwo wojny zabiera głos jeszcze bardziej decydujący niż resorty powołane wyłącznie do opieki nad ekonomicznym życiem kraju. Jeżeli samowystarczalność jest dzisiaj w modzie, to gdzieżby jej więcej hołdowano niż w Niemczech, w tym kraju, który od dziewiętnastu lat czuje się stale obłożony. Ale pomimo tego chronicznego „stanu wyjątkowego” obraz polityki gospodarczej Niemiec dzisiejszych przedstawia się dość mgliście. Poglądy to ścierają się dziwnie przypadkowo, to znowu najbardziej nieoczekiwane biegną zupełnie równoległe. Jedyną wspólną cechą poczynań, czy to sztabu generalnego, czy to skrajnych elementów partii narodowosocjalistycznej — jest radykalizm. Sztabowi jest obojętne, w jaki sposób wyżywi kraj, głównie interesuje go wojsko podczas wojny, a partii chodzi tylko o to, aby wreszcie dać masom coś bardziej konkretnego niż frazesy — choćby cudzą własność.

Przemysł działa sprawnie, więc należy go oszczędzać. Zakusy skrępowania wielkiego zachodniego przemysłu, robione w początkach rewolucji, spełzły właściwie na niczym. Ograniczyły się do jakichś powierzchownych objawów koordynacji. Przemysł pod wodzą pana Kruppa von Bohlena<sup>138</sup> zwyciężył. Cóż mu, poza partią, może dziś stać na przeszkodzie? Chyba tylko koniunktura zagraniczna. Wewnątrz kraju ruch robotniczy został zupełnie złamany. Nowi regionalni komisarze pracy posiadają uprawnienia dyktatorskie co do normowania płac, czasu trwania i warunków pracy. Muszą czuwać nad spokojem w przemyśle, a policja dostała wskazówki bezwzględnej dla nich posłuchu. Tak wygląda więc kraj, którego ministrowie kończą każdą mowę stereotypowym zwrotem do robotnika niemieckiego: „Dla ciebie budujemy tę świetlaną, przyszłą Rzeszę”.

Tymczasem rząd zdaje się być skłonny do tolerowania inicjatywy prywatnej w przedsiębiorstwach stosunkowo niewielkich i posiadających prostą budowę administracyjną; pozostawia zaś sobie kontrolę i kierownictwo nad kartelami czy też polityką ogólną poszczególnych gałęzi wytwórczości i handlu. Gabinet Rzeszy wydał nawet niedawno ustawę normującą mianowanie komisarzy do poszczególnych przedsiębiorstw i tworzenie przymusowych karteli wszędzie, gdzie widać robotę „ludzi niepewnych”. Słychać hasło powrotu do średniowiecznych podstaw ekonomicznych. Dąży się do państwa stanowego. Istnieje wyraźna tendencja rozbijania koncernów na pojedynczo działające towarzystwa akcyjne. Łatwiej dać sobie z nimi radę, a poza tym duże koncerny nabierają zawsze cech międzynarodowych i są związane tysiącami nici z zagranicą.

Wszystko to wydaje się niewtajemniczonemu chaotyczne i bezplanowe. Niektórzy twierdzą, że rząd i partia naprawdę nie ustalili jeszcze żadnych wytycznych życia gospodarczego, a tylko kierują się teorią i dążeniami. Jedną rzeczą zdaje się być konkretna, to walka wypowiedziana junkrom, czyli agrariuszom wschodnim. Reforma rolna czeka ich podobno niechybnie, a przeprowadzenie jej będzie tym łatwiejsze, że latyfundia te są tak nieprawdopodobnie przeciążone długami, iż wystarczy nie udzielić ich właścicielom ulg podatkowych czy prolongat kredytów, żeby każdy z tych majątków poszedł w krótkim czasie pod młotek. Będzie wówczas miejsce na kolonizację. Za co jednak przeprowadzi się tę kolonizację, skąd weźmie się pieniądze na roboty publiczne, które mają być wykonane przez obozy dobrowolnej pracy, a w przyszłym roku także i przymusowej — na te pytania nikt nie potrafił mi odpowiedzieć. Ale jak wiemy, na cele wojskowe czy organizacje na wół militarne gotówki nigdy i nigdzie nie zbrakło. Czasem i często brakuje na zbudowanie ochronki czy szpitala, czasem nie można wykończyć wału ochronnego nad rzeką, która wylewa, ale na pociski i gazy trujące starczyć musi. Więc i w Niemczech jakoś się to dzieje. Tylko że swoboda w rozporządzeniu funduszami na podobne cele musi być chyba jeszcze większa niż w krajach jawnie militarnych, charakter bowiem konspiracyjny zbrojeń niemieckich zwalnia tych, którzy stoją przy kasach, od legitymowania się przed społeczeństwem czy komisją parlamentarną.

Gwałt podniesiony z powodu rzekomego nalotu obcych aeroplanów rozsypujących „bibułę” nad Berlinem, kiedy jednocześnie *Maybach-Motoren-Werke* wykonują ogromne

<sup>138</sup> *Krupp von Bohlen und Haibach, Gustav* (1870–1950) — kierował niemieckim koncernem przemysłu ciężkiego Friedrich Krupp AG, zajmującym się od 1933 głównie produkcją zbrojeniową. [przypis edytorski]

obstalunki silników samolotowych wprost na zamówienie ministerstwa *Reichswehry*<sup>139</sup> — przypomniał mi rozmowę w samochodzie podczas przejazdu przez Döberitz. Zapytałem, pamiętam, czy ćwiczenia bojówek i Stahlhelmu robione są z bronią. Dostałem na to odpowiedź: „Przecież traktat wersalski na nic podobnego nie pozwala”. I przypomniał mi się strasznie stary, ale zawsze śmieszny kawał o panience z miasta garnizonowego, która pytała matki: *Mama, was ist ein Leutnant?*<sup>140</sup>.

## WYJAZD

Zbliża się chwila wyjazdu. Jeszcze jedna, ostatnia, wizyta. Spodziewam się po niej pewnego wyrobienia sobie zdania o sprawach Kościołów chrześcijańskich w Niemczech. Choć kroki kieruję do katolików, mam jednakże nadzieję usłyszeć trochę i o stanie protestantyzmu. Pod tak silnym ciśnieniem, jakie panuje obecnie, tworzą się przecież najdziwniejsze sojusze. Wszak widzieliśmy w Rosji Sowieckiej niewątpliwe objawy pewnej solidarności chrześcijańskiej, której próżno by szukać na przykład w Ziemi Świętej. Nadzieje nie zawiodły: znalazłem u moich katolickich informatorów wszystko, czego oczekiwałem. Nie będę jednak nawet robił próby naszkicowania obrazu walk i przeobrażeń toczących się w łonie Kościołów protestanckich. Trzeba by dobrze znać życie i ustrój trzech głównych gałęzi protestantyzmu niemieckiego, żeby móc zrozumieć to, co się obecnie dzieje. Płynność organizacji, dogmatyki i liturgii oraz łatwość, z jaką zbory ewangelickie abdykują z najbardziej, zdawałoby się, zasadniczych rzeczy, łatwość znajdowania kompromisu, wszystko to stworzyło taki stan rzeczy, że Hitler nie miał właściwie, pomimo bardzo stanowczych sprzeciwów prezydenta Hindenburga, zasadniczych trudności z przeobrażeniem protestantyzmu w narzędzie zupełnie podległe narodowej rewolucji, nie dając mu jednakże żadnych przywilejów religii panującej. *Der totale Staat*<sup>141</sup> nie może, oczywiście, patrzeć życzliwym okiem na żadną religię. Religia to konkurencja. Nacjonałiści to najbardziej skrajni monoteiści. Jedno jest bóstwo: państwo. Reszta to opium dla ludu. Nie wątpię, że wśród protestantów działy się i zapewne jeszcze dzieją tragedie. Cierpieć musi wielu purystów, ale cierpią przypuszczalnie głównie ci, którzy widzą dzieło może całego swego życia zniszczone. Mam na myśli ludzi pracujących w organizacjach i związkach wyznaniowych. Tragedie te jednak są bez wyjątku tragediami cichymi. Głośnych protestów nie słychać. Pamiętam tylko jeden w sprawie oczekiwanego zakazu przyjmowania na wiarę protestancką Żydów. Protest ten zresztą okazał się skutecznym, gdyż ustawa normująca obecny stan Kościołów protestanckich nie jest zaopatrzona w paragraf aryjski. Zdziaławszy już tak wiele, rząd myśli teraz o wciągnięciu do wspólnej organizacji także Kościołów protestanckich w krajach bałtyckich, Czechosłowacji, Austrii i Jugosławii, ażeby potem użyć ich jako ogarów hitlerowskiej infiltracji.

Ale kwestia katolicyzmu jest w Niemczech stokroć ciekawsza i ważniejsza. Przeszło czwarta część ludności to katolicy. Śląsk, Bawaria i Nadrenia są całkowicie katolickie, a nawet w Berlinie jest około dziesięciu procent katolików. Kiedy się widzi zlikwidowanie wewnętrznego życia politycznego Rzeszy przez starcie z mapy Niemiec wszystkich partii; kiedy zagadnienia robotnicze i społeczne przestały być aktualne dzięki bezwzględnej koordynacji; kiedy się w dodatku wie, że ten stan rzeczy trwać może *ad infinitum*, gdyż nawet głód spowodowany wrogiem i koniunkturami gospodarczymi nie przestraszy rządzących, jak ich nie przestraszył i w Rosji, dopóki Reichswehra, SS, SA i Stahlhelm są nakarmione i zadowolone (a ten świetny aparat terroru liczy zaledwie około ośmiuset tysięcy ludzi) — wówczas kwestia katolicka staje się, czy też powinna się stać, problemem największej wagi. Gdyby życie było logiczne, w rękach katolików spoczęłyby losy rewolucji, ale ponieważ logika na arenie politycznej nie króluje, więc w rękach katolików spoczyna nie losy, lecz tylko odpowiedzialność za rewolucję. Bo jakże inaczej napiętnować niesłychaną bierność katolików niemieckich zgrupowanych w zwarte jednostki geograficzne, w jednostki cieszące się do niedawna (widocznie nie dosyć) autonomią polityczną (patrz — Bawaria) i mające też do niedawna reputację bardzo „rzymskich”. Stawiano

Religia, Nacjonalizm

Religia, Nacjonalizm,  
Konflikt, Tchórzostwo

<sup>139</sup>*Reichswehra* — siły zbrojne Republiki Weimarskiej i III Rzeszy, istniejące w latach 1921–1935; następnie Reichswehrę rozwiązano, tworząc Wehrmacht. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*Mama, was ist ein Leutnant?* (niem.) — Mamo, co to jest porucznik? [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*Der totale Staat* (niem.) — państwo totalne. [przypis edytorski]



ich przecież zawsze za przykład wszystkim katolikom płaczącym sprawy wiary z szowinizmem. A cóż się okazuje? Heca antyżydowska jest najdalej posunięta w Nadrenii, kraju katolickim. Zwracam wybitnemu działaczowi katolickiemu uwagę na wysoce niechrześcijański charakter tego ruchu. Otrzymuję wymijającą odpowiedź, że w Meksyku Żydzi nie bronili prześladowanych katolików.

W ogóle tych kilka cichutkich protestów, czy to w sprawie wolności prasy i słowa, czy to piętnujących objawy brutalności rewolucji, robiło wprost przykre wrażenie, kiedy się wiedziało, jakie możliwości w sensie kulturalnej opozycji czekały tylko na wyzyskanie przez katolików. Zakneblowanie potężnej prasy katolickiej, zamknięcie i konfiskata majątku licznych związków i organizacji katolickich nie wywołały sprzeciwu. Wiem dobrze, że sprzeciw może być równoznaczny z utratą wolności. Ale, o ile mnie pamięć nie myli, Kościół katolicki posiadał już w przeszłości swoich męczenników. Ci katolicy jednak, którzy dzisiaj są uwięzieni, cierpią za swoją przeszłość, cierpią z powodu koniunktury politycznej, ale rzadko kiedy cierpią za akty odwagi cywilnej. Nad tym właśnie ubolewał jeden z moich informatorów, ksiądz, który potem został zresztą aresztowany. On rzeczywiście „cierpi dla sprawiedliwości”. Mówił mi prawie z entuzjazmem, że tylko czeka na więzienie czy obóz koncentracyjny, że jedynie przez pokazanie narodowi męczenników można wyrwać go spod hipnozy nacjonalizmu. Jeżeli za czasów *Kulturkampf* — ciągnął dalej — aresztowano nawet biskupów, o ileż jaskrawsze powinny być dzisiaj objawy walki, kiedy duch rewolucji jest o tyle bardziej zasadniczo obcy i wrogi duchowi wszelkiej religii. Bo przyznać trzeba, że jeżeli rzadko uświadamiamy sobie, a może nawet negujemy fakt, że kultura, w której byliśmy wychowani, jest kulturą chrześcijańską, w dzisiejszych Niemczech przekonamy się, stosując metodę eliminacji, że to, co panuje w Europie poza Niemcami (zostawiam oczywiście na uboczu Rosję), jest może oddalonym, ale jednakże refleksem „przewrotu chrześcijańskiego” sprzed tysiąca dziewięciuset lat. Nic bardziej niechrześcijańskiego, ba, nawet niepogańskiego, niż obecny przewrót niemiecki. Nacjonalizm to kult nizinny. Nie rozwija się on w cieniu Góry Oliwnej ani nawet Olimpu.

Miałem też sposobność zetknięcia się z katolickimi pacyfistami<sup>142</sup>. Ludzie ci, a raczej resztki tej grupy, które znajdują się jeszcze na wolności w Niemczech, to rzeczywiście cudowny element ludzki. Rzadko spotykałem w życiu ludzi tak bezwzględnie uczciwych, tak niezdolnych do kompromisu. Dziś ich dążenie do intronizacji ideałów chrystianizmu przez braterstwo ludów może się wydać prawie śmieszne. Lucjan Rydel<sup>143</sup> i pani generałowa Ludendorff — oto typy dzisiejszych popularnych teologów. Ale niemieccy pacyfiści katolicy nie bali się tej śmieszności i tego odosobnienia. Raczej Rzesza bała się ich i dlatego przedsięwzięła od czasu rewolucji odpowiednie kroki, aby ich wpływy unieszkodliwić.

Ale tymczasem pan von Papen, ten sam, który wygłosił cytowaną przeze mnie mowę w Münsterze, który wystąpił z Centrum, który pozwolił w następstwie na rozwiązanie partii katolickich i na wszystkie antykatolickie poczynania swego rządu, podpisuje w Rzymie konkordat, jakiego nie potrafił „wyludzić” od Watykanu sam wielki Bismarck i zostaje odznaczony jakimś wielkim orderem papieskim, choć pewno nie *Pro Ecclesia et Pontifice*<sup>144</sup>.

Co będzie dalej? Dobrzy katolicy oburzają się często na oportunizm, nacjonalizm i bierność episkopatu niemieckiego, który nie tylko nie protestuje w samych Niemczech, ale także jakoby mylnie i łagodząco informuje papieża. Czy pesymiści w sprawach konkordatu mają rację, pokaże przyszłość. Wydaje się nawet dla laika rzeczą niemożliwą, ażeby *der totale Staat* nie mieszał się do szkolnictwa wyznaniowego, tej najdrażliwszej

<sup>142</sup>Z *katolickimi pacyfistami* — zdaniem Tomasza Szaroty nie jest wykluczone, że Antoni Sobański spotkał się w Niemczech z księdzem Maksymilianem Metzgerem, zaprzyjaźnionym z księdzem Władysławem Kornilowiczem z Łasek. W 1944 r. Metzger został zamordowany przez hitlerowców. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*Rydel, Lucjan* (1870–1918) — polski poeta i dramaturg, autor m.in. popularnego widowiska jasełkowego *Betlejem polskie* (1904). [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*Pro Ecclesia et Pontifice* — „Dla Kościoła i Papieża”, jedno z wysokich odznaczeń Stolicy Apostolskiej w kształcie krzyża. [przypis edytorski]

strony życia katolickiego. A co będzie po prostu z niedzielnymi kazaniami? Nawet kapelan wojskowy nie potrafi mówić zupełnie „po linii”, o ile czuje się naprawdę księdzem. Chyba że Kościół zażąda od swych wiernych nowego rodzaju męczeństwa, a mianowicie złożenia ofiary z zasad i z przekonań.

Trzeba jechać — a człowiekowi się nie chce. Nigdy nie zakosztowałem tak często opiewanego uroku Wschodu, przeciwnie, całe życie czułem instynktowny *Drang nach Westen*. Zachód nigdy nie wydał mi się tak zgniły jak Wschód. Wsiadanie do pociągu jadącego w kierunku wschodnim jest dla mnie zawsze prawdziwą przykrością. Więc choć w Niemczech widziałem bezsprzeczne objawy zdziczenia, położenie geograficzne Berlina i warunki życia robią z tego miasta coś jednakże bardziej europejskiego od Warszawy. A poza tym od Berlina zaczyna się „mój koniec świata”. Gdyby moje pojęcie o geografii sięgało czasów przedkopernikowskich, nie wątpiłbym po przejechaniu wschodnich przedmieść Berlina, że tu zbliżam się do krańca świata. Przedmioty, na których może spocząć oko, stają się coraz rzadsze, koloryt coraz bardziej wyblakły i kto wie, czy ta sina linia lasów na widnokregu, łącząca szarawe niebo z mało zieloną ziemią, nie jest właściwie szparą, przez którą widać nicłość. Zresztą studiowanie najnowszych map niewiele w tym względzie przyniesie pociechy, bo jeżeliby objechać kulę ziemską na wysokości geograficznej Berlin-Warszawa, droga przedstawiałaby się dość beznadziejnie. Urozmaicenia nader słabe: Ural, Bajkał, sowiecka część Sachalinu, południowy cypel Kamczatki, Góry Skaliste Kanady, dobrze na północ od Vancouveru, dno Zatoki Hudsona, Labrador, no i wreszcie południowa Irlandia i Europa. Jak widzimy, o egzotyce nie ma mowy. A Łowicz nie każdemu wystarcza.

Ale co tu się zastanawiać — jechać trzeba. Wsiadam do pociągu. W moim przedziale siedzą już dwie panie o rysach wybitnie semickich, każda z córeczką w wieku siedmiu, ośmiu lat. Na dworcu żegnają je mężowie. Ruszamy. Moje panie pokazują sobie swoje domy, koło których przejeżdżamy i rozmawiają po niemiecku o rzeczach błahych: nawet podsłuchiwać nie warto. Oddaję się medytacjom, przechodzę myślą wszystko, com widział, com słyszał, hipotezy, jakie budowano, przepowiednie, jakie wygłaszano.

Widziałem więc kraj, w którym odniosła zupełne, miażdżące zwycięstwo rewolucja narodowa. (Zdaje się, że po wypadkach we Włoszech sprzed dziesięciu lat, a teraz w Niemczech, określenie to ma już zupełnie ścisłe, prawie naukowe znaczenie). Widziałem kraj jeden i niepodzielny. Jest to prawie jedyne wielkie dzieło Hitlera. Należy jednak uniknąć nieporozumień co do przymiotnika „wielki” w powyższym zastosowaniu. Dzieło Hitlera jest wielkie, bo nikt tego dotychczas dokonać nie potrafił, bo może być brzemienne w następstwa dla przyszłej historii Europy; ale nie jest wielkie, jeżeli chodzi o kulturę Niemiec i o spokój naszego kontynentu. Powyższe twierdzenia nie wymagają chyba argumentacji. Prawie zupełna konsolidacja Rzeszy stała się jednak faktem i, jak dotychczas, tak dalecy duchowi pruskiemu południowcy nie skarżą się ani jawnie nie żałują utraty swych praw do niezależności i poddania się kompletnego pod batwę Berlina. To, że Hitler jest Austriakiem, nie odgrywa tu żadnej roli.

Czy rewolucja w tych wreszcie zjednoczonych Niemczech siedzi mocno w siodle? Na to pytanie słyszy się przeważnie odpowiedź pozytywną. Z góry zaznaczam, że w przepowiednie nie mam zamiaru się bawić. Postaram się tylko myśleć logicznie, ale i to w polityce czy w historii niedaleko prowadzi. Kiedy się zastanawiać, skąd może przyjść wróg groźny dla rewolucji — z punktu widzenia nazistów trudno nie być optymistą. Katolicy, jak już pisałem, zawiedli. Socjalizm zmarł śmiercią naturalną, tą papenowską *Strobtod*. Jest to zresztą bardzo przejmująca historia, że drogę do obecnego stanu rzeczy w Niemczech utorowała właśnie socjaldemokracja. Wprawdzie mogła ona też doprowadzić do komunizmu, ale właśnie ten paniczny strach wspólnego frontu z komunistami, choćby stworzonego na krótki okres, dostateczny do zorganizowania strajku generalnego, nawet tak niedawno, jak między 30 stycznia a 5 marca bieżącego roku, spowodował, że Hitler zwyciężył i że klasy pracujące zostały pozbawione i głosu w życiu społecznym, i broni do walki o swe stanowisko w narodzie. Skąd jednak ta zupełna bierność socjalizmu niemieckiego? Tłumaczono mi, że głównym niedomaganiem tej partii był brak ludzi młodych na stanowiskach decydujących. Zaobserwować to zresztą można także i w innych krajach, choćby we Francji i w Polsce. Starzy liderzy socjalistyczni w Niemczech nie byli dostatecznie demagogicznie nastawieni. Za mało urządzali wieców, za mało historycznie

nawoływali tłumy, za rzadko przyjmowali wiązanki kwiatów od dziewczynek w bieli (jak to ciągle czyni Hitler), a przede wszystkim byli kunktatorami i ludźmi politycznie mało odważnymi. Doszło do tego, że wielu synów przywódców socjalistycznych zalicza się do zagorzałych hitlerowców.

Prawodawstwo zmierzające do utrzymania obecnego stanu posiadania rewolucji narodowej z każdym dniem staje się bardziej drakońskie. Istnieją specjalne rozporządzenia przeciwko „ludziom rządzącym” (*Miesmachen*). W biednych dzielnicach Berlina i prawie we wszystkich tańszych lokalach innych dzielnic właściciel lub obsługa są w porozumieniu z wywiadem policyjnym. Praca jacejek jest niemal zupełnie uniemożliwiona. Jak już pisałem, Niemcy znajdują się w prawie hermetycznie zamkniętym kręgu terroru. A każdy rząd, który swą bezwzględność posuwa poza granice praw i dbania o dobrobyt i szczęście obywateli, jest zwykle rządem dość długotrwałym. Przewraca się dopiero wtedy, kiedy zaczyna się wahać i mieć skrupuły.

Tymczasem pogłoski o pomrukach ludu rozczarowanego brakiem konkretnych dobrodziejstw rewolucji idą zawsze w parze z wiadomościami o coraz to nowych obostrzeniach prawnych i nowych przywilejach dla organów władzy, rządu i partii. Trochę mniej najzupełniej zbędnej, wiecowej demagogii — a zapewne pracującym warstwom niemieckim oszczędziłoby się niejednego objawu niezdrowo rozbudzonego apetytu. Słowa „apetyt” używam tutaj i w przenośnym, i w dosłownym jego znaczeniu. Dziwnym zbiegiem okoliczności w chwili, kiedy o tym myślę, zatrzymujemy się we Frankfurcie nad Odrą. Jest niedziela. Słyszę śpiew. Znajoma melodia. To oddział szturmowców śpiewa w odjeżdżającym pociągu środkową zwrotkę *Horst Wessel Lied*:

*Die Strasse frei den braunen Bataillonen,  
Die Strasse frei dem Sturmabteilungsmann,  
Es schaun aufs Hakenkreuz voll Hoffnung schon Millionen,  
Der, Tag für Freiheit, und für Brot bricht an.*<sup>145</sup>

Brzmi to jakoś nieaktualnie. Co do chleba, gdzież jest ta nadzieja? Urzędowe dane statystyczne pokazują pewne zmniejszenie bezrobocia, ale należy pamiętać o istnieniu obozów dobrowolnej pracy, ciężących na budżecie państwa, a także o tym, że ci, co utracili posady z powodów politycznych czy rasowych, nie są zaliczani do bezrobotnych. Jeżeli zaś chodzi o wolność, wiemy tylko, że poza opisanymi już gwałtownymi represjami, jakie stosuje rząd niemiecki, zaczęto w ostatnich czasach aresztować rodziny zbiegłych za granicę emigrantów politycznych, ażeby w ten sposób zmusić ich do powrotu i ukarać.

Widziałem więc kraj rządzony według wzorów wziętych po trochu z Rosji i z Włoch. Komunizm jest zbrodnią. Mandaty socjalistyczne do wszelkich ciał ustawodawczych czy samorządowych zostały unieważnione. Inne partie przestały też istnieć: spieszą się jedna przez drugą, która też pierwsza rozwiąże się „dobrowolnie”. Pozostaje więc tylko partia narodowosocjalistyczna, ale kto rządzi nią naprawdę? Hitler, Goering, Goebbels? A może jeden z nich? A może Kerrl albo Rust, albo Freisler, albo Heines<sup>146</sup>! A może po prostu sztab generalny Reichswehry? Nie sposób powiedzieć. Jak w Rosji, mamy tu prawe i lewe odchylenia. To lewe odchylenie wydaje się odchyleniem przyszłości. Może i Otto Strasser<sup>147</sup> powróci jeszcze do łaski. Ale z drugiej strony przemysł zachodni też mocno stoi na nogach i wygląda, jakby nie tracił, ale — przeciwnie — zyskiwał grunt pod tymi nogami. Powinno się pamiętać, że w swych początkach cały ruch nazistowski był finansowany przez kapitał i przemysł nawet po części żydowski, jako środek obrony przeciwko zmorze

<sup>145</sup>*Die Strasse frei den braunen Bataillonen...* (niem.) — Więc wolny szlak brunatnym batalionom/ Więc wolny szlak przed tym, co niesie grom/ Na hakenkreuz z nadzieją patrzą już miliony/ I dzień wolności wstaje nad nasz dom. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*Heines, Edmund* (1897–1934) — poseł NSDAP do Reichstagu i jeden z przywódców SA; zamordowany przez hitlerowców 30 czerwca 1934 r. podczas tzw. nocy długich noży. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*Strasser, Otto* (1897–1974) — bliski współpracownik, później konkurent Hitlera, reprezentant tzw. lewego skrzydła ruchu nazistowskiego. W 1930 r. założył własną organizację „Czarny Front” w opozycji do NSDAP. Od 1934 r. na emigracji, w 1955 r. powrócił do Niemiec. [przypis edytorski]

komunizmu. W obecnej chwili broń zdaje się chwilami obrócona przeciwko jej dostawcom, a już w każdym razie przeciwko junkrom. Są tacy, którzy twierdzą, że wszystko w dalszym ciągu spoczywa w rękach kapitału przez duże K. Przypuszczam, że wersja ta jest przesadzona, tak samo jak przesadzone są przypuszczenia krążące wśród lewicowej inteligencji, że w krótkim czasie dojdzie niechybnie do wielkich buntów wśród rozgorzconych i rozczarowanych tłumów bezrobotnej biedoty.

Możliwa jest też monarchia. Wiele elementów socjalistycznych patrzy dziś z upragnieniem na tę możliwość. Ufają, że z powrotem monarchii powrócą też bardziej kulturalne formy rządzenia i sprawiedliwości. O cesarzu Wilhelmie<sup>148</sup> nie ma, zdaje się, mowy, pomimo żartu o rzekomym telegramie Kronprinza do ojca: *Vater, komm bald zurück, wir sind das kleinere Übel* („Ojcze, powracaj prędko, jesteśmy mniejszym złem”). Mówi się, jako o kandydatach, o synach cesarza oraz o innych książętach krwi, nawet nie o Hohenzollernach. Masy są na tę ewentualność monarchii zupełnie przygotowane. Gdyby do tego doszło, entuzjazm byłby niewątpliwie wielki, ale kierownictwo partii, a zwłaszcza lewy jego odłam, nie zdaje się bynajmniej dążyć ku temu.

Widziałem, i to może najważniejsze, kraj rządzony prymitywnym instynktem szczepu i jego odrębności. Ani na chwilę podczas pobytu w Berlinie nie mogłem zapomnieć o tym odrodzeniu prymitywizmu. Jaskinia, maczuga, owłosiony małżonek broniący kobiety z cofniętym czołem — takie obrazki stają wciąż przed oczami, kiedy się żyje w atmosferze gloryfikacji poczucia stadnego.

Ale rozmowy w przedziale przerywają mi tok rozmyślań. Po tematach obojętnych moje towarzyski podróży zaczynają omawiać kurs złotego. Aha, może jadą do Polski. Zjawia się konduktor. Zerkam na bilety. Są do Łodzi. Już wiem trochę więcej. Następuje dyskusja, czy i kiedy należy się przesiadać. Wreszcie nadchodzi kontrola paszportów, z woreczków wyłaniają się niewątpliwie polskie paszporty konsularne. Serce rośnie — rodaczki. Ale rozmowa ciągle jeszcze jest niemiecka, i to niemiecką zupełnie poprawną. Opuszczamy ostatnią stację niemiecką. Jedna z dziewczynek siedzi przy oknie, wygląda znudzona, wystukuje bezmyślnie palcami po szybie jakąś melodię i coś nuci pod nosem. Przysłuchuję się. Tak, nie myślę się: *Deutschland, Deutschland über alles*. Słyszy to matka i nagle odzywa się językiem Esterki i Mickiewicza: „Dziecko, po co ty to śpiewasz, ty przecież umiesz i polskie piosenki, zaśpiewaj lepiej coś po polsku!”. Rewelacja! Dziecko posłuszne, choć dalej znudzone, zaczyna bez zapału, ale wyraźnie podśpiewywać: „Oto dziś dzień krwi i chwały”... W tej chwili pociąg wjeżdża na stację Zbąszyń. Wyprawa moja skończona. Jestem już w Polsce. Na jak długo żegnaj się z Trzecią Rzeszą, która mnie nie nawróciła, pomimo mej uczciwej chłonności? Ufam jednak, że zostaną należycie zrozumiane. Pisałem tylko prawdę i pisałem ją, mając wciąż na myśli, że nie należy ją trzymać już i tak trudnych stosunków pomiędzy Polską a Niemcami. Unikałem wszystkich szablonów zgiełkowej historii europejskiej prasy lewicowej i tylko prawda zmuszała mnie do wysuwania, niestety, dosyć ciężkich oskarżeń.

Pojechałem do Berlina oglądać rzeczy nowe; obserwować zjawiska, których badanie w Warszawie nie jest możliwe. Ale czy tak jest naprawdę? Człowiek posiadający wyobraźnię może zrozumieć i odtworzyć wiele z tego, co się dzieje w Niemczech, przeczytawszy uważnie jakieś pismo sanacyjne i jakieś pismo endeckie. W piśmie sanacyjnym czyta się o inicjatywie rządu w organizowaniu Święta Morza, Święta Straży Przedniej, Święta Przysposobienia Wojskowego. (Pomimo istnienia ogromnej, dobrze, bo za połowę z górą polskiego budżetu, wyekwipowanej, jawnie rozwijającej się armii, która nie zna żadnych traktatowych ograniczeń). Można się dowiedzieć o Legionie Młodych, o jedynej partii, która coś znaczy — BB<sup>149</sup>; o tym, że zjazdy strzeleckie odbywają się pod hasłami: Każdy Polak winien zdobyć w 1933 roku odznakę strzelecką; Polskę obronimy karabinami, a nie rezolucjami uchwalonymi na wiecach; Każdy obywatel żołnierzem, każdy żołnierz — obywatelem. (Druga część aforyzmu jest trochę niezrozumiała, bo jakże może wykazywać cnoty obywatelskie człowiek pozbawiony inicjatywy i swobody). Dowiemy się o konieczności zdobycia przez możliwie największą liczbę obywateli Państwowej Odznaki

<sup>148</sup>Wilhelm II Hohenzollern (1859–1941) — cesarz Niemiec w latach 1888–1918, po wybuchu rewolucji w 1918 r. uciekł do Holandii. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>BB — tak w skrócie nazywano Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. [przypis edytorski]

Sportowej; o tym, że ćwiczenia wojskowe mają być obowiązkowe na wyższych uczelniach, jak już obowiązują w szkołach średnich; o tym, że dziecko powinno być wychowane jako posłuszne narzędzie, a jego indywidualność ma się całkowicie poddać duchowi państwa. Przepraszam. Powtarzam się trochę, ale zwracam uwagę czytelnika, że tym razem mowa jest o Polsce czy też o przyszłej Europie.

Powracam jeszcze na chwilę do prasy endeckiej. Znajduję tam pewne analogie z duchem prasy sanacyjnej, obok — przyznajmy — zasadniczych rozbieżności. Wspólną więc cechą jest bezwzględność i tolerowanie brutalności, a elementami dopełniającymi obraz dzisiejszych Niemiec — demagogia i antysemityzm, uprawiany zresztą w Polsce przez osoby, które w Niemczech dawno padłyby ofiarą paragrafów aryjskich.

W trakcie czytania tych gazet można usłyszeć, jak przejeżdżający szwadron ułanów śpiewa ochoczo nieprawdopodobną, wprost sadystyczną piosenkę:

Jak to na wojence ładnie,  
Kiedy z konia ułan spadnie,  
Koledzy go nie żałują,  
Jeszcze końmi go stratują.

Prawdą jest, że w Niemczech odbywają się obchody na cześć zabójców Rathenaua<sup>150</sup>, ale podobnej piosenki nie ma, jak też nie jest używana zdrobniała forma słowa „wojna”. Dotyczy to zresztą sześciu znanych mi języków europejskich. Nie twierdzę, że w Polsce kwitnie duch agresji, bo przeczyłbym swoim najgłębszym przekonaniom, ale od kraju, który podniósł i wykombinował hasło rozbrojenia moralnego, wolno i należy wymagać, aby frazesy na eksport słyszane były, choćby tylko jako frazesy, także i wewnątrz kraju. To chyba nie są przesadne wymagania.

Ale poza tym wszystkim, tak w prasie endeckiej, jak sanacyjnej, tak w Polsce, jak w Niemczech, we Włoszech i w Rosji, ta sama, jedyna myśl przewodnia o celowości, z jaką należy używać społeczeństwa, i ta sama beznadziejność, jaka przypada w udziale jednostce. Przychodzi wciąż na myśl *Życie termitów* Maeterlincka. Jest to jeden z najbardziej ponurych i wstrząsających reportaży o społeczności działającej sprawnie i celowo. Wszystko dla podtrzymania rodzaju, nic dla pocieszenia i nagrodzenia jednostki. Straszna, doprawdy, wizja tego, co nas czeka. W ten obraz przyszłości instynkt świata stara się wmalować jakiś promień szczęścia. We Włoszech jest ciepło i słonecznie, więc termitom tamtejszym zupełnie źle być nie może. Kościoły, coraz bardziej wkraczające w życie jednostki, obiecują szczęście po śmierci. Rosja zapewnia szczęście naszym prawnikom, co mało pociesza ludzi pozbawionych instynktów dynastycznych.

Niemcy są najuczciwsze: nie obiecują one szczęścia, tylko ogromny szmat ziemi rządzonej przez Niemców i ciągnącej się od skolonizowanej Syberii po Nancy i Gandawę i od nordyckiego kręgu polarnego po Sycylię Barbarossy. To kolosalne państwo, oczyszczone z wszelkiego indywidualizmu, będzie grząskie od krwi swych synów i krwi wroga, ale odrębne od reszty świata i od reszty świata odosobnione.

<sup>150</sup>Rathenau, Walther (1867–1922) — polityk niemiecki, w 1922 r. jako minister spraw zagranicznych podpisał z Rosją Sowiecką traktat w Rapallo. Zamordowany na berlińskiej Königsallee przez członków skrajnie prawicowego paramilitarnego związku Organisation Consul. [przypis edytorski]

# NIEMCY HITLEROWSKIE PO ROKU

Od specjalnego wysłannika „Wiadomości Literackich”

## STOLICA I BEZROBOCIE

Pojechałem do Niemiec po całorocznej nieobecności. Chciałem sprawdzić na własne oczy, jakie zmiany tam zaszły. I nie tylko tam, ale także i we mnie. Chciałem sprawdzić, czy moje sumienie, moje poczucie zła i dobra — nie stępsiały. Przecież po fali snobizmu na temat Sowietów, przebaczącego temu ustrojowi wszystkie jego niepotrzebne okrucieństwa, wyczuwa się dziś wyraźnie nadchodzący wielki snobizm prohitlerowski. Zaczyna on zresztą panować i wśród Żydów, tak samo jak życzliwość dla endeków czy nieodzowna wzmianka o Golgocie w poezji każdej białostockiej grafomanki.

Drugi ten pobyt w Niemczech hitlerowskich (świadomie unikam określenia „Hitleria”, gdyż daje ono zgoła fałszywe wrażenie, jakoby sam Hitler rządził krajem) dowiódł mi, że zmiany na obydwu niewspółmiernych sobie, ale ważnych dla mnie odcinkach — naprawdę zaszły. Ponieważ typowe objawy rewolucji zakopały się głęboko pod powierzchnię wielkomięjskiego życia, tak że nawet zryta przewrotem ziemia zaczęła porastać trawką normalności — więc moja czujność na sprawiedliwość i cierpienie, na absurd i obcość, stała się roztargniona, lekkomyślna, obojętna.

Dla człowieka w danym kierunku nieusposobionego i obdarzonego czy ukaranego temperamentem entuzjasty — jakże nużącym zajęciem jest szukanie dziury w całym, zwłaszcza, gdy to całe czaruje nas i olśniewa, gdy tkanina społeczna i państwowa wydaje się dla oczu laika bez defektu, gdy jej ufarbowanie na kolor brązowy wypadło, zdawałoby się, wprost znakomicie. Nigdy też badanie jakiejś kwestii czy nastrojów nie przyszło mi z taką trudnością. Przyjechałem do Berlina podszyty jakąś niezwykłą lekkomyślnością, jakimś czysto zmysłowym nastawieniem. Obserwowałem i upajałem się powierzchowną stroną zdarzeń i obrazów, a nie chciało mi się wnikać w ich głęboki sens. Byłem przepojony zabójczą dla badacza życzliwością a priori. Cieszyłem się, że dane mi jest wejść znowu w kontakt z Zachodem, inaczej jak via księgarnia. Berlin pozostaje bowiem nadal najbardziej wschodnią stolicą Zachodu. Słowem, przyjechałem do Niemiec w stanie określonym bliżej słowami „cielący zachwyt”, trochę pijany wiosną. A tymczasem warunki zewnętrzne bynajmniej nie sprzyjały otrzeźwieniu. *Tiergarten*, ten las dębowy przetykany kępami rododendronów, pachniał, jak nie pachnie żaden las, odkąd przed siedemnastu laty wyjechałem z Podola. Każdy przejazd taksówką przez tę centralę świeżego powietrza to był powrót do najczarowniejszego, najzmysłowszego dzieciństwa. Każde spotkanie z młodymi ludźmi — arystokratami, Żydami, hitlerowcami czy bezrobotnymi — budziło żal, że się własnych młodych lat nie wyzyskało w takiej pełni, w jakiej oni potrafili je wyzyskać. Traciłem na chwilę zmysł humoru i myślałem; a nuż *lachendes Leben*<sup>151</sup> miało rację. Każdy wieczór spędzony w podmiejskich willach moich znajomych, gdzie sąsiedzi odwiedzają się motorówkami, choć milionerami nie są; gdzie wszyscy w strojach kąpielowych pędzą przez trawnik wprost z wody do kuchni, aby tam obierać kartofle na improwizowaną, ale jakże świetną kolację, przy której króluje na środku stołu, jak tego wymaga w tym sezonie tradycja, *Kalte Ente* (nie jest to zimna kaczka, ale kruszon z wina mozełskiego i niemieckiego szampana) — potwierdzał wniosek: ci ludzie potrafią żyć. Sceptyk Słonimskiego szeptał: „Są bogatsi, wysoka stopa życia przyzwyczaiła ich do tego wszystkiego i nie cieszą się tym”<sup>152</sup>. Ale wystarczyło mi popatrzeć, jak berlińska biedota wyrusza rowerami lub zgoła pieszo na zieloną trawkę w niedzielę rano, zobaczyć ich do głębi pogodnie, a nie bydlęce twarze — aby przekonać się, że Bóg obdarzył Niemca geniuszem szczęścia indywidualnego, a ukarał go niezdrowym dążeniem do organizowania zbiorowości. Nie jest to żaden paradoks. Piękny dorobek kulturalnych Niemiec pochodzi z epoki ich „rozproszkowania” na dziesiątki odrębnych państweczek. Zwiedzałem znowu, po raz nie wiem który, w muzeum berlińskim dział rzeźby gotyckiej, a także późniejszej,

<sup>151</sup>*lachendes Leben* (niem.) — dosł. śmiejące się życie; życie pełne śmiechu. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*sceptyk Słonimskiego* — jak zauważył Tomasz Szarota, Sobański cytuje tu komedię Antoniego Słonimskiego *Rodzina*, której premiera odbyła się w Warszawie w 1933 r. Tekst był opublikowany w „Wiadomościach Literackich” (1934, nr 13). [przypis edytorski]

ale zawsze anonimowej. Jest genialna, a widać, że nie urodziła się na chwałę *des totalen Staats*, lecz tylko dlatego, że nieznanymi rzeźbiarz lubił rzeźbić, że był pobożny i zdolny, że chciał ozdobić swój kościół lub przysporzyć sławy swojej mieścinie. Znam dobrze Polaków, Rosjan, Skandynawów, Francuzów, Włochów, Anglików i Amerykanów, ale nikt wśród nich nie wycisnie z niedzieli w maju tyle duchowych witamin co Niemcy. A na zakończenie tego wstępu, ażeby znaleźć się uczciwie wobec czytelnika, powiem to, co powinno być ostateczną konkluzją zamykającą moje artykuły: wróciłem z Niemiec równie nienawrócony do narodowego socjalizmu, jak zupełnie pod urokiem Niemców; tych, których znałem dawniej, których poznałem teraz, jak również tych trzecich, których nie dane mi było poznać, ale których prostą życzliwość odczułem tak ciepło, mijając ich na ulicy.

Niemiecki celnik budzi mnie w nocy nagłym okrzykiem *Heil Hitler!* Tak dalece jestem na to nieprzygotowany, że oglądam się mimo woli, gdyż mignęło mi przez zasnąłą myśl, że Hitler znajduje się może w przedziale, tylko go dotąd nie zauważyłem. Jest w tym pozdrowieniu, które rok temu jeszcze nie istniało, coś tak nieskierowanego do witanej osoby, że trudno się do tej formy towarzyskiej, raczej narodowej, przyzwyczaić. W sklepie czy na stacji benzynowej biedny cudzoziemiec jest nagle zmuszony do konieczności wyboru pomiędzy tchórzostwem, które chętnie chrzci mianem kurtuazji, a uzewnętrznieniem swej odrębności narodowościowej, politycznej, ideologicznej lub po prostu swego konserwatyźmu „powitalnego”. Zabłądziwszy do gospodarczych suterren hotelu Bristol, ujrzałem porozklejane na ścianach kotłowni centralnego ogrzewania, lodowni, pralni itp. plakaty z napisem: *Hier wird nur deutsch gegnisst*<sup>153</sup> — *Heil Hitler!* Zresztą w takiej świątyni kosmopolityzmu, jaką jest każdy wielki hotel berliński, te objawy ducha narodowego muszą się chować po piwnicach, niczym po katakumbach: powyżej powierzchni chodnika nie ujrzysz ich nigdzie. Tylko raz słyszałem w jednym z wytwornych barów dyskusję, podczas której elegancka pani oznajmiła, że nigdy nie mówi *Heil Hitler!*, ale samo *Heil!*, gdyż uważa pełną formę pozdrowienia za wzywanie „imienia Führera swego nadaremno”.

Po pierwszych chwilach spędzonych na ulicy zaraz widać, jak dalece liczba mundurów zmalała, a flagi wiszą tylko tam, gdzie naprawdę coś oznaczają. W zeszłym roku były one po prostu objawem lojalności mieszkańców danego domu lub właścicieli przedsiębiorstwa. Ci z moich znajomych, którzy rok temu stale paradowali w brązowej koszuli lub w czarnym wykwiecie esesmanów — dziś nakładają mundur jedynie w czasie służby. Oczywiście do zmniejszenia liczby osób mundurowych przyczyniło się zlikwidowanie niemieckonarodowych oraz *Stahlhelmu*. Członkowie *Stahlhelmu*, choć wcieleni do SA, wolą dziś chodzić po cywilnemu.

Sklepy świetne, pełne pięknego towaru, choć przedmiotów wielkiego zbytku poza samochodami nie widać. Ruch w tych sklepach jest także znacznie bardziej ożywiony niż rok temu.

Cudzoziemców jest też więcej, choć zapewne mniej niż procent normalnego ruchu sprzed dwóch lat. Mała liczba gości zagranicznych sprawia, że Berlin robi wrażenie trochę oddalonego od reszty świata. W rozmowach ze znajomymi uderza, jak wiele faktów, o których wie w Polsce przeciętny czytelnik gazet, jest im zupełnie nieznanymi: zainteresowanie sprawami wewnętrznymi zbyt wszystkich pochłania.

\*

Jest jeden kontakt z Zachodem, który nie został zerwany, a mianowicie kontakt z modą paryską. Kobiety dalej ubierają się świetnie, używają szminek, chodzą z wykarminowanymi ustami i paznokciami. Jeżeli się utleniają — to nie z powodów nordyckich. Słowem, moda narodowa zarówno w Berlinie, jak i we wszystkich innych większych ośrodkach miejskich nie chwyciła. Kobiety palą, obnażają się, gdzie i jak tylko mogą. Zwyciężyły Urząd Mody Narodowej, o którym jakoś głucho. Podobno czasem na prowincji, gdzie miejscowe damy zawsze hołdowały modzie pokrowcowej, kobieta zbyt wyfloczona może spotkać się z wymówką uzasadnioną hasłami partyjnymi sprzed roku — ale to wszystko.

<sup>153</sup>*Hier wird nur deutsch gegnisst* (niem.) — Tu pozdrawia się tylko po niemiecku. [przypis edytorski]

Ceny na ogół trwają na tym samym poziomie i dalej istnieje ogromna rozpiętość pomiędzy maksymalnym budżetem przeciętnego berlińczyka a minimalnymi wydatkami przyjeźdźcy. W Berlinie trudniej jest „urządzić się” tanio, kiedy się nie jest odpowiednio wprowadzonym, niż w jakiegokolwiek innej stolicy Europy. Wygląd ulicy stał się znacznie normalniejszy. Kawiarnie pełne, przechodniów mnóstwo. Ruch kołowy wzmożony i w dodatku zasilony wielką liczbą wspaniałych aut. Wyraźnie i w sklepach, i na ulicy daje się wyczuć, że w obrocie jest więcej gotówki. W niektórych z tych pięknych, nowych, luksusowych samochodów siedzą Żydzi. Jak się to wszystko tłumaczy? Otóż rok temu i Żyd, i junkier, i przemysłowiec, i kupiec — nie wiedzieli, jaki obrót wezmą sprawy. Dziś ustabilizowanie, co tu gadać, jest znacznie bardziej zasadnicze. Pomimo że położenie gospodarcze jest nadzwyczaj ciężkie, a ingerencja państwa w sprawy ekonomiczne jednostek przemożna — przeciętny Niemiec może sobie dziś stworzyć mniej więcej rozsądny preliminarz budżetowy; zwłaszcza dla rentierów jest to możliwe, a zdumienie bierze, ilu pomimo katastrof i inflacji pozostało jeszcze tych rentierów.

Gwarna ulica Berlina pozostaje gwarną do późnej nocy. Znowu można zaobserwować czysto berliński fenomen: skromna piwiarenka, w której szoferzy taksówek i inni maluczcy tego świata grają w szachy lub bilard, jest otwarta i rozbrzmiewa wesołymi rozmowami do trzeciej rano, i to nie tylko w soboty. Cóż dopiero mówić o prawdziwych „nocnych lokalach”. Rok temu o pierwszej nie było już w nich żywej duszy — dziś o trzeciej, kiedy zapada „szpera”<sup>154</sup>, trzeba z naciskiem wypraszać gości. Lista tych lokali także znacznie się wydłużyła i dalej wydłuża. Widać, że zanim minie jeszcze rok, Berlin pod względem życia nocnego powróci w dużej mierze do swej „weimarskiej formy”. Fala purytanizmu stanowczo załamała się i jedynym jej objawem zewnętrznym jest mała liczba prostytutek. Podobno wiele z nich znajduje się w obozach pracy.

Świat cyganerii posiada znowu kilka doskonałych knajp. Są one przeważnie prowadzone przez Żydów, którzy zniechęceni warunkami panującymi przed rokiem pojechali spróbować szczęścia w Paryżu, ale wkrótce zatęsknili za Berlinem i teraz organizują dla berlińczyków świetne nastroje za skromną cenę *ein kleines helles*<sup>155</sup> lub *ein Mocca*. W lokalach tych spotkać można różne ważne figury rządowe w mundurach i po cywilnemu. Wejście ich nie stwarza zeszłorocznego popłochu. Witają się serdecznie z niearyjskim gospodarzem, nie psioczą na muzykę jazzową, nie żądają grania marszów. Natomiast sam pianista o wybitnie krogulczych rysach, zupełnie spontanicznie, po zanuceniu ostatniego nowojorskiego szlagieru nagle zaśpiewa: *Ich hab' mein Herz in Heidelberg verloren*<sup>156</sup>.

Ten i jemu podobne motywy krajowe, i to nie tylko w muzyce, zyskały sobie ogólnie prawo obywatelstwa. Dawniej taka pieśń w nocnym lokalu berlińskim byłaby wyśmiana. Snobizm na produkcję zagraniczną był wszechwładny i bardziej niż gdziekolwiek rozpansoszony. Dzisiaj pianista-Żyd nie śpiewa o Heidelbergu z wyrachowania, przeciwnie — ze szczerego sentymentu. Czar doliny Neckaru przemawia doń z tyłu plakatów i publikacji, propaganda piękna i uroku krajów niemieckich jest prowadzona tak energicznie, że choć może nie uda jej się udowodnić, iż piękno Nadrenii lub Würzburga jest zasługą Hitlera czy partii — ale świadomość istnienia tych wielkich zapasów piękna wsiąka optymizmem w podświadomość wszystkich bez wyjątku.

Takie więc naskórkowe wrażenie robi Berlin w drugim roku Trzeciej Rzeszy. Lecz nierównie ważniejsze od „wzorków i obrazków” są nastroje, tak zawsze trudne do zbadania tam, gdzie panuje dyktatura, a w obecnych Niemczech bardziej niż gdzie indziej. Każdy boi się własnego głosu, własnej indywidualnej myśli. Chyba tylko w Rosji Sowieckiej jest pod tym względem jeszcze smutniej. Istnieje jeden pewnik: rząd narodowosocjalistyczny posiada całkowite poparcie mas, i to w pełniejszym stopniu niż rok temu. O inteligencji będziemy mówili potem. Ale masa narodu, tak strasznie chora na raka bezrobocia, widzi przed sobą nadzieję i wierzy w możliwość wyzdrowienia. Najsceptyczniejsi, a raczej najbardziej niechętni czy też partyjni w przeciwnym kierunku zaangażowani — przyznają, że bezrobocie zmalało o połowę. Mój znajomy Kurt, o którym pisałem w ubiegłym roku, dalej jest pełen kostycznych opowieści, ale w rozmowę często wplątuje takie zdania:

<sup>154</sup>*szpera* — zapewne: godzina policyjna, od niem. *die Sperrstunde*. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*ein kleines helles* (niem.) — małe jasne (piwo). [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*Ich hab' mein Herz in Heidelberg verloren* (niem.) — Straciłem serce w Heidelbergu. [przypis edytorski]



„Cóż chcesz, możemy dużo pyskować, ale kiedy tych sześćdziesiąt tysięcy bezrobotnych SA, które liczy Berlin, dostanie pracę (bo oni mają pierwszeństwo), to może i na mnie przyjdzie kolej”.

Jak jest naprawdę ze zmniejszeniem bezrobocia? Angielski dziennikarz przestrzega mnie przed braniem na serio statystyk. Jak powiada, nie było jeszcze rządu na świecie, który tyle, zawsze i czasem zupełnie bez potrzeby kłamał. Zupełna i systematyczna pogarda dla prawdy jest wielkim ułatwieniem w rządzeniu krajem. Ale słowa Anglika też trzeba brać *cum grano salis*<sup>157</sup>.

Anglosascy dziennikarze, którzy przez lat piętnaście byli niestrudżonymi bojownikami o prawa Niemiec, przedzierzgnęli się w najzawziętszych wrogów Trzeciej Rzeszy. Hitleryzm nigdzie nie wywołuje tak po prostu fizycznej reakcji wstrętu, jak w Anglii i Stanach Zjednoczonych. W Berlinie można spotkać Francuza lub Polaka, którzy będą tłumaczyli albo usprawiedliwiali jakieś poczynania narodowych socjalistów. Ale Anglik nie dyskutuje: w czambuł potępia wszystko i od wszystkiego odwraca się z pogardą. Występuje tu bardzo jaskrawo rozbieżność temperamentów tych dwóch nordyckich pobratymców. Brak zmysłu humoru hitlerowskich Niemiec doprowadza wyspiarzy i jankesów do szału. Dowodem tego były incydenty na niedawnym międzynarodowym zjeździe studentów w Berlinie, na którym młodzież angielska, dziś w większości radykalna i lewicowa, zachowywała się wprost prowokacyjnie, wysmiewając głośno wszystkie „nadbudowy hitlerystyczne”. Ostentacyjnie nie wstawiała, nie salutowała, piła piwo byle jak — słowem — sprzeciwiała się skoszarowaniu towarzyskiemu, choćby na krótki czas zjazdu.

Powróćmy do bezrobocia. Statystyki statystykami, ale zmniejszenie liczby bezrobotnych jest rzeczywiście bardzo znaczne. Wystarczy udać się do dzielnic, w których ci nieszczęśliwcy byli skoncentrowani i przekonać się osobiście, że i tam istnieją dziś kobiety, które znowu chodzą co rano na targ. Jak osiągnięto to wzmożone zatrudnienie? Tak, niestety, łamanymi sztukami. Można dziś w Niemczech stwierdzić, że etatyzm posiada swoje dobre strony, chodzi tylko o to, ażeby to, co zadziała, dawało rękojmię trwałości. Zmuszanie gospodarza wiejskiego do przyjęcia jednego lub dwóch „nadetatowych” parobków, i to w dodatku może jeszcze mieszcuchów, wydaje się sposobem wysoce sztucznym i niewróżącym nic dobrego dla harmonijnego prowadzenia gospodarstwa, chociaż obmyślono wiele skomplikowanych oraz życzliwie pomyślanych sposobów, aby osłodzić tę pigułkę. Roboty publiczne, jak drogi, koleje, kanały, regulowanie rzek, osuszanie bagien i lagun nadmorskich, budowa osiedli robotniczych — wszystko to przy pomocy bezrobotnych przyjmowanych z wolnego najmu lub też z obozów „dobrowolnej” pracy — jest niezaprzeczalnie wysoce pożyteczne dla kraju i skuteczne w zwalczaniu głodu pracy. Ale po pierwsze, jest to stwarzanie obiektów nierentownych, nieprodukcyjnych i których *à la longue*<sup>158</sup> stwarzać nie można, gdyż łatwo obliczyć czas, w którym nastąpi nasycenie; po drugie, na to wszystko potrzebne są pieniądze. Niemieccy optymiści twierdzą, że na samą budowę „koniecznych” szos potrzeba przynajmniej dziesięciu lat przy dzisiejszym, czyli maksymalnym, tempie pracy. To obliczenie wygląda rzeczywiście bardzo optymistycznie, zwłaszcza dla cudzoziemca ze Wschodu, dla którego niemieckie „konieczne” wydaje się jak niezbędność piątego diademu jakiejś ekscentrycznej Mrs. Nash.

Finansowanie tych robót jest już dziś sprawą z punktu widzenia skarbowego niedorzeczną. Zadłużanie się na cztery budżety naprzód, wypisywanie kwitów: jestem winien budżetowi na lata 1937–1938 tyle a tyle, a potem dyskontowanie tych kwitów w Reichsbanku — to wszystko są operacje tak dalece groźne, że każdy laik na polu gospodarczym łatwo to chyba zrozumie. Znajomy mój Amerykanin, któremu o tych oczywistych niebezpieczeństwach mówiłem, zatrzymał mój potok argumentacji: „Ty się o Niemców nie kłopotcz. Odszkodowań nie płacą i nie zapłacą. Długów państwowych nie płacą i nie zapłacą: ani kapitału, ani odsetek. Podobnie rzecz się ma z wiarygodnościami prywatnymi. Zobaczysz, że konferencja transferowa przyniesie korzyści jedynie Niemcom. Wojny o pieniądze nikt z nimi prowadzić nie będzie. Nasz rząd w Waszyngtonie posierdzi się, zakaże ostro prywatnym finansistom zadawania się z Niemcami, a nie miną dwa lata, jak bankierzy nowojorscy będą płaśczyli się i błagali Niemców, aby zechcieli przyjąć

<sup>157</sup> *cum grano salis* (łac.) — z ziarenkiem soli (ostrożnie). [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *à la longue* (fr.) — na długo, w dłuższej perspektywie. [przypis edytorski]

pożyczkę. Może pożyczki te będą umieszczane rozważnie, w indywidualnych, zdrowych przedsiębiorstwach pod dostateczne zabezpieczenia, ale tak czy inaczej Niemcy pieniądze mieć będą”. Nie podzielam całkowicie zdania mego przyjaciela, ale podaję je jako ciekawe i znamienne dla nastrojów.

Co przyniesie daleka przyszłość (daleka — w czasach, w których się żyje z dnia na dzień), tym sobie stary człowiek z ulicy nie zaprzęta głowy. On wie tylko, że jest lepiej i że mówią mu, krzyczą, piszą, malują, wyświetlają — że będzie jeszcze lepiej.

Głównym urokiem Berlina jest dziś codzienna konstatacja, że o tyle rzadziej widzi się twarz młodą a zupełnie zropaczoną, czy jak dawniej czasem bywało, nawet złą z rozpacz. Uśmiechu jest więcej. Wielkie to bogactwo. Tylko zachodzi pytanie zasadnicze: czy rok albo dwa lata uśmiechów i nadziei, lub też nawet chwilowego zawieszenia broni w walce z zimnem, głodem i nudą, są zdobyczami pozytywnymi, jeżeli po tej przerwie ma nastąpić powrót do kryzysowego status quo. Czy będzie to „odsapka” dla skołatanych nerwów, czy też tylko odskocznia w głębszą, czarniejszą rozpacz? Pytania takie i im podobne nie dają mi spokoju podczas całego mego pobytu w Berlinie. Boję się prawie poruszać ten temat w rozmowie z Niemcami. Niech się cieszą dopóty, dopóki to trwa. Nie chcę siał zwątpienia, bo tu chodzi o rzeczy złe i straszne. Mam ciągle wrażenie, że obracam się dookoła czegoś bardzo pięknego, ale bardzo kruchego, że nie można oddać się całkowicie zachwytowi: wszystko psuje myśl — czy to nie efemeryda? Żal ściska za gardło na myśl, że ci wszyscy zdrowi, pracowici ludzie zapatrzeni są w krótkotrwały miraż.

Jeszcze jedna refleksja. Jakiż wdzięczny materiał ludzki ci Niemcy. Dają im głodową pensję, tylko szczupłą nadzieję na pracę — a oni już sami wydobędą z siebie zdumiewająco wielką dawkę pogody i szczęścia.

Prawie przypadkiem napisało mi się słowo „głodowe pensje”. Otóż tak: na robotach publicznych czy w obozach pracy — wszędzie wynagrodzenia są dosłownie głodowe, minimalne. W obozach ludzie są przynajmniej wyżywieni, odziani i nie potrzebują troszczyć się o dach nad głową, choć skądinąd leży już w naturze ludzkiej chęć rozporządzania własnym zarobkiem; zarobek ten, otrzymywany na rękę, to sumy groszowe. Ale „wolnym najmitom” — praca rzeczywiście nie przyniosła dobrobytu. Z ust moich informatorów padały takie cyfry, jak pięćdziesiąt pięć marek miesięcznie łącznie z dodatkiem mieszkaniowym, co na niemieckie stosunki nie jest o wiele więcej niż pięćdziesiąt pięć złotych w Polsce. Powiedzmy, że to jest może najniższa kategoria płacy, choć wiem dobrze, że zróżnicowanie wynagrodzeń jest minimalne i że zasady demokratyczne są ściśle przestrzegane: jest rzeczą pewną, że kwestia płacy zbyt świetnie się nie przedstawia. Czy ten niski poziom zarobków wywoła rozgoryczenie? Objawów tego jeszcze nie widać, a gdyby istniały, nie byłoby łatwo przekonać się o nich. Przecież prasy bezstronnie informującej nie ma, związków zawodowych też, więc tylko jakieś ogromne, masowe strajki i rozruchy oznajmiłyby światu, że wrzenie istnieje.

Nikt w Niemczech nie boi się jakiegś gwałtownej reakcji czy protestów ze strony lichy wynagradzanych robotników przy obecnym ustroju policyjnym, gdzie co dwudziesty piąty członek *Arbeitsfrontu*, czyli robotnik, powinien być konfidentem urzędu bezpieczeństwa — masowe ruchy były nader utrudnione. Ale istnieje uzasadniona obawa całkowitego upadku na duchu wśród rzesz robotniczych, jakiegś zbiorowej depresji psychicznej, z biegiem czasu zaraźliwej i dla sfer rządzących, i nic dobrego niewróżącej krajowi. Łatwo sobie wyobrazić podświadomy proces myślowy takiego świeżo pracującego robotnika. Nie pracował, gdyż na skutek wojny był kryzys, a on był ofiarą tego kryzysu, czyli poniekąd ofiarą wojny, bohaterem; podkreślano wciąż, że z taką godnością i spokojem znosi swą nędzę. Był jednak zawsze świadom tego, że jest depozytariuszem tego wielkiego waloru, jakim jest jego zdolność do pracy. Teraz tę zdolność zużytkowano i okazało się, że ten wielki skarb wart jest dla narodu pięćdziesiąt pięć marek miesięcznie — nawet nie dosyć, aby w najskromniejszych warunkach utrzymać pojedynczego człowieka. Jest więc, jak się okazuje, zwierzęciem pociągowym, którego w obozach karmią i doglądają, ale zwierzęciem widocznie nie bardzo potrzebnym, skoro tak mało cenionym.

Oto blaski i cienie problemu bezrobocia w Trzeciej Rzeszy.

„Wiadomości Literackie” 1934, nr 25 (552).

## CZY ISTNIEJE OPOZYCJA?

Przy badaniu fenomenu, jakim jest ustrój narodowosocjalistyczny, nasuwa się wciąż pytanie: jaka jest opozycja i gdzie należy jej szukać? Przychodzi się jednak do wniosku, że tymczasem właściwie czynnej opozycji nie ma, a odnaleźć zarodki i niedobitki to sprawa niebezpieczna i niełatwa. Normalnie szuka się głosów opozycji w prasie, a właśnie o prasie niemieckiej można ze stuprocentową pewnością zaręczyć, że z opozycją nie ma nic wspólnego. Rok temu można było jeszcze wyczytać coś między wierszami w niektórych dziennikach, o tyle teraz jest rzeczą zupełnie obojętną, jakie pismo weźmiemy do ręki. Dowodem, do jakiego stopnia rewolucja narodowa w zupełności i zwycięsko zawładnęła krajem, jest fakt, że przestano operować słowem bardzo modnym i brzemienym w znaczenie, jakim było *Gleichschaltung*. Za ostatniej mojej bytności nie słyszałem tego słowa ani razu, nie widziałem go też w druku. Może to przypadek, ale bardzo znamieny. Wszystko zostało *gleichschaltet*<sup>159</sup>, więc i prasa. Kłamliwa jest, nudna niepomernie, bezbarwna i bez temperamentu, nie mówiąc już o jakimkolwiek zacięciu publicystycznym czy politycznym.

I z kim tu polemizować, kiedy wszyscy jednakowo piszą i oficjalnie jednakowo myślą. Nie wiem doprawdy, co się stało z dobrymi, ciętymi piórami dziennikarskimi Berlina. Zapewne brak swobody twórczej „oskubuje” dziennikarstwo i odbiera werwę, bo wiem skądinąd, że wszyscy Żydami nie byli i że niektórzy nie opuścili swych redakcyjnych biur. Nuda jednostajności tonu, poglądu, zainteresowań i tematu wywołała też pewną martwość stylu. Używa się bezwstydnie wszystkich gotowych i wyświechtanych banałów oraz „numerków” dziennikarskich. Czasem jakiś artykuł wydaje się wprost parodią, a przy tym często spotyka się próbki godne *Wiązania grzecznej Helenki*<sup>160</sup> pani z Tańskich Hoffmanowej. Gdyby ci ludzie pisali po polsku, od zwrotów takich jak „nasi milusińscy” roiloby się na szpaltach pism.

Goebbels jako minister propagandy w styczniu bieżącego roku wydał orędzie zachęcające do nadania pismom indywidualnego oblicza oraz do konstruktywnej krytyki reżimu. Zaznaczył przy tym, że uniżoność i wiernopoddanie prasy nieznośnie nuży. Powołując się na powyższe oświadczenie pana ministra, redaktor najbardziej prawomyślny i bardzo popularnej wśród rolników „Grüne Post” napisał artykuł, w którym nadzwyczaj dyskretnie krytykuje stosunki panujące w prasie pod rządami Goebbelsa. Za to odezwanie się „Grüne Post” zostaje zawieszona na trzy miesiące. Za nieszczęśliwie umieszczony znak zapytania, który cenzura uznała za wyraz sceptycyzmu, jedno z wielkich pism kolońskich zostało tak samo ukarane. Sporadyczne konfiskaty są zresztą na porządku dziennym, a pamiętać należy, że wszystkie pisma są przecież prorządowe. Ale komentowanie nowej religii, jaką jest narodowy socjalizm, religii o nieskrystalizowanych dogmatach liturgii, nie jest rzeczą prostą.

O herezję nadzwyczaj łatwo, zwłaszcza że to, co było ortodoksyjne wczoraj, może już dziś trącić odszczepieństwem. Incydent z „Grüne Post” wywołał w parę dni później nowy dekret Goebbelsa na temat, powiedzmy, wolności prasy. Jest to moment hipokryzji, mydlenia oczu i mętności. Znowu spotykamy się z zachętą do krytyki konstruktywnej. Nie podano, niestety, bliższego określenia, co należy uważać za konstruktywne. Redaktor ma być osobiście odpowiedzialny za każde krytyczne odezwanie się w jego piśmie, a jedyną wskazówką w dekreście jest wyraźne zaznaczenie, że prawo krytyki jest wyłącznym przywilejem narodowych socjalistów i tylko tych, którzy od początku istnienia partii brali czynny udział w walce o władzę.

Oczywiście nikt nie wierzy, że tego rodzaju dekret „rozwiąże pióra” dziennikarzom niemieckim. Dalej będą przemilczali, przeinaczali i beczelnie kłamali, jak i kiedy im każą. Będą nadal poświęcali pół pisma jednemu tematowi, jeżeli rząd tego zapragnie. Takim tematem jest od czasu do czasu Austria, która w okresach napiętych stosunków zajmuje nieproporcjonalnie wiele szpalt, choć agresywność tonu jest obecnie poniekąd trzymana na uwęzi. Rozbawił mnie jednak artykuł komentujący uchwalenie nowej kon-

<sup>159</sup>*gleichschaltet* (niem.) — ujednolicone. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*Wiązania grzecznej Helenki* — chodzi o książkę Klementyny Hoffmanowej z d. Tańskiej, *Wiązanie Helenki. Książeczka dla małych dzieci uczących się czytać, przez Autorkę „Pamiętki po dobrej matce”*, Warszawa 1823. [przypis edytorski]

stytucji austriackiej. Jak wiadomo, zaczyna się ona, jak polska konstytucja, „w imię Boga”. Wprowadza to w oburzenie „Der Tag”, który pyta się, jakim prawem powołują się w Wiedniu na Stwórcę, kiedy konstytucji nie proklamowali tam ani monarcha, ani rewolucja narodowa. Jak rok temu, tak teraz zdziwiła mnie łatwość i „prawność”, z jaką można nabyć każde prawie pismo zagraniczne. Uważam, że najlepszym źródłem wiadomości z Niemiec są „Basler Neueste Nachrichten”, znacznie bardziej interesujące się sprawami Rzeszy niż Szwajcarią. „Times” także przynosi codziennie jakąś przemilczaną w Berlinie sensację i w ogóle podaje w formie skoncentrowanej naprawdę wszystko, co o Niemczech wiedzieć należy. Oba te pisma są wyraźnie i ostro sceptyczne w stosunku do dzisiejszych Niemiec, choć, rzecz prosta, ton „Timesa” jest znacznie agresywniejszy. Pytam o powody tej tolerancji w udzielaniu debitu prasie zagranicznej, kiedy istnieje taka dbałość o „czystość” własnych periodyków. Odpowiedź brzmi: przeciętny Niemiec czyta „swojego kurierka”, a gdy zostanie on zawieszony, przerzuca się na inne miejscowe pismo o najbliższej „aurze”. Objasnienie to wydaje mi się z hitlerowskiego punktu widzenia nieco optymistyczne, gdyż jak tu wytłumaczyć, że prawie każdy kiosk czy kosz z gazetami we wszystkich dzielnicach miasta jest tak hojnie zaprowiantowany w pisma cudzoziemskie. Przecież właśnie w Berlinie cudzoziemców obecnie prawie nie ma. Prawdą jest znowu, że nie spotka się berlińczyka czytającego w miejscu publicznym takie obcokrajowe pismo, ale ktoś jednak kupuje te tony makulatury i widocznie pod płaszczem czy marynarką zabiera do domu. Wprawdzie gdyby zabroniono zagranicznej prasy — zostałyby jeszcze radio. Dopiero teraz dowiedziałem się, że na odbiornikach niemieckich rozgłoszenie sowieckie nie są wcale oznaczone. Słuchanie Moskwy, i to w dodatku podczas nadawania programu w języku niemieckim, jest karane więzieniem. Co daje pole do donosów!

Za to dodatki ilustrowane do dzienników czy też pisma ilustrowane w typie „Berliner Illustrier Zeitung” powróciły do przedhitlerowskiego poziomu, podając zdjęcia aktualne z całego świata, a nie jak przed rokiem wyłącznie z Niemiec. Poziom „magazynów”, jak świetnego ongiś *Querschnittu* i jemu podobnych, jest dalej oplakany w porównaniu z przeszłością, choć jeszcze znacznie przewyższa niderlandzką nizinność tego rodzaju wydawnictw w Polsce.

W jednym z takich ilustrowanych pism znalazłem reprodukcję serii karykatur sowieckich, demaskujących marny stan kolejnictwa w Rosji. Tekst niemiecki podkreśla tylko fakt, że rosyjskie „drogi żelazne” muszą rzeczywiście być na „wykończeniu”, skoro prasa sowiecka tak otwarcie przyznaje się do tego. Lecz mój myślowy komentarz był całkiem inny, a mianowicie, że w Trzeciej Rzeszy autokarykatury są rzeczą nie do pomyślenia.

W dziedzinie formy plastycznej, którą przybiera humor w Niemczech, odwrócono się całkowicie od genialnego Grosza<sup>161</sup> oraz od „ran społecznych”, wskrzeszono natomiast tradycję Buscha<sup>162</sup>. Mąż późno powracający do domu z obawą w sercu przed złością małżonki — oto kamerton dowcipu w prasie.

Zjawiał się oczywiście i przedwojenny sentymentalizm, który mnie osobiście bynajmniej zresztą nie drażnił. Po weimarskim okresie „zmysłu humoru” sentymentalizm powrócił na dawne stanowisko. Nie będę się nawet silił wytłumaczyć tego fenomenu, gdyż mądrzejsi ode mnie bezskutecznie łamią sobie nad nim głowę. Mniejsza o powody. Daj Boże zresztą tym sentymentalnym Niemcom wszystko najlepsze wraz z ich cukierkowym sentymentalizmem. Jest to ostatecznie cecha odrębności narodowej, która jak wszystkie jej podobne, daje barwności rodzinie narodów, a że z natury jej wypływa czy wypływać powinno łagodzenie charakterów, a nie zaognianie sytuacji — więc nie należy zbyt to wyśmiewać teutońskiej ckliwości.

Na zakończenie tych paru uwag o prasie warto zanotować ciekawe zjawisko. Otóż PAT<sup>163</sup> ma w Berlinie świetnie zorganizowane, sprawnie działające, przez fachowych, pracowitych i inteligentnych ludzi obsłużone biuro. Pracuje ono dzień i noc i dostar-

<sup>161</sup>Grosz, George (1893–1958) — grafik i karykaturzysta niemiecki; od 1933 r. na emigracji w Stanach Zjednoczonych; W Trzeciej Rzeszy jego prace zostały uznane za „sztukę zdegenerowaną”, znaczną ich część zniszczono. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>Busch, Wilhelm (1832–1908) — rysownik i poeta niemiecki, uważany za praojca komiksu; twórca postaci Maxa i Moritza. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>PAT — Polska Agencja Telegraficzna. [przypis edytorski]

cza centrali w Warszawie nadzwyczaj bogatego, dokładnego, wszechstronnego materiału. Podczas obydwu moich pobytów w Berlinie często miałem sposobność materiał ten przeglądać, ale próżno go potem szukałem w polskiej prasie. Doprawdy, jest to zdumiewające. Cóż ze spraw zagranicznych może być dla Polski bardziej zajmujące niż wiadomość o tym, co się dzieje u zachodniego sąsiada, z którym nie posiada ani geograficznej, ani gospodarczej granicy naturalnej, z którego doświadczeń może tak łatwo skorzystać, zważywszy, że ustroje nie są tak znowu diametralnie odrębne.

Dosyć o prasie. Widzimy, że jako źródło czy głośnik możliwej opozycji prasa po prostu nie istnieje. Czy gdzie indziej ukrywa się i czy warto jej szukać? Junkrzy, którzy choć po cichu, ale systematycznie są dalej gnębieni, okazują się całkiem nie tak butni, jak się przypuszczało. Siedzą w swych majątkach zubożali, rozgoryczeni, nadąsani, głównie jednak wystraszeni. Starzy liderzy socjalizmu milczą. Jest rzeczą charakterystyczną, że nie było wypadku, aby ktoś wypuszczony z więzienia lub obozu koncentracyjnego już nie tylko opisał (bo nie ma gdzie), ale nawet dobrym znajomym opowiedział o swych przeżyciach w *Schutzhaft*. Informacji tej udzielił mi pewien socjalista, którego dziesiątki znajomych „przesiedziało” od kilku dni do kilkunastu miesięcy. Z żadnego z nich nie zdołał wycisnąć czegoś, co by nie było oczywistym banałem. Zresztą pierścień terroru został tak hermetycznie zamknięty, tak idealnie spojony, że działa dziś bez potrzeby uciekania się do okrucieństw czy środków drastycznych. Wszyscy dobrze wiedzą, że za niewczesne żarty idzie się do obozu, choć już bez uprzedniej chłosty. Nie słychać też obecnie o nagłych zgonach lub samobójstwach w „zakładach zamkniętych”. Zdaje się, że metody sprzed roku stosowane są wyłącznie dla utrzymania karność wewnątrz partii. Przykład. Zanotowano stosowanie okrucieństw przez władze więzienne w Szczecinie. Urzędników więziennych aresztowano, a naczelnika osadzono w berlińskim *Moabit*<sup>164</sup>, gdzie — jak doniosła prasa — popełnił samobójstwo. Słowem, w porównaniu z rokiem zeszłym — idylla.

Działają jedynie komuniści. Wykazują prawdziwe bohaterstwo. Wydają nadal na powielaczu swoje misternie kolportowane pisemko, o którym rok temu pisałem. Pracują trójkami, tak że każdy pochwycony i zmuszony do wyznań może „wsypać” tylko dwóch swych współdziałaczy, gdyż nie zna innych. Lekką konsternację wśród władz bezpieczeństwa spowodował niedawno nad ranem wypisany czerwoną farbą przez całą szerokość jezdni na kilku najgłośniejszych arteriach miasta napis: *Kommunismus lebt noch!*<sup>165</sup>. Szorowanie ulic „odchodziło” potem z dziką energią. Rozważając wszystkie możliwości ewolucji lub też nowej rewolucji w Niemczech z przedstawicielami wszelkich poglądów i klas społecznych — wszędzie spotkałem się z kategorycznym zaprzeczeniem co do możliwości przewrotu komunistycznego. Przeciwnie, w razie dojścia do głosu elementów bardziej mieszczańskich, bardziej tolerancyjnych, o duchu bardziej weimarskim, zdziesiątkowana dziś partia komunistyczna musiałaby się jeszcze bardziej skurczyć, nie mając przed sobą tej czerwonej płachty (porównanie w tym wypadku niefortunne), jaką jest dla niej narodowy socjalizm.

Nie zgadza się jednak z tym ogólnym zdaniem stary Rosjanin, Wasilij, służący moich znajomych. Był on ordynansem jakiegoś rosyjskiego magnata, uciekł z nim przed piętnastu laty do Niemiec, mieszka z nim w jednym pokoju i zarabia na magnata i na siebie. Cudny to typ i *rara avis*<sup>166</sup> wśród na ogół nie tak znowu dodatnich typów starego reżimu. Otóż Wasilij twierdzi, że z zachowania się i tonu Hitler jest typowym Żydem, że cała robota podobna jest do tego, co się działo w 1917 roku w Rosji, tyle tylko, że tymczasem bogatych ludzi nie ruszają. Jest to wielki plus, zdaniem *dienszczika*<sup>167</sup>, który ma mocną wiarę w potrzebę i w pożyteczność społeczną wielkich fortun. Pytam go też, czy jego państwo, jedni z najbogatszych ludzi w Niemczech, dużo tej zimy przyjmowali. Odpowiada, że nie. Jesienią dali jeden wielki i wystawny obiad, ale kucharka opowiedziała o tym przyjęciu swemu krewnemu z SA i skutek był taki, że w kilka dni potem przyszli kwestarze z partii narodowosocjalistycznej i pomogli niedostateczność zaofiarowane-

<sup>164</sup>*Moabit* — tak nazywano więzienie, które mieściło się w berlińskiej dzielnicy Moabit. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*Kommunismus lebt noch* (niem.) — Komunizm jeszcze żyje. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*rara avis* (łac.) — dosł.: rzadki ptak, biały kruk; tu: rzadki okaz. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*dienszczik* (ros.) — ordynans. [przypis edytorski]

go w swoim czasie na cele partyjne datku w porównaniu z pieniędzmi, które kosztowało przyjęcie.

Opinii naszego muzyka o wielkich fortunach nie zdaje się dzielić rząd Hitlera, a będąc w wysokim stopniu demagogiczny (i tu przyjemnie raz jeszcze zauważyć kompletny brak demagogii w poczynaniach polskich rządów pomajowych), co się zresztą niczym nie tłumaczy u rządu obdarzonego tak absolutną władzą, podsyca różne apetyty mas mglistymi obietnicami, że ewentualnie wszystko musi należeć do „narodu”. Masa ta, widząc wzmożone zatrudnienie i skrzętnie słuchając wszelkich zapewnień, że właśnie jej należy się całe bogactwo kraju, stoi, oczywiście, mocno za rządem. Jest przy tym jeszcze mniej obdarzona zmysłem humoru niż inteligencja, więc próżno na twarzach gminu (czemu nie użyć tego słowa?) szukać tego uśmiechu czy wyrazu zblazowanego znudzenia, które czasem zdołałem spostrzec na twarzach inteligentów patrzących na nieustanny korowód „szop i hec” propagandowych i patriotycznych. Rzecz prosta, i wśród tych mas daje się słyszeć pewne narzekanie, choć jest ono nadzwyczaj dyskretne. Główna bolączka zresztą nie tylko niezamożnych, ale także w ogóle zarobkujących, to zupełnie u nas nieznaną wysokość świadczeń socjalnych, odcinanych od każdego wynagrodzenia. Są w tym ubezpieczenia kilku rodzajów, przymusowe składki na partię jako taką, na partyjny związek zawodowy itp. A z podatków istnieje już od jakiegoś czasu podatek od kawalerów, z którego dochody mają rzekomo służyć na stypendia dla nowych niezamożnych małżeństw. Istnieją pewne kategorie wynagrodzeń, które, zanim dojdą do rąk pracownika, maleją aż o trzydzieści procent swej nominalnej wysokości na liście płac.

Innym znów objawem braku idealnego entuzjazmu dla poczynania rządu są usiłowania wykręcania się od służby w obozach pracy. Objaw to charakterystyczny głównie dla drobnej inteligencji miejskiej. Nie potrafiłem wprawdzie zbadać dokładnie kwestii rekrutacji dla tych obozów, wiem jednak z całą pewnością, że służba ta jest jeszcze dobrowolna. O ile wiem, do obozu idą zasadniczo tylko bezrobotni, z wyjątkiem studentów wyższych uczelni, dla których służba pracy jest obowiązkowa. W tej sferze zresztą istnieje pewien ideologiczny zapal do tego obowiązku. Zasadniczo jednak zwyczajny bezrobotny mógł sobie nadal próżnować pomimo istnienia obozów. Ale ktoś dzisiaj nie jest „zrzeszony”, nie należy do jakiegoś *Verbandu*<sup>168</sup>, do jakiegoś *Kampfbundu*<sup>169</sup>? W stowarzyszeniach tych wiedzą, jacy członkowie nie mają stałego zajęcia i jeżeli uchylają się oni od służby pracy w swej organizacji, od której zawsze mają coś uzyskać. A zatem znajomy mój, rysownik z zawodu, ze średnio zamożnej rodziny mieszczańskiej, od dłuższego czasu bez zajęcia, należy, bo go to bawi i zajmuje, do oddziału lotniczego któregoś ze „Sturmów” berlińskich. Za nic nie chciał iść na pół roku na roboty rolne „na saksy”. Zagrożono mu jednak, że nie będzie mógł w „Sturmie” pozostać.

Kto powiedział, że bywają nudne ulice czy miasta? Nigdy nie zdołałem się o tym przekonać; przecież każda banalna twarz, każda mydlarnia, każda secesyjna kamienica posiadają życie, które chcę odgadnąć. I jak, i kiedy tu się nudzić? Idę więc spokojną mieszczańską ulicą — odpowiednik polskiej Wilczej czy Hożej, nagle w oddali kupa narodu, słyszę krzyki, gdy dochodzę do zbiegowiska, widzę, że po jednej stronie ulicy jest *Braunes Haus*, czyli koszary jednego ze *Sturmów*, a po drugiej włoska gelateria<sup>170</sup>. Staram się rozpytać, o co chodzi, ale bardzo nieśmiało, gdyż dzielnica ta nie przywykła do cudzoziemców. Dowiaduję się tylko z niechętnie, a raczej trwożliwie udzielanych mi informacji, że to bójka między esamanami z przeciwległych koszar a przedstawicielami innego *Sturmu*, będącymi po cywilnemu. Ale nie to jest ważne — ważny jest nastrój tłumu. Tłum ten stoi i milczy. Nie dyskutuje jak normalnie w takich wypadkach; nikt nie przechwala się, że właśnie on pierwszy usłyszał, zobaczył, czy coś podobnego. U jednych można wyczuć zgorznienie, że szturmowcy biją się pomiędzy sobą, a u większości — po prostu jakiś nieprzemysłany lęk. Z wielkim wrzaskiem syren przyjeżdżają dwa auta z uzbrojoną policją. Z czarnych czeluści bramy brunatnego domu wychodzi delegacja SA. Odbywa się jakaś rozmowa, a tymczasem dwóch policjantów z całą brutalnością przepędza nas wszystkich z chodników i bram tak, że ulica jest zupełnie opustoszała na przestrzeni czterech kamienic z każdej strony koszar. Zdumiewające jest nasze milczące

Strach

<sup>168</sup> *Verband* (niem.) — stowarzyszenie. [przypis edytorski]

<sup>169</sup> *Kampfbund* (niem.) — związek walki. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *gelateria* (wł.) — lodziarnia. [przypis edytorski]

odstępowanie przed tym jednym policjantem. Cofamy się z poczuciem winy, żeśmy widzieli to, co zaszło. Nikt się nie ociąga. Nikt nie protestuje. Nikt się z „panem władzą” nie przekomarza, wszyscy milczą. Znów syreny, znów dwa auta wiozą tym razem *Feldpolizei*, czyli żandarmerię oddziałów szturmowych, nad którymi zwykła policja nie ma władzy. Policja natychmiast odjeżdża. *Feldpolizei* zabiera jakiegoś nieszczęsnego cywila, którego wskazał SA, i razem udają się do wnętrza *Braunes Haus*. Incydent, zdawałoby się, powinien być zakończony — tymczasem tych dwóch rewirowych jeszcze energiczniej i jeszcze dalej nas odsuwa. Kiedy się pamięta to, co rok temu potrafiło dziać się w takim *Braunes Haus*, trudno oprzeć się myśli: a nuż nie chcą, żebyśmy słyszeli krzyki. Tłum rozchodzi się pomału. Obok mnie idzie kobieta i dwóch mężczyzn. Ona bardzo wzburzona mówi: *Ich war nie Nazi, Ich war immer Deutsch-National*<sup>171</sup>. Na co obaj mężczyźni z przerażeniem: *Sprich doch nicht so laut — bist du verrückt?*<sup>172</sup>. Konkretnego i rewelacyjnego nic właściwie tego wieczoru nie zobaczyłem, nie dowiedziałem się niczego nowego; a jednakże do głębi wstrząsnął mną nagły widok zasłoniętego na co dzień oblicza rewolucji.

„Wiadomości Literackie” 1934, nr 26 (553).

## IKONOGRAFIA I ŚWIĘTO PRACY

Współczujący przyjaciel pisał do mnie po mordach z 30 czerwca<sup>173</sup>: „Jeżeli chcesz być zawsze *à la page*<sup>174</sup>, musisz się postarać o posadę spikera w radiu”. Ta uwaga, właściwie bardziej filozoficzna niż przepojona współczuciem, nic a nic mnie nie pocieszyła. Tylko terażniejszość i „fakt bieżący” są mniej więcej wolne od wilczych dołów. Przyszłość objęta prorokowaniem to niezrównana sposobność do wyglupiania się, a przeszłość choćby wczorajsza w obecnych chyżych czasach to albo nudziarstwo, albo wprost nekrofilia. Muszę wybierać. Wybieram więc ze stanowczością, ale i ze smutkiem, za temat i tło mojego reportażu zamierzchną przeszłość w zapomnianym państwie: epoka — maj-czerwiec 1934; państwo — Rzesza Niemiecka pod rządami partii narodowosocjalistycznej, niemającej jeszcze rozłamów ani różnicy zdań, opozycji ani krytyki. (Państwo to notabene przestało istnieć już w końcu maja).

Niemcy były wówczas typowym państwem policyjnym. Cecha ta trwa nadal i została nawet brutalnie podkreślona „czerwonym” w nocy z 29 na 30 ubiegłego miesiąca.

(Chciałbym bardzo doczekać się czasu, kiedy słowa „policja” i „władze bezpieczeństwa” przestaną być lekkomyślnie używane jako synonimy. Synonimami być powinny, to inna rzecz, ale tylko w krajach naprawdę demokratycznych, czyli w starych demokracjach zachodnich, i to, niestety, z bardzo licznymi wyjątkami, policja jest naprawdę władzą bezpieczeństwa, a nie czymś w rodzaju siepaczy).

Do jakiego stopnia ustrój policyjny otoczony jest w Niemczech nimbem władzy, można przekonać się choćby z tego, że instytucja tajnej policji — w innych krajach uważana za *malum necessarium* — rozwija tu swoją propagandę popularyzatorską na równi z innymi ugrupowaniami funkcjonariuszy państwowych. Nawet w Polsce mówi się szepem, że ktoś należy do wywiadu. W Berlinie zaś akt przekazania przez Goeringa bezpośredniego zwierzchnictwa nad tajną policją dowódcy SS Himmlerowi i przebieg tej ceremonii jest opisywany i fotografowany na wszystkie strony. Zdjęcie upamiętniające to zdarzenie zostało bardzo starannie upozowane, obmyślane, skomponowane. Jest tam i flaga ze swastyką, i dwaj panowie, o których chodzi, stoją dokładnie pośrodku obrazu, dokładnie profilem, i podają sobie ręce, a twarze ich wypadają akurat na tle białej części hitlerowskiej flagi.

Jest to typowe zdjęcie propagandowe, gdyż jak wszystkie mu podobne spełnia dwa zadania: jest uderzająco plastyczne i wzbudza poczucie, że władza to nie byle co.

<sup>171</sup>*Ich war nie Nazi, Ich war immer Deutsch-National* (niem.) — nigdy nie byłam nazistką, zawsze byłam Niemiecko-Narodowa [popierałam Niemiecką Narodową Partię Ludową]. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*Sprich doch nicht so laut, bist du verrückt?* (niem.) — ależ nie mów tak głośno, oszalałaś? [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*mordy z 30 czerwca* — tzw. Noc długich noży, czyli akcja schwytania i wymordowania przeciwników Adolfa Hitlera wewnątrz ruchu narodowosocjalistycznego. Tej nocy SS i wojsko zajęły główną siedzibę dowództwa SA i aresztowały jego dowódcę Ernsta Röhma. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*być à la page* (fr.) — być na bieżąco, orientować się. [przypis edytorski]

Ale tu wkroczyliśmy na temat bezmierny, na temat ikonografii rewolucji narodowej, która to ikonografia jest w lwiej części wypełniona śmiertelnymi kształtami „Jego Przeciętności Wodza”. Temat to zresztą poza swą obszernością — bynajmniej nie błahy.

Siedzę przy stole w towarzystwie katolików, więc elementu nieco bardziej obiektywnego i odważnego, a na temat Hitlera wygłasza peany obecny wśród nas Włoch. Następuje ożywiona dyskusja. Sąsiadka moja nie zabiera w niej głosu, tylko po chwili dotyka mego łokcia i tonem konkluzji mówi: *Ich halte mich an die Photographie*<sup>175</sup>. Nie potrzebuję podkreślać, do jakiego stopnia uradowała mnie ta idealnie zwięzła i sceptyczna uwaga, gdyż po przestudiowaniu tysięcy istniejących zdjęć Hitlera nie czuje się już potrzeby dowiadywania się, kim on właściwie jest.

Znam jeden sklep na *Kleiststrasse* (podobnych jemu jest wiele, ale ten wydaje mi się specjalnie „dobry”), w którym dziewięćdziesiąt procent towaru stanowią podobizny Führera: fotografie, obrazy, sztychy, rzeźby, płaskorzeźby, medale i makiety. Pozostałe dziesięć procent towaru to fotografie o tematach narodowosocjalistycznych. Liczba przeróżnych zdjęć we wszelkich możliwych rozmiarach i wykonaniach przyprawiałaby na pewno o żółtaczkę, gdyby jeszcze żyła, świętą Teresę z Lisieux. A każda z tych podobizn jest starannie upozowana. Hitler automatycznie i (miejmy dla Niemiec nadzieję) podświadomie zachowuje się plastycznie i fotogenicznie.

Nie opuszcza żadnej okazji „zdjęcia się” z dziećmi czy z kwiatami. Karmi też czasem daniela. Pierwsze działa na rodziców w ogóle, drugie — w szczególności na kobiety, trzecie — na dzieci oraz miłośników przyrody i zwierząt. Istnieją też obrazy alegoryczne, obrazy, gdzie Führer przedstawiony jest w sympatycznej grupie z Fryderykiem Wielkim i Bismarckiem; zdjęcia w mundurze (choć w przeciwieństwie do Goeringa — zawsze w tym samym) i po cywilnemu, groźne i uśmiechnięte, w powitaniu faszystowskim czy też z klasycznym napoleońskim gestem skrzyżowanych ramion. I tu potrzebna jest wstawka. O ile całą ludność cywilną i umundurowaną obowiązuje powitanie starorzymskie, które młodzi polscy sztafetowcy mogą studiować w „Zachęcie” na rzeźbie gladiatora dłuta Welońskiego<sup>176</sup> — o tyle wodzowie przy ukłonie odwracają dłoń ku niebu, trzymając ją przewróconą nad ramieniem. Ma to podobno symbolizować podtrzymywanie państwa, a wygląda, jakby nieśli niewidzialną tacę. I choć wiemy dobrze, że żadna praca nie hańbi, a już chyba najmniej praca naszych kochanych karmicieli kelnerów — powitanie hitlerowskie w wykonaniu samego wodza wygląda szalenie śmiesznie, zwłaszcza, że w zestawieniu z jego twarzą wypada to tak bardzo zawodowo. Ale *capo d'opera*<sup>177</sup> fotografów niemieckich oraz zgrywania się Hitlera to zbiorek sześciu pocztówek pod ogólnym tytułem *Adolf Hitler spricht*<sup>178</sup>. Bardzo wątpię, czy to są zdjęcia kinowe. Patrząc na nie, ma się wyraźne wrażenie patrzenia niedyskretnie poprzez lustro, tak dalece każda poza wydaje się wystudiowana właśnie przed lustrem, wystudiowana w stylu prowincjonalnie aktorskim. Pocztówki te zaopatrzone są w krótkie urywki z przemówień wodza, o tonie najintensywniejszej demagogii, a zdjęcia mają ilustrować gestem myśl przytoczonego zdania. Przypuszczam, że to właśnie tego zbioru pocztówek „trzymała się” głównie moja znajoma, której lakoniczną opinię przed chwilą cytowałem.

Dopełnieniem wrażenia, jakie sprawiają te pocztówki, było dla mnie słuchanie oraz oglądanie stosunkowo z bliska samego Führera na *Tempelhofe*<sup>179</sup> i maja bieżącego roku. Żywo wówczas stanęła mi przed oczyma świetna kreacja aktorska Fidlera<sup>180</sup> jako Kolasińskiego w *Rodzinie* Słonimskiego. Można by było przysiąc, że aktor warszawski osobiście podpatrzył gesty i mimikę Hitlera. Jest w tej gestykulacji coś prymitywnego, a zarazem szablonowego, coś skróconego, przerwanego w połowie, jakby sam mówca wahał się ciągle, czy przypadkiem nie użył nieodpowiedniego ruchu lub mylnej postawy.

Cofam się tu pamięcią do już dość przebrzmiałych pomp 1 maja, ale obchód ten uważam za tak bardzo znamienity dla możliwości zbiorowego usposobienia Niemców, że podałbym jego opis nawet po upadku rządów narodowych socjalistów. Wychodzę

<sup>175</sup> *Ich halte, och an die Photographie* (niem.) — opieram się na fotografii. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *Weloński, Pius* (1848–1931) — polski rzeźbiarz. Jego rzeźba *Gladiator* powstała w 1880 r. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *capo d'opera* (wł.) — arcydzieło. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *spricht* (niem.) — mówi. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *Tempelhof* — lotnisko w Berlinie. [przypis edytorski]

<sup>180</sup> *Fidler, Edmund* (1909–1999) — polski aktor teatralny. [przypis edytorski]



z domu przed dziewiątą. Dzień jest wspaniały i już bardzo upalny. Przed moim domem stoi grupa ze stu pięćdziesięciu osób z transparentem głoszącym, że reprezentują pewną firmę. Czekają na środku jezdnii, aż tajemniczo działająca i niesamowicie sprawna organizacja rozkaże im postępować dalej. Są to widocznie drobni urzędnicy i urzędniczeki. Ubrali się nie odświętnie, ale przeciwnie, w to, co mieli najstarszego, bo wiedzą, co ich czeka. Kobiety niosą ze sobą składane krzeselka, na których chętnie siadają. Wszyscy są już spoceni i wyglądają na zmęczonych, a mają jeszcze przed sobą cztery godziny marszu i przystawania, zanim dotrą do Tempelhofu. Humory zdają się jednak być bez zarzutu. Biorę taksówkę i jadę już trochę spóźniony do *Lustgartenu*, gdzie ma się odbyć *Kundgebung*<sup>181</sup> dla młodzieży hitlerowskiej. Dojechać tam niełatwo, gdyż każdą ulicą kroczy rozczłonkowany pochód. O dojechaniu do samego zamku nie ma mowy, a właśnie na tarasie tegoż zamku będą wypowiedziane mowy i tam też wyznaczono miejsce dla prasy i zaproszonych gości. Toruję więc sobie na piechotę drogę poprzez kordony policji, hitlerjungów, SS i wreszcie docieram do wyrwy wyglądającej jak prostokątny rów wijący się wśród brązowej oranki<sup>182</sup>, w jaką zamienił się dziś *Lustgarten*. Rów ten czy okop jest jakby ocembrowany z boków szpalerem czarnych, roślących esesmanów, którzy, powiązawszy się za łokcie paskami, bronią go od zasypania przez brązową masę — tym ruchliwszą, że bardzo młodą. Tym pustym, jakby wyschłym korytem rzeki, którym przybyć ma Führer, kroczę samotny i zawstydzony, w jasnym, letnim ubraniu, stuprocentowy cywil, prawie Żyd. Okazało się kilka dni później na pewnym przyjęciu, na którym spotkałem dość wielu członków SS, że mój samotny ingres nie bez racji mnie zażenował. Jakież było moje zdziwienie, kiedy trzech nieznanym mi panów, tym razem ubranych po cywilnemu, podeszło do mnie z zapytaniem, czy to ja i mają kroczyłem samotnie do trybuny prasowej. Zauważyli mnie i zapamiętali.

Z tarasu zamku — świetny widok. Morze chłopców w brązowych koszulach i stojących w karnych szeregach, to rozsypanych luźnymi grupami. Latarnie wyglądają jak choinki przeładowane młodzieżą hitlerowską. Zastanawia spostrzeżenie, że prawie co drugi chłopiec ma aparat fotograficzny i to nie byle jaki, ale drogi i skomplikowany. Wciąż nim „zdejmuje”. Zwyczaj upamiętniania drogą fotografii wszystkiego i wszystkich oraz noszenia w portfelu i pokazywania po dwóch minutach znajomości nowo spotkanej osobie zdjęć rodziny, kochanki, psa lub motocykla jest prawdziwie instytucją wśród niemieckiej półinteligencji.

Pośrodku *Lustgartenu* stoi *Maibaum*<sup>183</sup>. Jest to kolosalny monolit z drzewa — wspaniały okaz lasów Turyngii. Uprzymamnia on widzowi bardzo plastycznie fakt, że obok piekła Ruhry istnieje też w tym ogólnie zasobnym kraju dość spokoju i poszanowania przyrody, aby takie drzewo mogło być wypielegnowane. *Maibaum* jest odarty z kory, odziany w girlandy zieleni, udekorowany symbolami, wśród których swastyka odgrywa niepoślednią rolę. Jest to coś w rodzaju polskiego gaiku czy angielskiego *May-pole*. Ponieważ w Niemczech nic bez obchodu odbyć się nie może, więc i oficjalne przybycie *Maibaumu* filmowano od chwili zrąbania, poprzez podróż na kilku platformach kolejowych, aż do ceremonialnego powitania przez ministrów Turyngii i Rzeszy. Był to sam w sobie obchód, który zajął prawie cały dzień setkom, jeżeli nie tysiącom ludzi.

Przypomina mi to dziwaczne wrażenie, które odniosłem, będąc obecny przy ceremonii położenia kamienia węgielnego pod nowy gmach *Reichbanku*. Wiemy wszyscy, jak stoją sprawy skarbowe Niemiec. Dziwić tylko może przedsięwzięcie budowy mającej kosztować około czterdziestu milionów marek. Gmach zająć ma przestrzeń trzynastu hektarów, a wykończenie go przewidziane jest w ciągu najbliższego roku. Przedsięwzięcie to, posiadające w opinii każdego trzeźwego człowieka niechybnie cechy rozrzutności, nie tylko nie jest załatwiane po cichu, ale przeciwnie: obchód, którego byłem świadkiem, otoczono niesłychaną prozopopeą<sup>184</sup>. Wybudowano trybuny dwadzieścia razy większe i bardziej zbytkowne niż warszawskie trzeciomajowe na placu Marszałka Piłsudskiego, co — jak wiemy — kosztuje. Były dziewczynki w bieli i cały rząd z Hitlerem na czele. Przy tej okazji zdarzył się też ciekawy incydent. Hitler miał przemawiać,

<sup>181</sup>*Kundgebung* (niem.) — wiec, manifestacja. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*oranki* — zaorany obszar. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*Maibaum* (niem.) — drzewko majowe. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*prozopopea* — tu w znaczeniu: udratyzowanie. [przypis edytorski]

a obecnym dziennikarzom rozdano druczki nawołujące do nierobienia notatek podczas przemówienia wodza. Oczywiście zaostrzyło to niesłuchanie apetyty dziennikarskie, lecz nastąpiło rozczarowanie, gdyż Hitler powstrzymał się od słowa (rzadki przypadek), za to Schacht wygłosił przemówienie, w którym między innymi podkreślił niezapomniane zasługi Fryderyka Wielkiego na polu skarbowości, określając jednocześnie tego monarchę jako prawdziwego „narodowego socjalistę na tronie”. Co dzisiaj poczną z życiem płciowym tego monarchy?

Ale wróćmy do *Lustgartenu* i do Święta Pracy. Jak w każdej niemieckiej demonstracji, uderza przeróżność i bogactwo szczegółów; ileż tu oznak, chorągwi, emblematów, a choć zasadniczych mundurów jest mniej niż rok temu (bo nie ma *Stablnhelmu* i niemieckonarodowych), jednakże w istniejących mundurach SA, SS, *Feldpolizei*, *Reichswehry*, obozów pracy i policji jest tyle odmian, że chodząc po tarasie zamkowym, naliczyłem piętnaście rodzajów samych brązowych czapek.

Wodzowie przyjeżdżają wśród frenetycznych okrzyków i powiewania sztandarami. Najpierw przemawia Goebbels — słuchają go, choć treść przemówienia jest mglista, jeżeli chodzi o młodzież, i nienowa; bezustanne nawoływanie do entuzjazmu. Następnie przychodzi kolej na Hitlera. Wstępuje na mównicę — szalone oklaski; zaczyna przemawiać, czyli ryczeć, a wśród słuchaczy następuje najbardziej nieoczekiwane jakby odprężenie, trochę jak w wojsku na komendę „spocznij”. Zaczynają się rozmowy i rozglądanie się. Literalnie nikt czy prawie nikt nie słucha.

Po przemówieniach następuje pochód przypominający defilady karnawałowe w Nizy. Kroczą lub jadą malownicze grupy chłopów z wszystkich zakątków Rzeszy w barwnych, tradycyjnych strojach; za nimi idą grupy i pojazdy alegoryczne, często cukierkowe, a znowu czasem tchnące jakimś ostrym powiewem atmosfery sowieckiej. Lecz może ciekawsze od pochodów i przemówień jest przejście po prostu wzdłuż tarasu zamku, gdzie zebrani są zaproszeni goście, rząd i prasa. Dziwne tu widać obrazki. Kilku starych woźnych z zamku, zapewne dawnych domowników cesarskich, patrzy z pogardą na tę „ludową” demonstrację — znać, że są to wielkie sny. Oficer *Reichswehry*, pocięty męsurami<sup>185</sup> i z monoklem, niczym nie zdradza swego stosunku do odbywających się zjawisk rewolucji. Samotna pani — musiała być kiedyś piękna — w najnowszym paryskim modelu sumiennie podnosi znużoną rękę, kiedy tego wymagają okoliczności, ale wydaje się niesłuchanie udręczona i znudzona tym statycznym gestem pożyczonym z „żywych obrazów”. Za to opodal od niej młody oficer i młoda kobieta, którą można jedynie określić jako naprawdę arystokratycznie, źle i niestarannie ubraną — jak podnieśli ręce w faszystowskim powitaniu na początku pierwszego hymnu, tak nie spuścili ich chyba przez cały czas trwania manifestacji. W każdym razie uszło to mojej uwadze. Śpiewają wszystko, co jest do śpiewania, mają cały czas łzy w oczach i ręce im nie drżą ze zmęczenia. A znowu dalej, choć też z ręką wzniesioną, ale ze sceptycznym grymasem na twarzy, obserwuje tę dziwną parę starszy dyplomata z *Auswärtiges Amt*, którego na takie kawały nie nabiorą.

*Kundgebung* dla młodzieży skończona. Do wyruszenia na *Tempelhof* mam kilka godzin. Włóczę się więc po mieście i przyglądam grupom maszerujących w skwarze i pyłe na lotnisko, do którego ja — parias i cudzoziemiec — zajadę wygodnie taksówką. Rozbawił mnie wyjątkowo widok przedstawicieli teatrów berlińskich. Nie było wśród tej grupy oczywiście wielkich gwiazd sceny, nie pofatygowały się maszerować, toteż przedstawiała ona najśmieszniejszą mieszaninę szatniarek, dam zza bufetów i wyranżerowanych<sup>186</sup> tenorów z przydługimi włosami i w aksamitnych marynarkach, biednych, starych kabotynów.

Organizacja, powtarzam, jest fantastyczna. Każda grupa posiada jak najdokładniejszy „rozkład” marszu, czyli czas zbiórki, dokładną marszrutę, miejsce i czas połączenia się z innymi grupami. To samo dotyczy rozwiązania się całej tej dwumilionowej hecy. Rezultatem było zupełne uniknięcie zatorów w ruchu ulicznym, ale ponieważ na tym świecie za wszystko trzeba zapłacić, więc ceną sprawności marszu gwiazdzistego na *Tempelhof* było jego trwanie mniej więcej od siódmej rano do pierwszej po południu, o której to godzinie cały plac był już szczelnie wypełniony; przemówienia rozpoczęto dopiero o czwartej.

<sup>185</sup>*mensura* — tu: blizna po pojedynku. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*wyranżerowany* — wycofany z obiegu. [przypis edytorski]

Stanie w nieznośnym upale przez minimum trzy godziny bez możliwości siedzenia nawet na ziemi, to nie byle co dla cywila, i to niepodnieconego oczekiwaniem jakiegoś widowiska, ale tylko szeregu wiecowych ryków. Podobne ryki słyszy się co dzień od półtora roku z okazji każdej funkcji publicznej i przy każdym włączeniu radia. Znajomy mój, będący jednym z bardzo nielicznych przedstawicieli swej firmy, opowiedział mi z dumą, że w pół godziny po dojściu do celu marszu spotkał się, choć nieumówiony, ze wszystkimi kolegami w knajpie niedaleko *Tempelhofu*: wszystkim udało się, jak mówią myśliwi, „uciec z pola”. Takich dezertarów jednakże, sądząc po liczbie pozostałych, nie musiało być wielu. Wystarczy pierwszy rzut oka z wysokości trybuny na ludzkie morze, ażeby przekonać najbardziej zatwardziałego sceptyka, że podobnego skupienia ludzkiego nigdy w życiu przedtem nie oglądał. Nie sposób opisać widoku dwóch milionów ludzi stojących w zwartych szeregach, na minimum przestrzeni, jaką taka masa zająć może. Kolosalny łań białawoszarych plameczek, jakaś chropowata, popielata powierzchnia, jakby pumeksu, pokryta najwyraźniej kilkumetrową warstwą lekkiej mgły — wyziewów płuc. Ponad tą mgłą wystają symetrycznie rozstawione, w ziemię wmurowane słupy ze sztandarami. Poza tym monotonię i monochromię obrazu przerywa dwanaście czy szesnaście ogromnych, białych namiotów z powiewającymi flagami Czerwonego Krzyża. Są one ustawione w szachownicę na przemian z imponującymi, jak schrony pod Verdun, żelazobetonowymi ubicakcjami. Widok ich potwierdza znany fakt, że nie tylko słowem człowiek żyje. Szpitali też nie ustawiono jedynie dla ozdoby. Przeszło cztery tysiące osób skorzystało z usług personelu sanitarnego. Jak mnie poinformowano, około tysiąca osób złamało nogi lub ręce, przeważnie w nadgarstku lub kostce, padając w omdleniu. Miało się też urodzić na polach *Tempelhofu*, jak jedni twierdzą, sześcioro, a inni — dziewięcioro dzieci. Oczywiście w większości wypadków były to zwykłe omdlenia spowodowane upałem. Naokoło zaś skupionego i poważnego placu panowała mniej ideowa atmosfera zwyczajnego odpustu. Masa straganów z lemoniadą. Jakiś pan w bieli roznosi na tacy befsztyki tatarskie, bardzo już zeschnięte, fioletowe i pokryte muchami. Pracuje, jak by miał w kieszeni komisową umowę z Czerwonym Krzyżem.

Tło dla naszych trybun stanowią trzy flagi: dwie ze swastyką, a jedna niemiecka trójbarwna. Są one rozciągnięte na stalowych rusztowaniach kilkupiętrowej czy kilkunastopiętrowej wysokości, wmurowanych w ogromne bloki betonu. Jest to sama w sobie tytaniczna i skomplikowana budowla, ale nie wytrzymałaby naporu wiatru, gdyby flagi były zwyczajnie szyte; są one tylko luźno plecione z wąskich bawełnianych taśm, tak aby przepuszczały wiatr. Z bliska widać, że są przezroczyste. Prawie pierwszą rzeczą, o której słyszałem w Berlinie, były właśnie te flagi. Fryzjer mój, stary znajomy i nienawrócony socjalista, opowiedział mi o przygotowaniach do Święta Pracy, podkreślając z zaciętym sarkazmem, że te dwudziestopięciometrowe flagi to jedyny pozytywny rezultat hitlerowskiego reżimu.

Ale popatrzmy raz jeszcze na pole. Najbliższe sto metrów zajęte jest przez przedstawicieli formacji mundurowych w szykach mniej zwartych niż dalej stłoczona masa cywilów. Pięknie świecą się w słońcu łopaty „oddziałów pracy”, trzymane na ramieniu jak karabiny. (Gdyby tylko tak szlachetną bronią ludzkość chciała walczyć!). Nad polem krąży błękitny sterowiec z gigantycznym, dobrze znanym napisem *Odol*<sup>187</sup>. Podobno policja za pomocą radia kieruje stamtąd ruchem mas. Obok mnie stoi chłopczyk, syn znajomych moich, Amerykanin. Wierci mi dziurę w brzuchu pytaniami, jaki jest narodowy ptak Niemiec. Będzie z niego tęgi heraldyk. Nie mogąc dać mu właściwej odpowiedzi, wskazuję na sterowiec i mówię bez przekonania, że zapewne *Odol*, a w duszy myślę, że właściwie wszystko to odbywa się za wstawiennictwem nacjonalistycznego ducha świętego, który wprawdzie nie jest gołębicą pokoju, ale śmiało można go nazwać *Dentolem*.

Trybuna, z której przemawiać będzie wódz, przypomina konstrukcyjnie niektóre makiety miast antycznych, spotykane po muzeach. Ma schody, występy i balkony. Na jednym z takich występów stoją w czworobok, tyłem do mównicy, nieruchomi, czarni członkowie SS. Świetny to efekt. Pomyślałem sobie w tej chwili, że Charrel w *Grosses Schauspielhaus*<sup>188</sup> nie potrafiłby lepiej pod względem efektu scenicznego. Wszystko tu

<sup>187</sup> *Odol* — firma niemiecka produkująca pastę do zębów. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *Grosses Schauspielhaus* — berliński teatr założony w 1919 roku. [przypis edytorski]

jest barwne i ciekawe. Oto właśnie na trybunę dyplomatyczną wchodzi nuncjusz papieski z kwaśną miną. I cóż mu się dziwić? Nawet kamedulę przywykłego do całonocnych modłów znudziłyby wreszcie nieustające „godzinki” nacjonalistów. A dopiero, kiedy ma się przeświadczenie — a przypuszczać należy, że nuncjusz właśnie takie przeświadczenie posiada, że nabożeństwo to skierowane jest do fałszywego Boga, wówczas cała liturgia wydaje się nieznośnie niepotrzebna. Jestem dopiero kwadrans na trybunie, czas już się wlecze. Jedyne ruch — i ten staje się prawie monotony, to sanitariusze pędzący z noszami na pomoc.

Wreszcie, wśród szalonych okrzyków radości, wjeżdża na pole według swego zwyczaju, stojąc w otwartym aucie jak cesarz z komicznego filmu — Hitler. Teraz kończy się interesująca część widowiska, przemówienia i reakcje na nie są podobne do tego, cośmy widzieli rano podczas obchodu w Lustgartenie. Tylko tu upał jest większy i dzięki temu uwaga słuchaczy jeszcze bardziej rozrzedzona. Poniżej mównicy siedzą Röhm i August Wilhelm, najmłodszy syn ekscesarza. Głośno opowiadają sobie jakieś dykteryjki i śmieją się do rozpuku. To jakiś dziwny, nieoczekiwany objaw na tle z góry narzuconej powagi. Po trzech kwadransach przemówień następuje koniec tego, co kosztowało miliony, stracony dzień pracy, niepotrzebne zmęczenie i dla wielu upokorzenie. Góra urodziła mysz, lecz poród był ciężki i sensacyjny. Rozwiązanie manifestacji było też arcydziełem organizacji, nie tylko że po pół godziny pole Tempelhofu było puste, ale ja osobiście bez wyjątkowych wyczynów łokciami dostałem się do podziemnej kolei, przepuściwszy z powodu przepełnienia zaledwie jeden pociąg. Ażeby zebrać myśli i odpocząć, zaszedłem do baru hotelu Eden — panują tam zupełne pustki, za to cały personel baru i kuchni słuchał w skupieniu Goeringa, który tymczasem zaczął przewodniczyć trzeciej w tym dniu demonstracji odbywającej się znowu w Lustgartenie. Był to jedyny wypadek, kiedy widziałem ludzi uważnie przysłuchujących się mowie politycznej, ale cóż ma robić barman, kiedy wszyscy odbiorcy koktajli demonstrują?

„Wiadomości Literackie” 1934, nr 31 (558).

## WRAŻENIA NORYMBERSKIE

### Zawiedzione nadzieje

Jadę na *Parteitag* do Norymbergi usposobiony do reżimu narodowosocjalistycznego znacznie życzliwiej niż przed dwoma i trzema laty. Stosunek mój do Rosji Sowieckiej był zawsze wysoce niechętny, a proces trockistowski<sup>189</sup> nie przyczynił się do mego nawrócenia. Hiszpania nie zachęca do lewicowości, a Francja swym rozdarciem wewnętrznym budzi obawę o losy kultury europejskiej. Dziennikarze strasburscy spotkani na *Parteitagu* opowiadają o wzmożonej popularności Niemiec w Alzacji od czasu objęcia rządów przez Bluma<sup>190</sup>. Kraje skandynawskie i Anglia cieszą się ustrojami, niestety, niezaraźliwymi. Dziś więc dla większości krajów wybór jest rzeczywiście ograniczony niemal do smutnej alternatywy. Francuskie powiedzenie *on ne sait à quel saint se vouer*<sup>191</sup> pochodzi z pięknych dawnych czasów obfitości, kiedy miało się do rozporządzenia usługi wszystkich świętych pańskich. Dziś jest się skazanym na wybór pomiędzy świętym Karolem Marksem a świętą Joanną d’Arc, której historycy nie bez racji przypisują wynalazek nacjonalizmu. Oboje święci wymagają od swych adeptów straszliwej abnegacji i ascezy.

W Rosji nie byłem od roku 1918, nie miałem więc sposobności (bo dobrą wolę mam zawsze) nawrócenia się na komunizm. Z odległości, z opowiadań, a głównie sądząc z usposobienia moich komunizujących czy komunistycznych znajomych — ustrój sowiecki wydaje mi się wysoce nieatrakcyjny, a jego zdobycze — okupione nieproporcjonalnym ogromem zhańbienia i cierpienia. Myślę więc, że jadę do kraju mniejszego zła, gdzie zapewne jest znośniej, niż było w latach 1933 i 1934, gdzie zapewne ostrości stępały i pewna ludzkość wsączyla się w wybitnie „niehumaniczny” ustrój. Otóż te moje optymistyczne nadzieje zawiodły. Obawiam się, że wszystko, co dalej napiszę, wyda się jednostronne

<sup>189</sup>proces trockistowski — proces dawnych przywódców bolszewickich, który odbywał się w Moskwie od 19 do 24 sierpnia 1936 r. Większość oskarżonych skazano na śmierć. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Blum, Leon (1872–1950) — francuski polityk socjalistyczny, został premierem w 1936 r. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>*on ne sait à quel saint se vouer* (fr.) — nie wiadomo, któremu świętemu się ofiarować. [przypis edytorski]

i negatywne. Pragnę więc z góry zaznaczyć, co następuje: powróciłem do Niemiec przekonany, że obecny ustrój polityczny Rzeszy nie powoduje poczucia krzywdy czy nieszczęścia u ogromnej większości narodu; że przeciwnie, wiele milionów mieszkańców wręcz skorzystało na zwycięstwie Hitlera, przede wszystkim więc bezrobotni i ci wszyscy, którzy potrafią wypełnić swe życie poczuciem dumy narodowej, że odebrawszy ludziom pewne wartości moralne (może abstrakcyjne), ustrój obdarował ich zdobyczami materialnymi i materialistycznymi, czy też prymitywnie i przyziemnie mistycznymi.

Jadę więc pełen zapału do prawdy, a jednocześnie wciąż sobie powtarzam, że w sprawach moralności nie powinno się robić porównań, że chociaż w Hiszpanii jest źle, nie znaczy to jednak, że w Niemczech jest dobrze, jak to dali z lekka do zrozumienia katolicki biskupi Niemiec w swej proklamacji po zjeździe w Fuldzie; że Białomorski Kanał swoją drogą, a zamordowanie Röhma i van der Lubbeego swoją drogą; że Żydzi i socjaliści to też ludzie; że prześladowanie religii w Niemczech i krajach znajdujących się pod wpływem komunizmu różni się tylko co do stopnia, ale nie co do zasady i celów.

Jadę. Granica między Rawiczem a Trachenbergiem niczego nie dzieli. Kraj po obu stronach między biegnącej przez wschodnioeuropejską łąkę jest identyczny. Tylko skutki kary bożej za wieżę Babel, podniesione w ostatnich stuleciach do wątpliwej godności najwyższego ideału, sprawiają, że ludzie po obydwu stronach tej między nie mogą się porozumieć, nie mogą się lubić, chociaż jednaki instynkt każe im popełniać te same absurdy, poddawać się tej samej zabobonnej ucieczce przed własnym zdaniem i zdrowym rozsądkiem, zmusza do szukania ukojenia w ślepych zdaniu się na „władzę”. Przychodzi na myśl — po co właściwie ta granica, skoro cała ludzkość w jednakowym stopniu zdaje się podlegać bezpośredniemu wpływowi złowieszczych gwiazd?

Pociąg przepełniony jest wojskowymi. W dzisiejszych Niemczech to może najprzejmniejszy element. Czuje się w nich pewną tradycję, mniej bojaźliwości objawiającej się tupetem, nie widać tak często spotykanego u *Parteigenossów*<sup>192</sup> parweniuszostwa i brutalności. Wreszcie szczegół, ale bardzo ujmujący: wojskowi nie „heilhitlerują” i po prostu salutują po wojskowemu, co w porównaniu z olimpijsko-rzymsko-faszystowsko-hitlerowskim powitaniem wydaje się czymś uroczo cywilnym. (Może sławny ukłon Gary’ego Coopera z filmu *Maroko* nadał militarystycznemu *pod kozyriok*<sup>193</sup> pewien wdzięczek erotyczny). Cały wagon restauracyjny zda się być wypełniony biesiadą dobrych znajomych. Wszyscy rozmawiają ze wszystkimi i to o jednym: o wojsku. Atmosfera przesiąknięta jest przeraźliwie nudną, bo uporczywą, męską fachowością, jak kiedy zejda się brydżyści, koniarze czy myśliwi. Mówi się o manewrach, o awansach kolegów, pokazuje się nowo zamówione mundury i „żurnale” wojskowe. W tym miejscu rozmowa robi się prawie kobieca, bo umiłowanie munduru przypomina tu już prawie kobiecy szal kiecek.

#### Nieludzka celowość

W tym wagonie po raz pierwszy przychodzi myśl, której słuszność potwierdziły obserwacje z całego mego pobytu w Niemczech, a mianowicie, że wszyscy ci ludzie, cywilni i w mundurach, przykładają się do czegoś, czego cel leży właśnie w samym akcie wykonania, a nie skutkach danej czynności. W innych krajach jednostka jest mniej lub więcej pełną próbką cech narodowych. A tutaj robi przede wszystkim wrażenie trybu w maszynie, której własne obroty są jedynie jej celem.

W porównaniu z „wyuzdaną” epoką kanclerza Bruninga<sup>194</sup> Niemcy dzisiejsze są krajem nudnym, jak nudna jest bezcelowa maszyna, a może zwłaszcza jak nudny jest skład wszelkich części zapasowych.

Ale mniejsza o nudę. Co przeraża, to brak niezadowolenia. Nie jest to paradoks. Nie chcę oczywiście powiedzieć, że martwiłby mnie widok narodu zadowolonego, ale mam tu na myśli fakt, że w każdym społeczeństwie istnieją przeciw panowie z chronicznie chorymi wątrobnymi lub choćby z przelotnym kacem. Takim panom jest przeciw wszystko nie w smak, wszystko im śmierdzi pod nosem — rządzą. Istnieją przeciw panie w ciąży, które mdli przez dziewięć miesięcy, i panie, które właśnie noszą się z myślą o migrenie;

<sup>192</sup>*Parteigenosse* (niem.) — towarzysz partyjny; tu: członek NSDAP. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*pod kozyriok* (z ros.) — „bicie w dach” (w domyśle: czapki żołnierskiej); salut. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*Brüning, Heinrich* (1885–1970) — przywódca katolickiej partii Centrum, który w latach 1930–1932 był kanclerzem Niemiec. [przypis edytorski]

no więc takie panie, kiedy stoją przez godzinę na chodniku bez możliwości przejścia przez jezdnię i dostania się do domu, powinny, choćby cicho, ale — narzekać. Nie czynią tego. Dlaczego? Zapewne jest w tym i dyscyplina, i egzotyka usposobienia niemieckiego, a może i strach. Jakie są proporcje tej recepty, nie zdołałem zbadać.

Byłem w Anglii na jubileuszu królewskim w roku 1935, byłem niedawno w podnoszących się z depresji Stanach Zjednoczonych i wiem, co to są narody szczęśliwe. Pod zaobserwowane tam kategorie szczęścia, Niemcy roku 1936 nie podpadają. Są oni jednakże niewątpliwie bardzo zajęci, zaafierowani, podnieceni, co oczywiście pomaga oddać moment zastanowienia i wątpliwości. Nawet w małych miasteczkach ciągle dzieje się coś „partyjnego”. To coś musi być przygotowane, musi być wprawione w olśniewające ramy i wyreżyserowane do maksimum sprawności. Panie, na przykład, zajęte są zmianą mody. W ciągu całego tygodnia w Norymberdze widziałem jedną szykowną Niemkę ubraną po zachodniemu. Poza tym w Grand Hotelu, przybytku ultraelitarnym, widać było różne generałowe bardzo po prusku dystygowane, ubrane dyskretnie, przedwojennie i niemodnie. Ale większość niewiast wyraża w swych strojach tendencje wyraźnie chłopomańskie: brzuski gotyckie i obowiązkowo fartuszek. Głowa i nogi — gołe. Buty sportowe. Od tych chłopięjących mieszczek prawdziwym gustem odbijają prawdziwe chłopki we wspaniałych tradycyjnych strojach.

### Kontrasty

Kultura i tradycjonalizm chłopski, zwłaszcza południowych Niemiec, musi cudzoziemca zawsze bardzo przyjemnie ująć. To chłopski element, choć cieszący się tak wielkim poszanowaniem w Trzeciej Rzeszy, dziwnie nie harmonizuje z szarą zgłajszachtowaną myślą i brudnobrązowymi koszulami doby obecnej, jak zresztą Norymberga nie nadaje się swą atmosferą na *Parteitag*. Strój ludowy różni się całkowicie w sąsiadujących ze sobą wioskach. A Norymberga znowu wprost dyszy indywidualizmem. Każdy patrycjusz wyłaził ze swym domem po prostu na środek ulicy, żeby go było widać. Tam nie udałaby się nigdy inicjatywa anonimowego piękna placu *Vendôme* czy *Rue de Rivoli*.

W tym mieście wprost feerycznej piękności, której można postawić tylko jeden zarzut, że nas, obywateli i zimnych drani, śmieszy swą już prawie kiczowatą teatralnością — gdyż trudno się nie śmiać, kiedy człowiek znajdzie się w księżycową noc na placu z jednym drzewem i z fontanną, mając na lewo domek z erkerem<sup>195</sup>, na prawo gotycki most przez rzeczkę, a w głębi wąską uliczkę, której wijący się w górę pęd przyspieszają od czasu do czasu spotykane schodki, wreszcie hen, pod niebem na niedostępnej skale — zamek, ale taki naprawdę rekwizytowy; to wszystko w jakimś wohlgemuthowskim skrócie; w tym mieście, którego dawne cechy życia i ludzi zdają się być wypisane na każdej ścianie, gdzie kamienie murów obronnych nabrały patyny nadającej im materialnego i moralnego podobieństwa do razowego chleba, za którymi to murami tworzyli tak kameralni geniusze, jak Wolgemut<sup>196</sup> i Stwosz, Kraft<sup>197</sup> oraz Vischer<sup>198</sup>, w tym mieście nie ma wprost miejsca na hitlerowskie nagłe i brutalne powitanie. A mimo to — wszystkie beznadziejnie banalne i szerokie arterie Berlina mniej dyszą hitleryzmem niż ten przeznaczony gród.

Ale tu zaznaczyć należy — i uwaga ta dotyczyć będzie wszystkich mych norymberskich spostrzeżeń — że *Parteitag* powoduje wielkie skoncentrowanie tych, których Francuzi nazywają *les purs*<sup>199</sup>, że to zjazd „pierwszej brygady” w całej jej potwornej rozrodzności, że interes szynkarza czy sprzedawcy gazet każe mu być bardziej pogańskim od Rosenberga i bardziej aryjskim od Streichera.

Drezno czy Bamberg dowiodły mi, że różnice w zgłajszachtowaniu jednak istnieją. W miastach tych cudzoziemiec może przez cały dzień nie usłyszeć sakramentalnych słów *Heil Hitler!* zwróconych bezpośrednio do siebie. Tymczasem w Norymberdze każde wejście do sklepu, każde pierwsze zbliżenie się kelnera czy rozstanie się z szatniarką stawia

<sup>195</sup>Erker (niem.) — wykusz. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>Wolgemut (*Wolbgemuth*), Michael (1434–1519) — malarz i drzeworytnik niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>Kraft (*Krafft*), Adam (ok. 1460–ok. 1508) — jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy późnego gotyku. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>Vischer, Peter Starszy (ok. 1460–1529) — niemiecki mistrz odlewnictwa, rzeźbiarz, twórca słynnego grobu św. Sebaldy w Norymberdze. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>*les purs* (fr.) — czyści; tu zapewne w znaczeniu: czyści rasowo. [przypis edytorski]

obcokrajowca wobec konieczności zaznaczenia przez zwykłe *Guten Tag* swej obcokrajowej nietykalności. W Dreźnie widziałem dwóch *Wandervogelów*<sup>200</sup>. Byli to młodzi chłopcy ubrani po tyrolsku, nie wiem do której potęgi. Chodzili po knajpach i sprzedawali pocztówki na własny temat. Na klapach kurtek i na zielonych kapelusikach zaopatrzonych w pędzle do golenia było przypiętych mnóstwo najrozmaitszych odznak, ale żadnej partyjnej! W Norymberdze o takich outsiderach nie było mowy.

#### Prasa i kawiarnia

Biorę się do prasy. Wiadomości zagranicznych na ogół mało, z Polski stosunkowo dużo: na ogół zyczliwie lub bez komentarzy, reszta — z Hiszpanii. Powstańcy są aniołami niezdolnymi do żadnego okrucieństwa. Jeżeli chodzi o Hiszpanię i o Rosję, walka z religią wywołuje w prasie hitlerowskiej najgłębsze oburzenie. Oburza też niezrozumienie Moskwy dla wzniosłych ideałów pacyfizmu.

Za to o życiu wewnętrznym kraju można się coś niecoś dowiedzieć. Jakies pismo ilustrowane podaje fotograficzny reportaż z *Musik Hochschule*<sup>201</sup>, w której kształcą się orkiestry wojskowe. Dalej pokazane są nowe modele mundurów i zmiany oznak na kołnierzach pocztulionów. Świeżo otwarte wrota do promiennego świata munduru są wciąż przedmiotem entuzjazmu i sztubacko-pedanteryjnych zainteresowań całego narodu. Wciąż słychać pytania *Was fur ein Uniform ist das?*<sup>202</sup>, a ja widzę taką ich mnogość i taką różnorodność, że tracę wszelką ambicję rozeznania się w tej militarnej krawiecczyźnie.

Następują fotografie pięknego zamku, gdzie rozlokowano szkołę *Arbeitsfrontu*. Jedną z głównych górnych komnat zapełniono ławkami szkolnymi, a napis głosi, że jest to klasa dla *Politische und Weltanschauung Schulung*<sup>203</sup>. Robi to przykre wrażenie, zwłaszcza kiedy się pomyśli, że robotnik niemiecki miał przecież tak kulturalną i skryształizowaną *Weltanschauung*<sup>204</sup> na długo przed rokiem 1933, a teraz sadzają go jak smarkacza do ławki szkolnej i uczą jego własnych (bo je kompletnie sobie przyswoił) przyszlących opinii. Następny artykuł jest propagandowy, na hurra. Temat: nowe Niemcy odkryły godność pracy. Nikt przedtem — tylko Trzecia Rzesza.

Mam dość czytania. Rozglądam się po kawiarni, w której siedzę. Rojno tu i gwarno. Muzyka gra stare wiedeńskie szlagiery oraz tyrolskie i bawarskie melodie o nastroju jodlerskim. Sąsiedzi, gdy widzą, że się jest obcokrajowcem, okazują ujmującą uprzejmość, ale w przeciwieństwie do dawnego Berlina nie następuje zbliżenie, rozmowa się nie nawiązuje. Naród ma przecież tyle wspólnych i technicznych tematów do omawiania, że cudzoziemiec odnosi wrażenie, jakby przerywał jakąś naradę fachowców. Poza tym nie wita się po hitlerowsku, a już to jedno stwarza przepaść między nim a otoczeniem. Siedząc tak w kawiarni, czuję się beznadziejnie obcy i samotny, jak prawie nigdy przedtem w życiu.

Gdzież jest dawny berliński zmysł humoru? Przecież tu berlińczyków i hamburczyków, i renańczyków są dziesiątki tysięcy. Przecież jeszcze przed paru laty ludzie ci śmialiby się, obserwując tłustych panów w brązowych koszulach, jak wchodzą do lokalu, wymachując rękami na podobieństwo semaforów kolejowych, i wykrzykują jednocześnie nazwisko malarza pokojowego z górnej Austrii. Nie widać też tutaj dość jawnej płciowości niemieckiej ani nawet tej przed-płciowej sentymentalności, która objawia się wszędzie poza krajami muzułmańskimi. Nie ma parok w kawiarniach, a w parkach dziwnie ich mało. Po knajpach siedzą zgraje umundurowanych mężczyzn, zupełnie zadowolonych z własnego towarzystwa, nie starających się wymknąć „na dziewczynki” i śpiewających trochę po pijanemu i bez żadnej świadomości militarystycznej myśli *Volk ans Gewehr*<sup>205</sup>. Przy jednym stole siedzi czterech SA i cztery panienki. Są młodziutki, byle jak ubrane,

<sup>200</sup> *Wandervogel* (niem.) — wędrowny ptak, nazwa stowarzyszenia młodzieży niemieckiej, założonego w 1901 r. Propagowało ono rozwój patriotyzmu, m.in. przez wycieczki po kraju i głosiło romantyczny bunt w imię „wspólnoty ludowej” Niemców. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *Musik Hochschule* (niem.) — wyższa szkoła muzyczna. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *Was fur ein Uniform ist das?* (niem.) — Jaki to jest mundur? [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *Politische und Weltanschauung Schulung* (niem.) — szkolenie polityczne i światopoglądowe. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *Weltanschauung* (niem.) — światopogląd. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> *Volk ans Gewehr* (niem.) — naród pod bronią. [przypis edytorski]

wyglądają jak szczury z małymi warkoczami zwisającymi im po obojczyki; *Backfische*<sup>206</sup> w najwzdzięczniejszym wieku. Towarzysze ich śpiewają dość „grube” piosenki, a one posłusznie powtarzają drastyczne refreny, przy czym twarze ich są pozbawione wszelkiego wyrazu. Maski tępoty. Jak się dla nich ten wieczór skończy? Trudno doprawdy zrozumieć tę oddalającą się od Europy Trzecią Rzeszę.

Znowu zmuszam się do uprzytomnienia sobie, że tu widzimy tylko napływ elity, a jak wiadomo, elita w państwach totalnych jest elementem często nietypowym, a nawet obcym i — powiedzmy — nie zawsze sympatycznym.

#### Entuzjaści dyktatury

Tak by się chciało spotkać cudzoziemca, móc się z kimś dzielić wspólnym zdumieniem. Na *Parteitag* na ogół cudzoziemców jest niewielu. Dziennikarze — przeważnie zapracowani lub zblazowani i przeraźliwie moralnie obojętni, a niedziennikarze — to znowu zbiór fanatyków totalitaryzmu. Znałem dotychczas dziwaczki genewskie, znałem milionerki jeżdżące co roku do Moskwy, ale nie znałem menażerii *poputczików* dyktatury. Są oni o wiele bardziej „pomyleni” od przedstawicieli tamtych dwóch grup: młodzi Anglicy z długimi brodami; stare wymalowane Francuzki, witające z rozrzewnieniem *le Führer* wyprostowaną prawicą, a pod pachą lewicy trzymające pekińczyka; faszyci łotewscy, angielscy, irlandzcy, węgierscy itd.

Jedni Włosi swych dziwaków nie przysłali. Obecna jest oficjalna delegacja faszystów, która na całą norymberską histerię spogląda okiem wyraźnie zblazowanym i nawet pogardliwym.

Większość dziwaków — byli to goście partii. Aż zdumienie bierze, że partia nie robi poważniejszych starań o ściągnięcie bardziej znaczących, choćby nie byli tak bezkrytycznymi entuzjastami. Rezultat — nie ma nikogo o jakimkolwiek bardziej znanym nazwisku czy marce. Ci nieważni dziwacy są za to za swoje dziwactwo nagradzani, noszą ich na rękach.

Jedną z prawdziwie rozkosznych rozrywek w czasie *Parteitag* było posiedzieć w hallu Grand Hotelu. Przechodzi von Blomberg<sup>207</sup>, szeleszczący orderami, w płaszczu mundurowym z czerwoną podszewką. Podszewka ta przypomina czasy, kiedy mundur nie wiązał się jeszcze w myśli z czymś tak okrutnym jak Wielka Wojna. Za nim drepce adiutant już zupełnie pozbawiony przedwojennego sznytu. W fotelu siedzi jakaś dama, prawdziwa dama, trochę przypomina ostatnią cesarzową tutejszą. Szyję ma ujętą w biały tiul naciągnięty na sztywną obrożę z fiszbinów. Uczesanie — rok 1908. Wita generała po hitlerowsku, ale masa staroświeckich bransoletek z brelokami i pierścionków o zamierających perłach nadaje temu gestowi pewną dystynkcję i kobiecość. Opodal siedzi dwóch z SA. Widać, że z ludu, bo ręce strasznie spracowane. Piją piwo i przyglądają się w milczeniu wielkim tego świata. W innym kącie quasi-międzynarodowo wyglądająca pani rozmawia z chłopką w pięknym autentycznym stroju. Tylko zachowanie się i twarz zbyt mało ludowe. Boję się, czy to nie jaśniepanienka z pałacu, która się bezczelnie zgrywa. Przy barze na wysokich taboretach już wyraźnie pseudowieśniaczki w pseudostrojach piją koktajle. Poza tym goście honorowi *Auslandu*<sup>208</sup>. Tu przeważają dwa typy: albo operetkowy arystokrata à la Redo<sup>209</sup>, albo wyraźny łyk-sklepikarz. Przy każdej grupie cudzoziemców siedzi jakiś Niemiec, przeważnie w mundurze, ale mimo to wygląda dystygowanie i międzynarodowo. Dotrzymuje towarzystwa, objaśnia, ułatwia i wtlacza propagandę. Stara Angielka dziękuje za wspaniałe róże, które zastała u siebie w pokoju: „Jacy wy wszyscy jesteście dobrzy i kochani”... Zewsząd słyhać świetną francuszczyznę, angielszczyznę, *lingua toscana in bocca tedesca*<sup>210</sup> i tylko przy uważnym przysłuchaniu się odnajdziemy tłuste niemieckie „r”. Przy szatni stale przepełnionej stoi w kolejce w bardzo pomiętym mundurze szturmowca *Parteigenosse* Hohenzollern i czeka, aby oddać płaszcz.

<sup>206</sup> *Backfische* (niem.) — podlotki. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> *Blomberg, Werner von* (1878–1946) — minister wojny Rzeszy w latach 1935–1938, feldmarszałek i naczelny dowódca Wehrmachtu. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *Ausland* (niem.) — zagranica. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *Redo, Józef* (1872–1941) — polski śpiewak i aktor operetkowy. [przypis edytorski]

<sup>210</sup> *lingua toscana in bocca tedesca* (wl.) — język toskański w ustach niemieckich. Autor żartobliwie nawiązuje tu do powiedzenia: „lingua toscana in bocca romana” (język toskański w ustach rzymskich), które opisuje ideal doskonalą włoszczyznę. [przypis edytorski]



Oglądam się, widzę, że wchodzi mój dobry znajomy, Anglik, oficer i adiutant jednego z książąt krwi. Miałem go dotychczas za przeciętnego, normalnego oficera. Pytam, co tu robi. Odpowiada, że jeszcze kiedy był w okupacyjnej armii nadreńskiej, zużył urlop, aby pojechać do Monachium i zapoznać się z ruchem narodowosocjalistycznym. A przecież teraz należy do *British Mystery*<sup>211</sup> (druga litera „i”, nie „y” — zaznacza z naciskiem). Pytam się, co to za organizacja, ale właściwie nie jestem już ciekaw. Sama nazwa i ton mego rozmówcy dają mi do zrozumienia, że mam tu do czynienia z jakimś mętnym, mistyczo-antysemitycznym ruchem. Oczywiście, jak każdy ruch, *British Mystery* różni się zupełnie od wszystkiego innego i od niczego nie pochodzi, ale zdaniem mego przyjaciela jednakże można się czegoś w Norymberdze nauczyć. Wyraźny bzik, którego przez jedenaście lat naszej znajomości potrafiłem nie dostrzec. Ale tacy już są Anglicy.

Pod znakiem munduru

Wąskie i kręte ulice miasta pękają od ruchu. Chodniki nie wystarczają dla przechodniów, a jezdnia zapchana jest tramwajami, autokarami wiozącymi wycieczki okolicznościowe, samochodami wojskowymi i partyjnymi. Ruch ten co chwila musi być wstrzymywany, aby dać drogę jakiejś maszerującej kolumnie z orkiestrą lub częściej ze śpiewem. Śpiew ten jest zawsze świetnie rytmiczny, choć trochę ponury, ale za to nowe czy też wznowione marsze nie stoją kompozytorsko na wysokości niemieckiej tradycji muzycznej. Czasem spotyka się milczącą kolumnę, jak na przykład oddział pielęgniarek, a czasem słychać piskliwy dziecięcy śpiew, gdy kroczy kompania *Hitlermädel*. Kolumna przechodzi, pojazdy znów ruszają. Wozom prywatnym nie wolno w ogóle jeździć po mieście. Ci, co przybyli na *Parteitag* samochodami, muszą z ich używania tutaj zrezygnować. Tylko dość nieliczne taksówki mają prawo krążenia. Ruch jest tak wielki, że na wszystkich bardziej ożywionych placach i skrzyżowaniach ulic, poza istniejącymi już żelaznymi barierami dzielącymi chodnik od jezdni, stoi jeszcze kordon esesmanów, powstrzymujący falę przechodniów. Głośnik wciąż ryczy instrukcje dla pieszych, dla pojazdów, informacje o zmianie kursu tramwajów, a czasem nadaje płomienne mowy z kongresu. Słowem — *inferno*. I to trwa bitych osiem dni, bo już w przeddzień otwarcia *Parteitagu* ruch był wprost fantastyczny. Cóż dziwnego: miasto liczy wraz z rozległymi przedmieściami około czterystu tysięcy mieszkańców, a wiadomo, że w okresie zjazdu partyjnego same koleje sprzedały osiemset tysięcy biletów do Norymbergi. Większość tych przyjezdnych, choć mieszka w różnych obozach poza miastem, stara się jednak przebywać jak najwięcej w centrum, czyli w obrębie starego stłoczonego miasta. Obserwując ten bez końca przewalający się ruch, krzyk przekupniów, odgłosy muzyki z kawiarni i maszerujących orkiestr, wciąż myślę, że w mniejszych rozmiarach tak właśnie musiało się dziać w Polsce na elekcjach, a na Zachodzie w czasie soborów. Tylko że tam widać było podobno wybryki indywidualnego zbytku i zbiorowej rozpusty, a tu rzeczy mają się odwrotnie. Łaziłem nocami po mieście i nie spotkałem ani jednej, że tak powiem, ćmy nocnej. Jak już pisałem — w parkach głucho. Pytam Niemca o wytłumaczenie. Tyle młodzieży wolnej od rutyny codzienności, a ogrody po nocach tak nienaturalnie dziewicze. Mój znajomy odpowiada, że sam dobrze nie rozumie, ale wie, że tak bardzo protegowana przez reżim *Kameradschaft*<sup>212</sup> powoduje wielkie wzmoczenie konsumpcji piwa, co może w dostatecznym stopniu wypełnia młodzieży wieczory. Nie dziwię się zresztą, że Niemka, jaką ją pragnie widzieć Trzecia Rzesza, ułatwia ascezę „odrodzonym” Niemcom. Idę zatłoczonym chodnikiem. Nagle sześciu policjantów w sposób nadzwyczaj gwałtowny „oczyszcza” chodnik przed wejściem do jakiegoś hotelu. Po trzech z każdej strony wstrzymują ruch pieszych. Przechodzę na przeciwległą stronę ulicy, aby się lepiej przyjrzeć. Przypominam sobie, że w hotelu tym mieszka Himmler i że u wejścia stoi warta policyjna. Wtem, nie wiadomo skąd zjawia się na środku jezdni trzech policjantów, następuje nieprawdopodobnie zmechanizowana zmiana warty. Oczy miotają płomienie, *Gänseschritt* wprost imponuje swą baletową, choć niepotrzebną techniką. Menuetek na miejscu skończony i złuzowana warta odchodzi jak w filmie rysunkowym. Stoję i uśmiecham się. Nagle sły-

<sup>211</sup>*English Mystery* — polityczne i ezoteryczne ugrupowanie założone w r. 1930 w Wielkiej Brytanii. Postulowało przywrócenie systemu feudalnego ze ściśle hierarchicznym społeczeństwem. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*Kameradschaft* (niem.) — koleżeństwo. [przypis edytorski]

szę koło siebie groźny głos: *Warum lachen Sie?*<sup>213</sup> — mówi mi jakiś mały człowieczek trzymający za rękę umorusane dziecko.

Ma lat trzydzieści i jest typowym proletariuszem. W innym kraju byłby bezwzględnie przekonani lewicowych. Odpowiadam mu, że się nie śmiałem, tylko uśmiechałem, bo rozbawiło mnie rozagitowanie policjantów wstrzymujących tłum, jak gdyby przynajmniej sam Führer miał przyjechać. Ale na to słyszę: przecież zmiana warty to akt uroczysty, nie tylko w wojsku, ale także w marynarce i w Luftwaffe, i w SA, i w SS, i w NSK, i w HJ, i w AD, itd., itd. Oczywiście nie staram się nawet stanąć w obronie mego świętokradzkiego uśmiechu.

Żydzi

W całym tłumie i w ciągu całego tygodnia nie widziałem ani jednej żydowskiej twarzy. Wśród umundurowanych czasem zdumiewał wprost swą jawnością profil semicki, ale to dlatego, że Aryjczycy nie są jeszcze dość fizycznie zgłajszachtowani. Wiem jednakże, że w Norymberdze Żydzi są. Świadczy o tym chociażby ogromna, niedostępnie zamknięta, bardzo brzydka synagoga. Żydzi byli stąd wypędzani dwa razy. Ostatni raz w XV wieku, przy czym zamknięto bramy murem otoczonego getta, które się mieściło tam, gdzie obecny *Hauptmarkt* (od trzech lat *Adolf-Hitler-Platz*), i całą osadę wraz z mieszkańcami spalono. Na miejscu synagogi wybudowano cudowną *Frauenkirche*. Żydzi powrócili dopiero w połowie ubiegłego roku. Jak widzimy więc, Norymberga, kolebka „Stürmera” i stolica Streichera<sup>214</sup>, ma za sobą nie byle jaką żydożerczą przeszłość. Pytam, gdzie są Żydzi. Okazuje się, że albo nie wychodzą z domu, albo wyjechali na czas *Parteitagu*. Chcę coś kupić w sklepie konfekcji męskiej. Zamknięty. Myślę, że pora obiadowa. Powracam po południu i znów nie mogę się dostać. Idę do sąsiedniego sklepu i pytam o powód. *Es ist doch ein jüdischen Geschäft. Jüdische Geschäfte werden alle während des Parteitages geschlossen*<sup>215</sup>. Próbuję szczęścia w innych sklepach mających na wystawach to, czego szukam. Wszystko zamknięte. Idę więc do braci Aryjczyków. Sklepy wyglądają podrzędniej, tandetniej, mniej szykownie. Nigdzie nie mają tego, czego poszukuję. Czekam aż do dnia po zamknięciu zjazdu. Idę do jednego z żydowskich sklepów, przyglądam się wystawie i już chcę wejść, gdy bardzo zażenowana pani stojąca przy wejściu, typowa tercjarka, bez wieku i czarno ubrana, zagaduje mnie porozumiewawczym szeptem: *Verzeihen Sie, aber es ist ein jüdisches Geschäft*<sup>216</sup>. Odpowiadam, że dziękuję, że wiem, i wchodzę. Pytam pannę sklepową, która wygląda zupełnie na Aryjkę, czy ta damska warta zawsze tak sterczy. Mówi mi, że nie, że nigdy przedtem, że to tylko może chwilowo, dopóty, dopóki jeszcze jest taki duży zjazd ludzi nieznanających dobrze miasta. Jestem zapewne pierwszym klientem, gdyż przyjmują mnie prawie z rozrzewnieniem, chociaż z pewnym lękiem. Pytam, czy sklepy żydowskie były zamknięte dobrowolnie i dowiaduję się, że był rozkaz. Zrozumiałem jednak od razu, że niczego więcej się nie dowiem, bo i tych skromnych informacji udzielono mi po pewnym wahaniu i niechętnie. Obszedłem wszystkie sklepy, które w przeddzień były jeszcze zamknięte. Paniusie pilnowały wszędzie. Były tego samego pokroju, co sprawujące opiekę nad dziewczętami na dworcach. Dobre, zacne, ideowe. Wychował je sobie Gauleiter Frankonii, Streicher, za pomocą „Stürmera”. Ponieważ już na wiosnę bieżącego roku „Wiadomości Literackie” (nr 649) podały dość obszerną charakterystykę tego pisma, muszę tylko dodać, że jego ton superbrukowy, jego sadystyczno-pornograficzne zacięcie i jego niesłychanie niski poziom w niczym się nie zmieniły. Tygodnik ten czytany jest jednak powszechnie. Znajomi mi mówią, że ich kucharki nic innego czytać nie chcą, ale dziwi fakt, że wśród inteligencji w hallu Grand Hotelu niejeden pan spaceruje z tą szmatą pod pachą. „Stürmer” od początku istnienia wychodził w Norymberdze, podczas *Parteitagu* wybudował sobie kioski w całym mieście.

Antysemityzm

<sup>213</sup> *Warum lachen Sie?* (niem.) — Dlaczego Pan się śmieje? [przypis edytorski]

<sup>214</sup> *Streicher, Julius* (1885–1946) — założyciel pisma „der Stürmer”, które szerzyło nienawiść do Żydów. Organizator akcji bojkotu i pogromów. Gauleiter (naczelnik okręgu) Frankonii. Sądzony i powieszony w Norymberdze. [przypis edytorski]

<sup>215</sup> *Es ist doch ein jüdisches Geschäft. Jüdische Geschäfte werden alle während des Parteitages geschlossen* (niem.) — Przecież to jest sklep żydowski. Podczas Parteitagu wszystkie sklepy żydowskie będą zamknięte. [przypis edytorski]

<sup>216</sup> *Verzeihen Sie, aber es ist ein jüdisches Geschäft* (niem.) — Przepraszam pana, ale to jest sklep żydowski. [przypis edytorski]

U Streichera

Ciekawe byłoby zobaczyć człowieka, który bardziej niż ktokolwiek w Trzeciej Rzeszy jest odpowiedzialny za antysemitki kurs, którego bezwzględność jest znana, a który nawet wśród swych kolegów z hitlerowskiej elity uważany jest za uczciwego psychopata. Sposobność ta zdarza się nagle. Znajomi moi zostali zaproszeni przez redaktora odpowiedzialnego „Stürmera” na konferencję. Tym moim znajomym pozwolono przyprowadzić ze sobą, kogo zechcą. Wybór ich pada na mnie, a ja przyjmuję zaproszenie z radością, choć oznacza to, że nie zobaczę fajerwerku, jakiego świat dotychczas nie widział i którego koszt rzeczoznawcy oceniają na sumę siedmiocyfrową.

W hotelu, gdzie ma się odbyć konferencja, już w windzie spotykamy starą Angielkę o dwóch laskach, którą myśl, że zobaczy Streichera, niesłychanie podnieca. W sali poznaję i brodatych Anglików, i faszystę irlandzkiego. Słowem, dość reprezentacyjne przedstawicielstwo *poputczików*<sup>217</sup>. Rozdają nam różne druki. Ale głównie „Service Mondial”. Jest to biuletyn antysemitki agencji prasowej, drukowany w kilku językach. Zaczynam go przeglądać i znajduję tam dziwne zdania. W nawiązaniu na przykład do prześladowań religijnych w Rosji i Hiszpanii, dokonywanych jakoby pod egidą Żydów, czytam, że nigdy nie słyszano, aby kiedykolwiek zabito rabina lub spalono synagogę. Nabiera to cech, doprawdy, bojowego kłamstwa, kiedy jest wypowiedziane właśnie tu, w Norymberdze, w cieniu *Frauenkirche*. „Service Mondial”, jak zresztą wielu mówców partyjnych, wciąż popełnia te same grzechy przeciw logice. Raz twierdzi się, że Żydzi działają zawsze zgodnie, a znowu po chwili, że żrą się między sobą, jak to czynią wszystkie pasożyty — stąd proces trockistów. Dalej czytam, że statek sowiecki przywiózł broń do Barcelony, a broń ta uprzednio była przeznaczona dla Arabów w Palestynie. Powyższe zdanie wskazuje na propagandowe niechlujstwo. Więc jak to, sowieccy Żydzi wysyłają broń dla Arabów?

Ale wchodzi Streicher. Gruby, niski pan o orlim nosie i niskim czole. Jest z zawodu nauczycielem i na nauczyciela wygląda. Solennie, choć szybko, z rączką do góry, przechodzi przez całą salę, po czym przedstawiają mu nas wszystkich po kolei. Przeważająca liczba obecnych kłania mu się w pas — są wyraźnie zaszczyceni. Po przejściu przed „naszym frontem” staje za stołem i mówi przez pół godziny. Jest to fanatyk o gwałtownym sposobie wysławiania się. Nazywa, na przykład, dziennikarza, który zjawiał się jakoby niepowołanie na podobną konferencję w roku zeszłym i jakoby przeinaczył jego słowa: *Ein Schweinehund*<sup>218</sup>. Przemawia do zebranych jak do apostołów, którzy rozjadą się po świecie wzmocnieni tym wszystkim, co widzieli w Norymberdze i bardziej uzbrojeni do walki, jaką będą prowadzili w swoich krajach przeciwko Żydom. Przemawia jak papież do rozjeżdżających się misjonarzy. Ciągłe nam powtarza, że zapewne jesteśmy małymi, szarymi, u siebie nieznanymi ludźmi, a poza tym przypuszczalnie jesteśmy bardzo ubodzy, gdyż kto walczy z Żydami, jest zawsze w biedzie. Ale to nasze upośledzenie nie powinno nas zniechęcać, gdyż walka nasza będzie zwycięska i przyjdzie dzień, kiedy wyjdziemy z mroków naszej przeciętności. Nie chodzi też o liczbę nas, bojowników — ale o ducha, jaki nami kieruje. Niemcy nie mają zamiaru zwalczania żydostwa w innych krajach, chcą tylko pomagać w uświadamianiu społeczeństw co do sprawy żydowskiej. Gdy takim społeczeństwom spadną zasłony z oczu, gdy postanowią działać — Niemcy chętnie wypożyczą im swoich specjalistów zaprawionych w walce. Antysemityzm już wisi w powietrzu i w Skandynawii, i w Anglii. Streicher pragnąłby nawet sojuszu z Anglią. Ręka ku Anglii jest przecież wyciągnięta, tylko Anglia tej przyjaznej ręki jeszcze nie przyjęła. (Jest to zdanie dość mętne, w którym dano do zrozumienia, że dzieje się to z powodu wpływów żydowskich). Dalej mówi o żywiołowości antysemityzmu, który sprawia na przykład, że w Szwajcarii pisma antyżydowskie wciąż podlegają konfiskacie i wciąż pojawiają się pod nowymi tytułami. Wreszcie, doprowadziwszy się do odpowiedniego podniecenia, oznajmia nam, co następuje. Ludzie myślą, że zagadnienie żydowskie może być rozwiązane inaczej niż przez krew. Jest to pogląd niesłychanie mylny. Aby zagadnienie żydowskie rozwiązać, należy pójść drogą krwi. Następnie, może pragnąc usprawiedliwić ostrożność ostatnich zdań, które zresztą zyskały sobie wśród obecnych głośnie oklaski, Streicher zaczyna tłumaczyć, że Żydzi dochodzili zawsze do wpływów i potęgi po mi-

Antysemityzm

<sup>217</sup> *poputczik* (ros.) — towarzysz drogi, zwolennik. [przypis edytorski]

<sup>218</sup> *ein Schweinehund* (niem.) — świński pies. [przypis edytorski]

lionach trupów, że wylali już tyle nieżydowskiej krwi, iż należy w imię bezpieczeństwa całego świata wytepić ich doszczętnie. Nawet tradycyjne rysy szatana z bajek są rysami semickimi. To on przecież mówi: „Jeżeli padniesz przede mną na kolana i będziesz się do mnie modlił — dam ci cały świat”. Jedynym pierwiastkiem zła na świecie jest żydostwo, innego nie ma. Teorię tę Gauleiter Frankonii uzasadniał obszerniej w sposób na poły teologiczny. Była jeszcze mowa o Adamie, Ewie i wężu, oraz że tym wężem, któremu trzeba łeb zetrzeć, jest właśnie żydostwo. Po tych groźnych akcentach mówca uderzył w strunę idylliczną. Nakreślił obraz, jak to będzie pięknie, kiedy wszyscy, w czyich żyłach płynie czysta i szlachetna krew aryjska, będą sobie wreszcie braćmi, bo nie będzie komu ich skłócać. Popatrzyłem na salę: w pierwszym rzędzie siedział gruby, oliwkowy, obleśnie wyglądający Włoch z kruczymi włosami, wywalonymi lubieżnie wargami i krogulczym nosem. Nadawał się znakomicie na pierwszą stronę „Stürmera”. Coś bardziej dalekiego od aryjskości trudno było sobie wyobrazić. Ale dla Streichera — to brat.

W ogóle w dzisiejszych Niemczech mówi się o krwi z jakąś zmysłową intymnością, w jakiś łakomy sposób — i zależnie od okoliczności ta krew nabiera szlachetności wina, odżywczości rosółu lub brzydzi jak niedające się wymienić ciecze.

Wyszedłem z tej konferencji, jak się budzi ze złego snu. Nienawiść przeraźliwie wykoślawiła tam wszelkie pojęcie o rzeczywistości. Długo nie mogłem przyjść do siebie. Ta konferencja prasowa to chyba najsilniejsze wrażenie, jakie wyniosłem z *Parteitagu*.

#### Lohengrin i robot

Führer przejeżdża przez *Bahnhofplatz* minimalnie cztery razy dziennie, a były dni, kiedy działo się to razy szesnaście. Ale to wszystko entuzjastom nie wystarcza. Po obejrzeniu Führera raz — nie ruszają się z miejsca w nadziei, że za kilka godzin znowu tędy przejedzie. Nadzieja nie bywa zawiedziona. Zjawia się po pewnym czasie. Stoi w otwartym samochodzie, obok szofera, głowę ma przeważnie gołą, ubrany jest w brązowy mundur lub brązową koszulkę i jeżeli salutuje ręką nie wyprostowaną, ale odrzuconą w tył — wywołuje to asocjacje z Lohengrinem i labędziem. Słyszałem w *Württembergischer Hof*, gdzie mieszkała większość dziennikarzy, jak szeptano: znowu Lohengrin<sup>219</sup>. Przejazdy Führera, pędzący ze wszystkich bocznych ulic tłum, kiedy się dowie, że przejechał już samochód policyjny z żółtą flagą, poprzedzający jego samochód — wszystko to byłoby obojętne i łatwe do zniesienia, gdyby nie przeraźliwy chaos, jaki każdy z tych przejazdów wprowadza w ruch uliczny. W strategicznych punktach miasta, przewidując liczne i długotrwałe przemarsze różnych formacji, zbudowano mosty przez jezdnie dla ułatwienia ruchu pieszych. Ale za każdym razem, kiedy zjawia się ów samochód policyjny w charakterze Jana Chrzciciela, zamyka się też mosty aż do przejazdu Hitlera, czasem na pięć minut, czasem na półtorej godziny.

Moja matka, Galicjanka, przyzwyczajona do Wiednia Franciszka Józefa, opowiadała mi ze zgrozą po swym pierwszym pobycie w przedwojennym Petersburgu, że wstrzymano tam ruch pojazdów na całe pięć minut przed przejazdem cesarza. Przypomniało mi się to w Norymberdze i pomyślałem, że od tego czasu zrobiliśmy postępy.

Iluż to w tym pędzącym, aby ujrzeć Führera, szczerze bałwochwalczym tłumie musi być dawnych równie szczerych socjalistów i komunistów, iluż katolików, którzy potrafią łączyć kult Boga i Führera z równie naiwną nieświadomością zasad i walorów, jak klasyczne dewotki zatruwające życie otoczeniu. Ludzie ci nie pamiętają już prawie, że byli kiedykolwiek inni, że myśleli za siebie. Widok ich dzisiaj raduje zapewne doktora Leya<sup>220</sup>, który w jednym z przemówień wyraził opinię, że termin *Privatmann* nie powinien nadal istnieć. Zastanawiając się też nad społeczeństwem niemieckim, a zwłaszcza nad efektywną jego próbką oglądaną w Norymberdze, nagle uświadamiam sobie pewne zestawienie wspomnień. Przypominam sobie balet widziany przed laty. Tańczony był w maskach pozabawionych wyrazu jak twarze lalek. Normalnemu współczesnemu tańcowi salonowemu maski te nadawały cechy makabryczne. Makabrycznie też oddziałują na obserwatora świadomość, jaką się ma w Niemczech, że każda zniemacka zaczepona osoba zareagu-

<sup>219</sup>*Lohengrin* — postać z XIII-wiecznej legendy; bohater opery Ryszarda Wagnera (1850). [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*Ley, Robert* (1890–1945) — gauleiter okręgu Południowa Nadrenia, w latach 1933–1945 przywódca Niemieckiego Frontu Pracy. [przypis edytorski]

je zawsze jednakowo na dane pytanie, że każdy Niemiec przedstawia dziś groźny obraz robota, którego twarz została zeszlifowana przez obrabiarkę ustrojową.

„Wiadomości Literackie” 1936, nr 42 (674).

## FESTIWAL NACJONALIZMU

*Nürnberger Trichter* <sup>221</sup>

Zanim jeszcze nastąpiło oficjalne otwarcie *Parteitagu*, *Reichspressechef* doktor Dietrich<sup>222</sup> wydał herbatkę dla całej prasy, podczas której wygłosił dłuższe przemówienie. Powiedział to, co zawsze mówi się prasie: że jest potęgą (w ustrojach totalnych prasa dawno przestała w to wierzyć i wysłuchuje tych kłamliwych komplementów z pewną gorczyczą), potem wskazał, jakie powinny być konstruktywne zadania dziennikarstwa (znamy też te formułki, tak bardzo sprzeczne z założeniami prasy, jak ją rozumiano do roku 1917, czyli do czasu, kiedy poczęto mieć jej za złe chęć informowania czytelnika, a natomiast poczytywać za jedyny jej cel wtłaczanie rządowej propagandy), wreszcie zabłysnął kilkoma zwrotami, jakich nie powstydziliby się wojewoda z *Rodziny* Słonimskiego. Próbka: mówiąc o hitleryzmie jako o najnowszej, a zarazem najprawdziwszej formie demokracji, oznajmił, że w tym ustroju „wolność została osiągnięta na wyższym poziomie i stała się twórczą powinnością dla dobra społeczeństwa”. Tak!

Wieczorem w operze odbyło się przedstawienie, oczywiście *Śpiewaków norymberskich*<sup>223</sup>. Wstęp mieli tylko członkowie partii. Miał to być zapewne rodzaj partyjnych rekolekcji, nasiąknięcie wagnerowskim germanizmem i łatwą norymberskich zestawień. Wyszli też tego wieczoru przywódcy ruchu świetnie wyszkoleni w śpiewaniu unisono, którym mieli zachwycać tłumy przez cały następny tydzień, no i przez cały rok. Kiedy siedziałem później na posiedzeniach kongresu partyjnego, często widziałem we współczesnych mówcach potomków *Meistersingerów*, przypominały mi się wszystkie anegdoty o naiwności i wzajemnej adoracji panującej wśród tych zacnych mieszczan, a nawet czasem uderzała mnie nuta prawdziwego natchnienia i rozsądku, jak gdyby na krążgankach klasztoru świętej Katarzyny wystąpił nagle jakiś nowy Hans Sachs<sup>224</sup>.

Wąłęsałem się po mieście. Na zwiedzanie zabytków jest już późno, ale sklepy z upominkami są otwarte. Dla tych, co cierpią na perwersyjne zamięłowanie do szpetoty, ale są za to obdarzeni zmysłem humoru — mogą być one źródłem wielkiego używania. Mnie uderzyły szczególnie dwie rzeczy.

Ukochanym kwiatem Führera jest szarotka — jest to niewątpliwie znamienne i pokazuje dokładnie prawdziwie mieszczański charakter rewolucji narodowosocjalistycznej. Szarotki robi się z wszelkich możliwych materiałów i przypina się je wszędzie; na kapełusze, biusty i klapy od marynarek. Bywają egzemplarze ze szkiełkiem pośrodku i przez to szkiełko można coś zobaczyć. Nie wiem co, ale słyszałem okrzyki: *Ach, wie süß*<sup>225</sup>. Tak oto wygląda kraj pozbawiony żydowskiego sceptycznego sarkazmu.

Jakaś tradycja norymberska spowodowała, że wszędzie widać pocztówki przedstawiające dwóch średniowiecznych pedagogów, którzy wlewają za pomocą lejka wprost do głowy kretyńskiego chłopaka jakąś ciecz, przypuszczalnie skroploną mądrość. Ten lejek jest jakby nieurzędowym współherbem miasta. Nic nie wydało mi się bardziej odpowiednim symbolem dla *Parteitagu* niż właśnie ów *Nürnberger Trichter*. W stosunku do uczestników stosowano propagandę równie bezpośrednio, w sposób równie prostacki, nieco brutalny i znachorski, jak w stosunku do chłopczyka z pocztówki.

### Forum

O jedenastej rano następuje uroczyste otwarcie kongresu w *Luitpoldhalle*. Mieści się ona za miastem i stanowi najstarszą część składową powstającego obecnie forum dla dorocznych pomp obecnego ustroju. Tam członkowie partii mają szukać pokrzepienia serc

<sup>221</sup>*Nürnberger Trichter* (niem.) — niemiecki lejek; znaczenie tego pojęcia autor wyjaśnia w artykule. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Dietrich, Otto (1897–1952) — szef prasowy Trzeciej Rzeszy w latach 1933–1945. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*Śpiewacy norymberscy (Meistersinger)* — opera Ryszarda Wagnera (1868). [przypis edytorski]

<sup>224</sup>*Sachs, Hans* (1494–1576) — norymberski poeta i dramaturg. Sława jego odrodziła się w epoce romantyzmu. Był jedną z postaci występujących w *Śpiewakach norymberskich* Wagnera. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*wie süß* (niem.) — jak słodko. [przypis edytorski]

i wiary w potęgę swej sprawy przez przyszłe tysiąclecia. Mówię: tysiąclecia, gdyż rozmiary, koszty, spokój rozplanowania prac dają właśnie wrażenie już nie trwałości, ale niemal wieczności obecnego porządku rzeczy.

Forum będzie miało osiem kilometrów długości i trzy i pół kilometra szerokości. Praca nad ukończeniem tej bez wątpienia największej sceny świata potrwa do roku 1943. Przyszła sala kongresu mieścić będzie sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Na scenie znajdzie się miejsce dla pięciu tysięcy. Razem będą jeszcze dwie „małe” sale: jedna na sześć tysięcy osób, druga — na dwa tysiące. Obok *Luitpoldhalle* znajduje się *Luitpoldarena*, pięćdziesiąt tysięcy widzów może obejrzeć tu sto pięćdziesiąt tysięcy „aktorów”. *Luitpoldarena*, wykonana ściśle według własnoręcznych szkiców Hitlera, jest doprawdy piękna, harmonijna i pogodna. W innym końcu forum mieści się *Stadion*. Jest to owalna arena, na której odbywają się zawody sportowe i gdzie defilowało czterdzieści tysięcy chłopców z *Hitlerjugend* i pięć tysięcy *Hitlermädel*. Terenem większych „spektakli” — zwłaszcza zbiórek kierowników politycznych, służby pracy i ceremonii wojskowych — jest *Zeppelinwiese*. Stanać tu może dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi; widzów może być znowu tylko siedemdziesiąt tysięcy. Okazało się, że *Zeppelinwiese* jest już zupełnie niewystarczająca. Toteż (trzeba przyznać, że ci ludzie myślą o wszystkim) powstał projekt Pola Marsowego, przeznaczonego wyłącznie na pokazy wojskowe. Pole to będzie pięć razy większe od *Zeppelinwiese*, osiemdziesięciometrowej szerokości szosa połączy je z *Luitpoldarena*. Po drodze tej będą mogły swobodnie maszerować pułki w formacjach frontowych. W ogóle przy opisywaniu nowych dróg czy arterii miejskich używa się nieraz, jako miary szerokości, nie pocziwych pacyfistycznych metrów, ale wylicza się, ilu ludzi w mundurach może kroczyć po nich „w dyszel”. A więc do podmiejskiego obozu SA prowadzi nowa droga — szerokości czterdziestu metrów albo czterdziestu ośmiu ludzi. Przypomina to określenie pojemności wagonów towarowych z czasów wojny.

#### Otwarcie *Parteitag*

Wróćmy do kongresu. W głębi długiej hali, w której zasiadło już kilka tysięcy osób, znajduje się estrada z mównicą pośrodku i kilkoma rzędami krzeseł na coraz to wyższych stopniach; za krzesłami jest miejsce na sporą orkiestrę symfoniczną. Panuje ogromny gwar. Nagle rozchodzi się wieść, że lada moment przybędzie On. Dyrygent daje znak orkiestrze i pod dźwięk jakiegoś klasycznego marsza wchodzi Führer. Wszyscy już dawno powstałi z miejsc i obrócili się twarzami ku przejściu. Teraz ręce się podnoszą. On idzie szybkim krokiem z ręką wyprostowaną przed siebie, a za nim — jak rój — wszystko, co ważne i odpowiedzialne w Trzeciej Rzeszy. Przy każdej solennej okazji w żadnej monarchii czy normalnej dziewiętnastowiecznej republice nie można było ujrzeć od razu wszystkich ludzi reprezentujących siłę i władzę ustroju. Wkraczają za Führerem i zajmują miejsca na estradzie. W pierwszym rzędzie na lewo od przejścia zasiada najpierw Streicher, jako gospodarz, gdyż rzecz dzieje się we Frankonii, potem wicedyrektor i „następca tronu” Rudolf Hess, o twardej, ale przyjemnej do oglądania twarzy (najlepsza to twarz w partii), i dopiero Hitler. Od przejścia na prawo pierwsze miejsce ma Goering. Muzyka wciąż gra i znów środkowym przejściem poczet sztandarowy, złożony z trzech esesmanów, wnosi sztandar Führera i ustawia się na estradzie w przejściu między rzędami krzeseł. Wreszcie w drzwiach wejściowych, w głębi tej ogromnej sali robi się nagle czerwono i złoto. To chorążowie, krocząc parami, wnoszą znaki partyjne wszystkich gauów<sup>226</sup> Rzeszy. Teraz z dwóch boków wysuwają się gęsiego dwa rzędy esesmanów i ustawiają się, każdy w szerokim rozkroku, szpalerem u stóp estrady, tworząc w ten sposób mocną czarną linię podkreślającą zestawienie kolorów na estradzie; jest tam najpierw brązowa plama potentatów, a wyżej migotanie i bogate barwy lasu znaków i wreszcie na szczytowej ścianie ogromna chorągiew.

Chwila ciszy. Orkiestra zaczyna grać Wagnera. Gra świetnie. Trwa to dość długo. Skupienie jest takie, jakie powinno być w kościołach. Po muzyce chwila milczenia. Przekładamy jeszcze niedopite witaminy Nibelungów. Hess otwiera kongres solennie, rzeczo-

<sup>226</sup>*Gau* — w Trzeciej Rzeszy jednostka administracji NSDAP, później także państwowa, na jej czele stał gauleiter. [przypis edytorski]

wo i krótko. Na mównicę wchodzi Lutze<sup>227</sup>. Jego rolą jest odprawić egzekwie po narodowych socjalistach poległych za sprawę od roku 1923. Wymienia on w porządku chronologicznym imię i nazwisko oraz dzień, miesiąc, rok i miejsce śmierci każdego z nich. Trwa to zapewne ze trzy kwadranse. Zastanawia mnie, że właściwie więcej honoru oddaje się tym, co polegli na frontach wewnętrznych niż na wojnie. Różne są zapewne tego powody; po pierwsze, jest ich mniej i przez to łatwiejsze jest wyliczenie; po drugie, ofiarom wojny nikt ostatecznie bezpośrednio nie zawdzięcza dojścia do władzy. Następnie wita kongres Streicher, w mowie jego padają pierwsze wyzwiska antysemityczne. Potem monachijski Gauleiter Wagner<sup>228</sup> odczytuje przez blisko dwie godziny proklamację Führera. Słucha się jej bez najmniejszego znużenia i znużenia. Uderza swą wyborną, przejrzystą budową i logiką. Pisana jędrnie, wolna jest na ogół od szumnej frazeologii. Tam, gdzie sceptyk mógłby podejrzewać autora o błagę czy wprost złą wolę — objawia się tylko pewna naiwność człowieka nowego, pewne małowieszczańskie zadowolenie z małych, jeśli chodzi o skalę światową, rzeczy. Refleksje te nasunął mi na przykład ustęp o kulturze; chodzi tam zresztą prawie wyłącznie o teatr. Z teatrem tym i Hitler przez swe upodobania i przyjaźnię, i Goering przez swój ożenek są, jak wiadomo, specjalnie zżyci. Jednakże wiadać zaraz, że nie są to wygi teatralne, niewiele podróżowali, mało co widzieli, a tu, co widzą — szczerze ich zachwyca. Kończąc ustęp o rzekomym wielkim odrodzeniu teatru niemieckiego — czego przykładów proklamacja zresztą nie podaje — Führer ironicznie zaznacza, że wszystkiego tego zdołano dokonać, pomimo że żaden Żyd nie brał w tym udziału. Wywołuje to, jak i inne liczne ustępy proklamacji, długie oklaski plus śmiech. Ujrzałem w tej chwili Goeringa. Trzęsie się cały i podskakuje w fotelu jak piłka. Śmieje się do rozpuku i drobno klaszcze w tłuste dłonie. Jest świetnie rubaszny. Jego kobieca twarz staje się przeraźliwie różowa, prawie łososiowa. Bije z tej postaci jakiś infantylny sadyzm. Tak właśnie musiał wyglądać Neron, gdy przygrywał pożarowi Rzymu i żał tylko, że nigdy nie zobaczymy Charlesa Laughtona<sup>229</sup> w roli premiera pruskiego. Akcenty antyżydowskie w tym pierwszym dniu kongresu i w toku tej przeważnie świetnej proklamacji rażą swym niskim poziomem i brakiem uzasadnień dla pewnych wprost śmiesznych zarzutów. Robi to wrażenie niepoważne, jakiegoś szczegółlika czy jakiejś osobistej idiosynkrazji obniżającej ogólny poważny ton. Tego pierwszego dnia nie wiedzieliśmy jeszcze, że w toku zjazdu szczegółlik ten urośnie do rozmiarów niemal tematu głównego i że do tematów istotnych powracać się będzie zadziwiająco rzadko.

Póki Führer chwali się i przypomina, czego dokonał — jest miazdząco przekonujący, gdyż nawet odrzuciwszy hojny rabat sceptyków, pozostaje aż nazbyt wiele dla entuzjastów. Gdy mówi o tym, że przywrócił spokój wewnętrzny — przeczyć temu nie sposób. Bez wątpienia obecnie bać się można tylko reżimu i poza tym niczego więcej. Zresztą jest to całkiem dostateczne. Zdaniem partii ludzie, którzy pomimo strachu upierają się przy swoim własnym odrębnym życiu i tak zasadniczo prawa do życia nie mają. Więc de facto jest spokój. Skądinąd straszny jest ten spokój w ludzkich głowach.

Kiedy Führer domaga się kolonii — nie sposób odmówić mu racji. Pytanie tylko, jak rasiści traktować będą Murzynów. Kto wie: może zachowywać się będą z mniejszą obłudą od innych potęg kolonialnych. Kiedy zapowiada „czterolatkę” stwarzania surowców syntetycznych — napawa słuchaczy łącznie ze sceptykami poczuciem zupełnej pewności, że zapowiedź będzie spełniona, i to z nadwyżką. Wyjaśniam sobie w tej chwili, że jest dla mnie rzeczą niemożliwą wątpić w jakąkolwiek zapowiedź kierowników hitlerowskiej Rzeszy. Niepowodzenie czy klęska w sprawie, którą uznano tam za dostatecznie dojrzałą, aby o niej powiadomić najszerszy ogół — jest wręcz nie do pomyślenia. Skuteczność tego ustroju robi wrażenie czegoś tak nieuniknionego jak parowy walec na budującej się szosie. Słowem: pewność i zaufanie. Tę moją intuicję potwierdza w tej chwili osobiste spostrzeżenie. Z miejsca, które zajmuję, dzieli mnie od Hitlera jakieś osiem metrów. Siedzę wprost naprzeciwko, Gauleiter Wagner odczytuje zwięźle sformułowaną zapowiedź o surowcach i widzę, jak Hitler powtarza sobie po cichu za mównicą słowa tej zapowiedzi,

<sup>227</sup> *Lutze, Viktor* (1890–1943) — szef sztabu SA po zamordowaniu przez hitlerowców Ernsta Röhma. [przypis edytorski]

<sup>228</sup> *Wagner, Adolf* (1890–1944) — gauleiter NSDAP w Bawarii. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *Laughton, Charles* (1899–1962) — aktor angielski, wybitny odtwórca ról szekspirowskich. Laureat Oscara za rolę pierwszoplanową w filmie *Prywatne życie Henryka VIII* (1933). [przypis edytorski]

dobrze mu znane, gdyż sam je przemyślał, a potem napisał: powtarza je z wyrazem prawie że bólu i zgrozy przed odpowiedzialnością, jaką w tej chwili bierze na siebie. Jest blady, na twarzy ma brzydki, śmieszny grymas, jaki się zdarza u ludzi, którzy cierpią. W tym momencie, kiedy on sam przed sobą składa swoje ślubowanie — najzatwardzialszy sceptyk, o ile jest uczciwy, nie mógłby dopatrzeć się kabotynizmu. Ale wkrótce potem logika i jasność wywodów zaczynają się nieco mącić. Mowa jest o chęci pokoju i akcenty te brzmią nutą nieklamanej szczerości, ale jednocześnie wciąż słychać o konieczności zbrojeń, gdyż nieprzyjaciół znajduje się jakoby *ante portas*. Nieprzyjacielem tym jest bolszewizm. Może ZSRR? — nie, gdyż kilkakrotnie podczas Parteitagu mówcy zaznaczali, że nie ma możliwości napadu ze strony ZSRR. Cały Parteitag był pod znakiem właśnie takich niejasnych pogroźek i wyzwisk oraz zapewnień o pokojowości i nieaktualności jakiegokolwiek agresji. Trudno zrozumieć, o co właściwie chodzi. Zdawać by się bowiem mogło, że przy presji na społeczeństwo, jaką wywiera się w Niemczech, o rozwoju komunizmu wewnątrz kraju mowy być chyba nie może. Wprawdzie cudzoziemcy mieszkający stale w Berlinie czy też miastach portowych Rzeszy twierdzą, że robota komunistyczna mimo wszystko trwa, ale w porównaniu z innymi krajami jest niesłychanie słaba. Nienawiść do Żydów tłumaczy też niejedno. Pomimo procesu trockistów nie sposób nie łączyć w myśli elementu semickiego z ustrojem sowieckim. Nie wiadomo zresztą, czy znana nienawiść Hitlera do tego ustroju nie spowodowała niemieckiego ruchu antysemitycznego. Poza tym w tej antysemitycznej wrzawie musi też tkwić element taktyczny. Chodzi tu zapewne o skierowanie uwagi opinii publicznej na jakiś punkt zewnętrzny. Wszystko, byle nie introspekcja polityczna.

Co do zbrojeń, które świat bierze Niemcom niesłusznie za złe, stawia Führer ciekawe zapytanie: co by się działo, gdyby cały wysiłek kapitału i pracy, który pochłaniają zbrojenia, był zużyty na produkcję przemysłową. Nastąpiłby wówczas okres tak fantastycznego dumpingu, taniego wywozu niemieckiego, że chaos gospodarczy doszedłby niewątpliwie do objawów szczytowych, a wojna z problematycznej stałaby się wręcz konieczna.

Ale przez wszystkie te wywody przewija się złota, czerwona czy też czarna nić metafizyki nacjonalizmu. W ostatecznej analizie metafizyka rządzi Trzecią Rzeszą. Jak inaczej wytłumaczyć wciąż powtarzane podczas Parteitagu zdanie: że rozrodczość rasy nigdy nie przestanie być i troską władz, i obowiązkiem obywateli, i chlubą narodu — bez względu na to, do jakich kataklizmów (choć słowo to nigdy wyraźnie użyte nie było) taka „króliczość” może doprowadzić. Zagranica, moim zdaniem, nie bierze dość pod uwagę metafizyki nacjonalizmu niemieckiego. Jeżeli przyjdzie kiedyś do europejskiej masakry, może będą temu winne nie tyle zaborcze czy agresywne Niemcy, ile prosta, żywiołowa i naiwna miłość do munduru i maszerowania w szeregu, i oddawania się pewnej sprawnej mechaniczności u każdego poszczególnego Niemca.

Odczytywanie proklamacji Führera ma się ku końcowi. Następują ostatnie, okrągłe, pompacyjne, podnoszące na duchu okresy, których furcząca niemiecczyzna przypomina werbel bębna. Rozpływa się to w burzy oklasków. Führer wychodzi znowu w otoczeniu „królewiał”. Grupa ta, jej szybkie posuwanie się i barwność zawsze robi na widzu jakby batalistyczne wrażenie.

Wychodzimy i my. W autobusie, który mnie odwozi do miasta, otwieram „Timesa”. Czytam dziwnym zrządzeniem losu wywiad z generałem Smutsem<sup>230</sup>, może największym mężem stanu i myślicielem politycznym naszych czasów (w Polsce, niestety, zbyt mało znanym). Generał widzi we współczesnej formie nacjonalizmu, którego logicznym zwyrodnieniem staje się rasizm, jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw dla naszej cywilizacji. Ten urywek z „Timesa” wprowadza mnie nagle w świat zupełnie inny. Zrozumiałem w tej chwili, jak łatwo zapomnieć, że na świecie istnieje coś poza... narodowym socjalizmem.

Wracam do *Württembergischer Hof*. Tam wśród dziennikarzy wre dyskusja nad proklamacją. Znajomi moi, Szwedzi, zasadniczo broniący ustroju hitlerowskiego są wściekli na akcenty antyżydowskie, psuje im to ich redaktorską „linię”. Trudno było podobno

<sup>230</sup>Smuts, Jan Christian (1870–1950) — południowoafrykański polityk, filozof i wojskowy; premier Związku Południowej Afryki w latach 1919–1924 oraz 1939–1948. [przypis edytorski]



zmusić opinię szwedzką do przeknięcia zeszlenczonych ustaw<sup>231</sup>, ale teraz, kiedy Żydzi są już zatrzaśnięci w swym wysoce nieuprzywilejowanym getcie — po kiego diabła wracać do tego tematu? Przecież, mówią dalej, sam Goebbels ubolewa nad pseudonaukowością rasizmu i uważa, że rewolucja narodowosocjalistyczna dokonała tego, czego chciała, i nie potrzebuje się zasłaniać jakimiś niepoważnymi teoriami. Przecież Schacht<sup>232</sup>, według moich Szwedów, też coś tam jakoby oponuje. Są bardzo źli. Pytam innych dziennikarzy o powody braku wystąpień wyraźnie antyreligijnych, znajdowały się bowiem w proklamacji jedynie dość zawile do tej sprawy aluzje. Dowiaduję się, że jeszcze niedawno był taki moment, kiedy postanowiono zerwać konkordat i zabrać się poważnie za katolicyzm, ale wypadki w Hiszpanii spowodowały, że katolicy niemieccy stali się znacznie mniej bojowi, co z kolei pozwoliło reżimowi przypuszczać, że bez uciekania się do kroków drastycznych uda mu się stopniowo odciągnąć młodzież od Kościoła i że wkrótce wytworzy się stan podobny do tego, jaki panuje w Sowietach, a mianowicie że przy Kościele zostaną tylko starzy, a ci z czasem wymrą.

W obozach

Tego popołudnia zwiedzamy obóz *Arbeitsdienst*<sup>233</sup>. Jest to jeden z pięciu podmiejskich obozów, które choć są zajmowane tylko w czasie Parteitagu, posiadają jednakże stałe instalacje i do niczego innego nie służą. Obozy takie posiada wojsko, SA, SS, *Hitlerjugend* i właśnie *Arbeitsdienst*. Łączna ludność tych obozów w czasie krótkiego „sezonu” wynosi około trzystu pięćdziesięciu tysięcy osób. Stworzono dla nich nie tylko osobną elektrownię, ale także kompletny system wodociągów i kanalizacji.

W obozie *Arbeitsdienst* panuje rzeczywiście atmosfera przyjemna i beztronna. Chłopcy odbywający sześciomiesięczną przymusową służbę, zanim zostaną powołani do wojska, wyglądają na zdrowych i wesołych. Przyjemnie uderza brak „wymusztrowania” w obcowaniu z przełożonymi. Każdy namiot urządził od strony ulicy miniaturowy ogródek i udekorował szczytową stronę.

W tych „przyozdobieniach” dużą rolę odgrywa regionalizm, gdyż każdy namiot zamieszkały jest przez oddział pochodzący z innej okolicy, ale nie mniejszą rolę odgrywa też polityka. Wszelkie hasła i chwytliwe demagogiczne nacjonalizmu są zatem uplastycznione. Wszystkie hasła nienawiści i zemsty, rewizjonistyczne i antypolskie, widnieją tam w napisach i mapach. Dziwi to i zastanawia po bardzo odmiennym tonie mów kongresowych. Poza tym jest tu hojnie reprezentowana landrynkowa, kiczowata klikiwość, wyśmiewana już prawie ogólnie przed „odrodzeniem” 1933 roku, ale dziś ciesząca się najwyższym patronatem.

Z obozu *Arbeitsdienst* przejeżdżamy do *Hitlerjugend*. Atmosfera — typowo harcerska. Wszyscy chłopcy noszą się z drogimi aparatami fotograficznymi. Ta forma zbytku wręcz zdumiewa w Niemczech. Po obozie oprowadza nas wiedeńczyk, który jest kierownikiem *Hitlerjugend* w Królewcu. Broni swej organizacji przed niesłusznymi jakoby zarzutami, że szerzy ona ducha militarystyki i że jest przedszkolem wojskowym. Przeciwnie, chłopcy według niego nie widzą nawet broni, gdy tymczasem w Polsce podobne organizacje rzekomo uczą swych pupilów obchodzenia się nawet z karabinem maszynowym.

Po obozie chodzi z nami stary zabawny dziennikarz, Francuz. Zadaje pytania i wciąż porozumiewawczo do mnie mruga. Pyta więc, czy jest kaplica. Nie ma. A kapelani? Też nie ma, ale nasz *cicerone* usilnie tłumaczy, że obóz jest tylko tymczasowy, że oczywiście każdy chłopiec, który by wyraził życzenie pójścia w niedzielę do kościoła — natychmiast otrzyma przepustkę. (Główna parada *Hitlerjugend* przed Führerem zajęła właśnie całe przedpołudnie jedynej podczas Parteitagu niedzieli). A czy jest jaka świątynka Wotana<sup>234</sup>, pyta dalej bardzo poważnie Francuz. Zażenowanie rośnie. Nie ma. Jakim sposobem, przecież to religia państwowa. Na to młody Austriak już trochę bardziej stanowczo protestuje:

<sup>231</sup>zeszlenczone ustawy — ustawy norymberskie z 1935 r. wprowadzające rasistowską dyskryminację i ograniczenie praw ludności żydowskiej w Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>Schacht, Hjalmar (1877–1970) — ekonomista niemiecki, w latach 1933–1939 prezes Banku Rzeszy. Sądzony w procesie norymberskim, uniewinniony. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>Arbeitsdienst (niem.) — Służba Pracy. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>Wotan — bóg w mitologii germańskiej; opiekun zmarłych wojowników i myśliwych. [przypis edytorski]

„Widzi pan, to nie jest właściwie religia państwowa, jest to raczej *eine Weltanschauung*”. Ja nazwałbym to prędzej *Himmelanschauung*<sup>235</sup>.

Tego wieczora odbywa się w operze posiedzenie poświęcone sprawom kultury. Jak wszystkie posiedzenia norymberskie jest ono oczywiście wolne od wszelkiej dyskusji. Polega na przemowach programowych i samochwalnych zachwytach. O kulturze przemawiają długo Führer i Rosenberg. Z tych dwóch mów nie jestem w stanie wyłuskać czegokolwiek konkretnego, oczywiście poza akcentami rasistowskimi i antysemickimi, jak na przykład, że ani klimat, ani warunki geograficzne, ani wypadki historyczne nie mają wpływu na formowanie się charakteru i kultury danego narodu, gdyż o tym charakterze i kulturze decyduje jedynie niezmienny pierwiastek tkwiący w danej rasie po prostu od zawsze. Jakże różnorodni musieli być synowie Noego!

Posiedzenia, parady, propaganda

Przemówienia są długie, ciężkie i nadzwyczaj mgliste. O kulturze mówi się wciąż przez bardzo duże K, ale bez wymieniania jej życiowych objawów. Wiadomo tylko, że kultura ta już konała, głównie z winy Żydów, a że teraz pędzi ku niesłychanym wyżynom. Z tego przemówienia Führera, jak zresztą i z innych, widać, że musi dużo czytać, dużo rozmyślać nad historią, że uderzają go widoczne paralele, analogie i kontrasty, że lubuje się w syntetycznych skrótach i uproszczeniach, jakie czasem nasuwają przykłady historyczne — ale co do zadań kulturalnych swojego ustroju nie wypowiada nawet uproszczonych formuł.

Następnego dnia odbyła się parada *Arbeitsdienst*. Na trybunach nie ma ani jednego wolnego miejsca. Przyjeżdża Führer. Słychać jak zwykle wielotysięczny ryk. Pole zaczynają wypełniać oddziały. Maszerują sprawnie, gdy kolumna zawraca pod prostym kątem, nagle jak łuska srebrzą się oparte na ramionach łopaty. Takie pojawianie się i znikanie kilkudziesięciu tysięcy łopat wypada nad wyraz efektownie i wywołuje wśród widzów wielką radość. Stara Angielka koło mnie, która salutuje każdą flagę każdego oddziału, a potem krwiozerczo rzuca się na swój notes, ażeby nie uronić żadnego ochłapu swych bezcennych wzruszeń — doprowadza mnie do szału. Wciąż ubolewa, że słońce za blade, że łopaty nie dość świecą, że las sztandarów za mało się rozbijał. Chwyta mnie za łokieć i mówi głosem zdławionym ze wzruszenia: „Jak ci chłopcy maszerują. Prawda, zupełnie nie jak wojsko, jakoś elastyczniej”. Zamawiam sobie u niej rozmówkę na ten temat, kiedy będzie oglądała maszerujący desant *Arbeitsdienst* w Anglii. Ta moja uwaga bardzo ją gorszy. Ale za to śmieje się wesoło z niesłuchanie płaskich dowcipów o Francuzach i Żydach, którymi zachęca kupujących kolporter „Völkischer Beobachter”. Oddziały w takt muzyki stopniowo zajmują całe pole i na daną komendę, kiedy już stoją na przeznaczonych miejscach, w migawkowym tempie kładą obok siebie łopaty, zdejmują tornistry i siadają na ziemi. Jest to manewr nieprawdopodobnie szybki i sprawny: wywołuje on burzę oklasków i przyjemnie świadczy o pewnym rozsądku wprowadzonym do normalnie nużącego drylu wojskowego.

Przed trybuną Führera wystawiono bardzo sowiecko wyglądający pomnik z emblematami służby pracy. Z głębi pola zjawia się i kroczy kolumna szerokości jakichś pięćdziesięciu ludzi. To chłopcy z *Arbeitsdienst*, ale ci na znak pracy i męskiej siły są rozebrani do pasa. Kroczą i śpiewają. Jest ich zapewne kilka tysięcy. Efekt jest imponujący, choć pomysł niewątpliwie pachnie starym Żydem Freudem. Przed rokiem 1933 obecni władcy nazwaliby taki nudyzm objawem zgniętego bezwstydu i homoseksualizmu. Golasy otaczają pomnik, przy czym odbywa się mnogość kunsztownych ewolucji. Następuje uczczenie poległych. Rozpoczyna się coś, czego nie potrafię określić inaczej niż świeckie nieszpory. Jakiś kantor czy kanonik kapituły głosem typowego klechy wzywa do skupienia. A tymczasem przed frontem formacji stanęło kilkudziesięciu chorążych z długimi flagami i na pewien znak w takt muzyki zaczyna wymachiwać nimi w sposób uczony i zawily. Przypomniały mi się czasy przedwojenne, kiedy to w „iluzjonach” niewiasty o niezmiernie obfitych sukniach tiulowych robiły motylowe efekty w stylu Loie Fuller<sup>236</sup>, podnosiły spódnice patyczkami, a tymczasem latarnia magiczna dodawała temu wszystkiemu bar-

<sup>235</sup> *Himmelanschauung* (niem.) — „pogląd na niebo”. [przypis edytorski]

<sup>236</sup> *Fuller, Loie* (1862–1928) — tancerka amerykańska. [przypis edytorski]

wy i kalkomaniowego czaru. To całe *Fahnenweihe*<sup>237</sup> wydaje się zbyt baletowe, no i gdzie świętość flagi?

Po południu — znów posiedzenia kongresu. Ta sama prozopopea i pompa. Uderzają coraz gwałtowniejsze akcenty antyżydowskie i antysowieckie; słychać wyraźniejsze podkreślanie strony socjalistycznej narodowego socjalizmu. Powtarza się często zdanie, że w Niemczech nie ma już robotnika i pracodawcy, gdyż wszyscy w zasadzie pracują tylko dla państwa. Mimo woli rozglądam się po sali, gdyż mowy są długie i bardzo do siebie podobne. Uczestnicy kongresu nie opuszczają za to ani jednego słowa, reagują oklaskami na każdy właściwą intonacją głosu zakończony okres. Często jednak i obcokrajowca wyrwie z odrętwienia jakieś mocniejsze zdanko. Oto właśnie doktor Ley ogłosił nieomylną Führera. (Tak!) Kościół katolicki mało się na tym dogmacie w swoim czasie nie „wywalił”, a tu zostało przyjęte przez aklamację, jako rzecz ogólnie uznana, że *der Führer hat immer Recht*<sup>238</sup>. Tenże Ley, wychwalając standard życia robotnika niemieckiego, porównywał cyfry spożycia i zarobków w Niemczech jedynie z Rosją Sowiecką. Tandetność tej propagandy aż podrywa neutralnego słuchacza. Dlaczego na przykład nie zrobić porównania ze Skandynawią? Kiedy mowa o robotach drogowych czy taborze kolejowym — również „wyjeżdża” kontrast rosyjski. A ja słucham tego ze świeżą pamięcią gigantycznych robót w Stanach Zjednoczonych, o których nie wie świat i nawet nie jeden Amerykanin, bo nie ma tam wciąż buczonego głośnika ministerstwa propagandy, gdzie poza tym te rzeczy robi się i buduje dla współobywateli, a nie dla propagandy. Za to w Niemczech, jak we wszystkich państwach totalnych, wmawia się w poddanych, że do czasu obecnego zwycięskiego reżimu w kraju nie istniało w ogóle nic. Dżungla, i to dżungla na brzegu przepaści, do której kraj już, już miał się stoczyć. Każda mowa to podkreśla. Powtarzane są też dość oczywiste prawdy, jak jędrnie wypowiedziana przez Führera: *Moskau ist Moskau und Deutschland ist Deutschland*.

Przy tym nieustannym ryku przeciwko Sowietom, przy drwiącym mówieniu o Stalinie „*Genosse*<sup>239</sup> Stalin” w tym samym zdaniu z całą powagą tytułuje się jakiegoś niemieckiego działacza — *Parteigenosse*<sup>240</sup>. Tam ośmieszona piatiletka<sup>241</sup> — tu mesjanistyczna czterolatka; tam gnuśni udarnicy — tu *Arbeitsfront* ma swoje *Stosstruppen*<sup>242</sup>. Przy wrzasku na Żydów kwitnie czysty talmudyzm doktrynowy i argumentacyjny. Przy całym laicyzmie ustroju panuje i teologia, i scholastyka, oparte na objawieniu z *Mein Kampf*. Istnieje i mistyka krwi, i metafizyka rasizmu. Wreszcie przy wszystkich rewelacjach o wolnomularstwie — istotne motywy całego ruchu wydają się jakby zrodzone z jakiejś głębokiej, mistycznej konspiracji.

#### Nocne widowisko

Tegoż wieczora na *Zeppelinwiese* odbywa się apel kierowników politycznych. Jest to z punktu widzenia plastycznego *clou Parteitagu*. Zapada już zupełna noc — jest ciemno, środek pola zajmuje około czterdziestu pięciu tysięcy ludzi w brązowych mundurach. Pomnika *Arbeitsdienst*u ani śladu; a wyglądał, jakby tam był postawiony na zawsze. Przerwę w trybunach znajdujących się naprzeciwko trybuny Hitlera zabudowano od wczoraj monumentalnymi schodami. W chwili przyjazdu Führera dzieje się cud. Nagle robi się jasno. Znaleźliśmy się pod spiczastą kopułą światła. Są to słupy mlecznoniebieskie, przedzielone pasmami jasnogranatowej nocy i łączące się nad naszymi głowami w jeden jasny szafir. Do uzyskania tego efektu sprowadzono ze wszystkich garnizonów Rzeszy sto pięćdziesiąt reflektorów, które ustawiono wkoło *Zeppelinwiese* poza trybunami, aby źródło światła było niewidzialne. Siła tego światła wynosiła podobno miliardy świec. To, co nam tego wieczoru pokazano, było nieporównane w pewnym tego słowa znaczeniu. W pierwszej chwili nie było nawet oklasków: dziesiątki tysięcy widzów jakby jęknęły i oniemiały. Trwało to dobrą minutę, i dopiero potem posypały się szalone brawa. Na tym jednak nie koniec. Po chwili ciszy na dany sygnał pojawia się w świetle reflekto-

<sup>237</sup> *Fahnenweihe* (niem.) — poświęcenie sztandaru. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> *Der Führer hat immer Recht* (niem.) — Führer ma zawsze rację. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *Genosse* (niem.) — towarzysz. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *Parteigenosse* (niem.) — towarzysz partyjny. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *piatiletka* — nazwa planów gospodarczych ZSRR począwszy od roku 1928. [przypis edytorski]

<sup>242</sup> *tam gnuśni udarnicy...* — zestawienie radzieckich przodowników pracy z oddziałami nazistowskiej Służby Pracy. [przypis edytorski]

rów siedem czerwonych i złotych sztandarów, sześć mniejszych, a jedna flaga, na szczycie „nowych” schodów — ogromna. Tworzą one czoła kolumn, które mają wnieść na pole dwadzieścia pięć tysięcy sztandarów wszystkich oddziałów partyjnych. Rozpoczyna się pod tą dwuniebiską kopułą marsz siedmiu czerwonych, mieniących się, połyskujących złotymi kolcami gąsienic, na których grają reflektory i które wciskają się w ciemną masę już stojących na polu formacji.

Kiedy pole jest całkiem szczelnie wypełnione i podzielone czerwonymi pasami, następuje uczczenie poległych oraz mowa Führera, ale wystawa tak dalece przygniata treść spektaklu, że trudno słuchać czy myśleć o celu całego tego splendoru.

Obchód skończony. Wychodzimy spod kopuły światła. Z zewnątrz widać tylko gładką, prostopadłą ścianę mlecznego błękitu, który po prostu nie ma końca. Pyłki i nietoperze zamieniają się, przelatując nad reflektorami, we fruwające złoto, a dym, przenikając przez tę ścianę światła, przeobrażają w liryczny marmur. Kiedy widz już zdołał ochłonąć, uświadamia sobie, że cały ten biznes spektaklowy jest czysto aryjski, że żaden Charell nie reżyserował tego widowiska, że na czele i na tle sztandarów nie niesiono w obłoku strusich piór i blasku brylantów nawet wielkiej Mistinguett<sup>243</sup>. Ale dopiero przyszłość pokaże, czy tego rodzaju interes spektaklowy jest naprawdę rentowny.

#### Dzień Armii

Nadszedł wreszcie dzień ostatni, który ma być szczytem szczytów. Dzień Armii. Rano idę obejrzeć film *Verräter*<sup>244</sup>, którego prapremiera była jednym z ewenementów *Parteitagu*. Obraz ten ma udowodnić, że film niemiecki nie stracił na swej żydowskiej świetności. Otóż stracił. Zdjęcia nadal są bardzo pomysłowe i udane, ale film jest niesłychanie nudnym i naiwnym kiczem. Intencją filmu jest przestrzeżenie narodu, a w szczególności wojskowych, że szpieg wszędzie podsłuchuje.

To biedne wojsko, narażone na tyle niebezpieczeństw pokojowych, pokazano nam po południu. My, cudzoziemcy, byliśmy nieco rozczarowani. Spodziewaliśmy się czegoś bardziej *kolossal*. W Polsce miałem sposobność widzenia prawie że tylu samolotów i obserwowania chyba równie pięknych zbiorowych akrobacji. W pierwszej chwili na horyzoncie ukazała się popielata chmurka w formie cygara i wkrótce poznaliśmy w niej *Hindenburga*<sup>245</sup>. Przyleciał tuż nad trybuny, opuścił się tak nisko, że widać było ludzi w oknach, wywiesił flagę i trwał z pięć minut w jakimś gnuśnym bezruchu i tępcie nad naszymi głowami. Ciężkich tanków nam nie pokazano, podobno ze względu na chęć zaoszczędzenia powierzchni *Zeppelinwiese*. Sprawność oddziałów wojskowych była oczywiście wspaniała, ale my po tygodniu *Parteitagu* byliśmy już zblazowani. Bitewka na niby wyglądała bardzo *gemütlich*<sup>246</sup>, a obłoczki granatów kazały myśleć o płótnach Wouwermana<sup>247</sup>.

Świetne są orkiestry konne. Kiedy grają, podjeżdżając *Kurzgaloppem*<sup>248</sup>, nie tracąc ani tempa, ani rytmu, imponują. Konni dobosze z cugłami u strzemion wyprawiają najkunsztowniejszą zonglerkę kijami i poza tym bębnią doprawdy artystycznie. Wielkie też mają powodzenie. Nie widzę jednak ich zastosowania przy wojnie gazowej i powietrznej. Hitler znów przemawia. Mówi identycznie to samo, co się obecnie mówi w każdym kraju do wojska i o wojsku. „Naród i wojsko to jedno”, itd.

Znużeni trzygodzinną defiladą i sześcioma dniami *Parteitagu* wlecemy się jeszcze na zamknięcie kongresu. Tę ceremonię przebywamy, stojąc mniej więcej przez cały czas na jednej nodze, gdyż na dwie nie ma miejsca. „Włóścianie” zajęli wszystkie wolne i „zajęte” miejsca. Końcowa mowa Führera przynosi trochę dawnej, już dziś rzadko słyszanej chra-

<sup>243</sup> *Mistinguett* (1875–1956) — słynna francuska aktorka i piosenkarka, występowała m.in. w Folies Bergère i Moulin Rouge. [przypis edytorski]

<sup>244</sup> *Verräter* (niem.) — Zdrajca. Film szpiegowski Karla Rittera z 1936 r. Jak podaje Tomasz Szarota, wyświetlany też w Polsce, a w „Polsce Zbrojnej” zalecano, by obejrzeli go wszyscy, którym leży na sercu obronność kraju. [przypis edytorski]

<sup>245</sup> *Hindenburg* — nazwa sterowca nazwanego na cześć byłego prezydenta Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *gemütlich* (niem.) — przyjemnie. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *Wouwerman, Philips* (1619–1698) — barokowy malarz holenderski. Malował m.in. sceny batalistyczne z okresu wojny trzydziestoletniej. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *Kurzgalopp* (niem.) — krótki galop. [przypis edytorski]

pliwości, natężenie inwektyw i mało co poza tym. Jest to mowa typowo wewnętrzna, wypowiedziana przez człowieka widocznie bardzo zmęczonego.

#### Odjazd i wnioski

Wreszcie, wreszcie koniec. My, na których podnieta propagandy nie działa, zataczamy się wprost umyślowo. Jadę na dwadzieścia cztery godziny do cudownego Bambergu, aby spokojnie pomyśleć. Jaka szkoda, że Norymbergę można opuszczać bez żalu. O godzinę koleją — co za kontrast! Katolicki Bamberg to klasztor przy klasztorze, to barokowe odrapane domy, z których dolatują nieomylnie dźwięki lekcji fortepianu, to długie ogrodowe mury, przez które przelewają się kaskady staroświeckich kwiatów z zapuszczonych ogrodów. Tu panuje prawdziwy spokój. Tu nie czuć „nachelstwa” partii. No, chyba tylko, kiedy się spytać kogoś o zdanie. Odpowiedź jest ta sama, zawsze ta nauczana w klasie *Weltanschauung*, wypowiedziana mechanicznie i niedopuszczająca dalszych pytań. Tak! Ludziom w Niemczech dano spokój za cenę przekreślenia siebie. Ta unifikacja społeczeństwa robi tak silne wrażenie, że kiedy widzę jakiś świetny świeżo ukończony gmach, zastanawiam się, kim jest właśnie jego twórca. Czy on też pędzi zobaczyć Führera, czy też maszeruje w szeregu, bo do jakiejś organizacji musi przecież należeć.

Siedzę więc dobie w Bambergu, tłukę się ku Polsce czternaście godzin i wciąż myślę. Niemcy dzisiejsze to twardy orzech do zgryzienia dla dziennikarza. Opuszczam kraj, gdzie większość ludzi nie jest szczęśliwa, to pewne. Czy większość ta patrzy się ufnie w przyszłość, jak na przykład w Stanach Zjednoczonych — nie. O przyszłości się nie myśli. Chwila obecna pochłania całkowicie uwagę mas. Masy te są całe poprzetykane jednostkami uprzywilejowanymi, czyli członkami partii. Oni to muszą odgrywać rolę drzew, które się sadi do umocnienia lotnych piasków. Przyszłość okaże, jak głęboko zapuścili korzenie.

Przez cały czas pobytu w Niemczech udało mi się zanotować dwa następujące objawy „opozycji”. Kelnerka, kiedy przed wyjściem z restauracji powiedziałem jej *Griuss Gott*, odrzekła z cichym zapałem: *Es ist doch der schönste Griuss*<sup>249</sup>. A nazajutrz, kiedy błąkałem się po cudownej *Lorenzkirche*<sup>250</sup> i oglądałem z najgłębszym wzruszeniem nieporównane dzieła Wita Stwosza, a z ulicy dochodziły odgłosy bębnow i maszerującego oddziału — zwróciłem się do kościelnego z uwagą, że mom zdaniem w tym kościele żyją prawdziwsze Niemcy niż te hałaśliwe na ulicy. Kościelny nic nie odrzekł — to już bardzo wiele — ale w dodatku uśmiechnął się błogo i popatrzył na mnie z wyraźną wdzięcznością. Był to zapewne „opozycjonista”. Jechałem do Niemiec z podświadomą nadzieją, że Hitler, który ostatecznie robi w Europie, co chce, a przy tym robi to zgrabnie, i w którego dziwny idealizm wierzę — wystrzelił na *Parteitag* jakimś genialnym pomysłem dla utrwalenia pokoju świata.

Jechałem na *Parteitag*, jak się otwiera gazetę z tabelą loterii — bez wiary, ale z nadzieją na cud. W Norymberdze cudu się nie doczekałem. Recepty na wszechświatowy pokój nie usłyszałem. Wywiozłem jednak dwa dość pozytywne wrażenia. W obecnej chwili — bo tylko o tej można mówić — ustrój narodowosocjalistyczny nie chce i nie przewiduje wojny. A zatem ustrój ten nie uważa siebie za wzór nadający się do naśladowania w innych krajach. Wyraźnie nawet wyrzeka się wszelkiego prozelityzmu. Fakt ten niewątpliwie świadczy dość sympatycznie o hitleryzmie, choć stanowi słabą dla świata pociechę. Komunizm dla rozkrzewienia się potrzebuje niesłychanych robót podziemnych i wielkich pieniędzy, choć pierwotnym jego hasłem jest po prostu dobrobyt dla wszystkich. Nacjonalizm natomiast, który przede wszystkim grozi wojną z sąsiadami, który w najlepszym wypadku oddziela kraj murem autarkii i samozadowolenia od reszty świata — nie potrzebuje żadnego kapitału zakładowego. Hasło „Bądź dumny, że jesteś Estończykiem czy Baskiem” wystarczy bez poparcia ościennego państwa do znacjonalizowania każdego kraju.

Ale zaraza nacjonalizmu, na którą się tak chętnie godzą wszyscy ludzie tak zwani dobrze myślący, no i ci, którzy mało co dbając, uważają rezygnację za wygodny stan duszy, nie panuje wszędzie w równym natężeniu. Są kraje, gdzie zaledwie zaczyna swą smutną robotę. Toteż wjeżdżając do Polski, jednakże odetchnąłem z wielką ulgą. Stacja Zduny po

Nacjonalizm

<sup>249</sup> *Es ist doch der schönste Griuss* (niem.) — To przecież jest najpiękniejsze pozdrowienie. [przypis edytorski]

<sup>250</sup> *Lorenzkirche* — kościół św. Wawrzyńca w Norymberdze. [przypis edytorski]

dziesięciodniowym pobycie w Trzeciej Rzeszy pozwoliła mi na łatwe zestawienie — tu jest jak u Pana Boga za piecem, czy też prawie...

„Wiadomości Literackie” 1936, nr 44 (676).

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sobanski-cywil-w-berlinie/>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Sobański, *Cywil w Berlinie*, Sic!, Warszawa 2006.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Maria Świetlik, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6391-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).